

Marianne Schock

Pokochoać szpaka

Rozdział 1

Opustoszały tor wyścigowy zalany był srebrzystym światłem księżyca, które odbijało się w ciemnej tafli wody i zastygając w chłodną, perłową poświatę spowijało czternaście ślizgaczy. Spośród trzynastu efektownych i okazałych łodzi żadna nie mogła się równać z tą czternastą, zwaną przez entuzjastów wyścigów „Szkarłatną Damą”. Przynajmniej tak myślała młoda kobieta stojąca przy ognistoczerwonym dziobie. Białe litery na cynobrowym kadłubie układały się w prawdziwą nazwę łodzi: „Grom Storma”.

- I ten grom, a właściwie gromy Storma spadną na moją głowę, kiedy on sam się tu zjawi - mruknęła kobieta.

Storm Duchene, właściciel łodzi, a zarazem człowiek, z którym była wzmówiona, dopiero miał się pojawić. Przynajmniej tak twierdził strażnik, który wpuścił ją na zastrzeżony parking.

Spojrzała na kryształowo czyste czerwcowe niebo usiane rojem gwiazd i dziękowała matce naturze za to, że tę noc hojnie obdarzyła światłem. „Ale co do upału...” - przemknęło jej przez głowę. Delikatnie odlepiła przylegającą do ciała jedwabną bluzkę i odsunęła z czoła lśniący kosmyk. Gdy oczy przywykły do ciemności, obejrzała łódź spoczywającą na przyczepie. Ślizgacze wyciągano i ustawiano na przyczepach zaraz po zakończeniu wyścigu. Pozostawione na torze nabierały wody i nie nadawały się do dalszych startów.

- Cóż, wygląda na to, że wciąż jesteś w jednym kawałku - powiedziała zamyślona, obejrzawszy dokładnie poszycie dziesięciometrowego kadłuba. Zauważyła ponuro, że to ostatnie stwierdzenie nie należało do specjalnie odkrywczych, ale na szczęście w pobliżu nie było nikogo, kto mógłby je usłyszeć.

Rozglądając się za miejscem, gdzie mogłaby wygodnie i w spokoju czekać na Storma, znalazła się przy samej łodzi.

Ostrożnie wspięła się na przyczepę i stanęła na biało - czerwonym kadłubie.

Spojrzała na nabrzeże i parking - prostokątny plac zatłoczony ciężkim sprzętem. Kunsztowne osłony i pokrywy, zapasowe silniki na blokach, niezgrabne, pękate ciężarówki i długoreknie dźwigi czuwały wokół majestatycznych łodzi niczym harem wokół padyszacha ucinającego sobie popołudniową drzemkę.

„Te boksy żyją, nawet kiedy nie ma ludzi”, pomyślała. Czowała zapach rozgrzanego asfaltu i spalonego oleju. W dniu wyścigów w powietrzu nad boksami będą się unosić wielkie nadzieje i zapach ludzkiego potu, stłumione przekleństwa i swąd rozlanego paliwa.

Przeniosła wzrok na łodzie jaśniejące wszystkimi kolorami tęczy - największe i najszybsze na świecie w klasie „open”. Obowiązywało w niej znacznie mniej przepisów i ograniczeń, dzięki czemu wyścigi owych, jak je zwano - „thunderboats” - „grzmiących łodzi”, były niepowtarzalnym igrzyskiem emocji i oszołamiających prędkości.

Jednym z najlepszych wśród motorowodniaków, którzy ryzykowali życiem ślizgając się w klasie „open”, był Storm Duchene. Spoglądając przez ramię w stronę bramy, kobieta zastanawiała się, kiedy wreszcie przybędzie. Nie marnował czasu i energii, ani swojej ani innych.

Odpięła wodoszczelny brezent okrywający kabinę, weszła do środka i usiadła.

Fotel zainstalowany w dziobie łodzi, tuż za owiewką, połknął ją wraz z ramionami. Skonstruowano go tak, by przylepiać do ciała Storma jak dopasowana rękawiczka. Dzięki temu kobieta mogła odtworzyć kształt i wymiany ciała Duchene'a. Objęły ją pikowane boki fotela. Zorientowała się, że Storm ma węższe biodra niż Sądziła. Za to w ramionach musiał być znacznie szerszy, gdyż wynieciona przez niego

tapicerka owinęła się wokół jej ramion. „Nie jest zbyt wysoki”, pomyślała opuszczając stopę do pedału przepustnicy w podłodze. Miał długie nogi i najwyżej metr siedemdziesiąt pięć wzrostu był zatem wyższy od niej nie więcej niż pięć centymetrów. Rozluźniła się w fotelu. W tej samej chwili dało znać o sobie znużenie. Przypięto ołowiane ciężary do każdego mięśnia. Miała uraz do podróżowania samolotem, a kiedy po czterech godzinach lotu z Seattle stanęła obiema nogami na twardej ziemi, była wyczerpana zmaganiem się z nadciągającym nieubłaganiem atakiem hysterii. Teraz monotonny pomruk ciężarówek na odległej autostradzie i łagodny plusk fal o nadbrzeże rzeki Detroit przyniosły kojący spokój, który powoli wypierał zmęczenie.

Wreszcie w boksach pojawił się Storm.

Wiedząc, że jeszcze nie odkrył jej obecności, postanowiła odciągnąć moment spotkania, by przyjrzeć mu się z daleka, bez jego wiedzy. Robiła to już nie raz.

W kremowym świetle rysował się wysmukły cień jego sylwetki. „Szczupły i wysportowany”, pomyślała. „I wcale nie jakiś prymitywny mięśniak”. Te ręce i piersi ukształtowała potężna siła. Taka, jakiej potrzeba, by zapanować nad rozszalałym żywiołem pędzącym z prędkością prawie dwustu mil na godzinę.

Podwinięte rękawy jasnej koszuli odsłaniały opalone przedramiona. Rozpięty kołnierzyk zwisał niedbale pod szyją. Twarz Storma pozostawała w półcieniu, ale ona znała ją dobrze, nawet widywała ją we śnie. Była wyzywająco męska. Z wyjątkiem rzęs, aksamitnych i czarnych. No i usta. Pełne, zmysłowe... Sprawiały że z radosnym niepokojem czekała, aż przemknie po nich delikatny cień uśmiechu. Choć szorstki, kostyczny i trochę gburowaty, Storm zawsze wydawał jej się na swój sposób pociągający.

Zaciągnął się i wypuścił chmurę dymu w stojące powietrze. Gdy opuszczał prawą rękę na biodro, oprócz żaru papierosa dostrzegła także błysk złotej bransoletki od zegarka. „A to nowina”, pomyślała. „Kolejna ciekawostka. Storm Duchene jest mańkutem”.

Przez ostatnie dziesięć miesięcy widywała go jedynie przez okno swojego biura na pierwszym piętrze, gdy przychodził do działu montażu silników. Trzeba przyznać, że wizyty były częste i regularne. Zlecił jej szefowi, Dave'owi Wilkesowi zbudowanie nowego typu kadłuba do silnika turbinowego, z którym chciał rozpocząć następny sezon.

Był znacznie bardziej zaangażowany w projekt i konstrukcję swojej łodzi niż inni właściciele. Zdarzało się, że na jego propozycje i sugestie odpowiadała błyskawicznie: przystając na nie albo kategorycznie odrzucając, gdy uznawała je za dziwactwa, bądź mogły potencjalnie zagrozić życiu. Jednak o wiele częściej dochodziła do wniosku, że ona i Storm mają podobne koncepcje. Zbieżność poglądów i myśli prowadziła do dobrych, syntetycznych rozwiązań. Zdaniem Storma milimetr czy detal odjęty w jednym miejscu, a dodany w innym pozwalał rozwinąć większą prędkość, wziąć ciaśniejszy zakręt lub zmniejszyć poślizg. Jej chodziło dokładnie o to samo, choć zawsze pamiętała o bezpieczeństwie prowadzącego łódź. Odgrywanie roli anioła stróża i dyskretnego powiernika Storma wytworzyło specyficzną a zarazem bardzo intrygującą więź między projektantem a mistrzem wyścigów. Duchene żył nadzieją, że będzie najszybszy i najlepszy, a nade wszystko, że stanie się legendą. Obecnie jego marzeniem było zdobycie pucharu - najbardziej prestiżowego trofeum, które zwodziło go bez mała od ośmiu lat.

To dziwne, ale im więcej dowiadywała się o Stormie, tym mniej kompletny był jego wizerunek. Każde odkrycie

przynosiło nowe pytania. Ileż to razy patrzyła na jego zwodnicze usta, gdy wypowiadały słowa i zdania podczas rozmów z Dave'em... A jaki miał głos? Głęboki i aksamitny? Zmysłowa chrypka? A ręce? Poruszał nimi z naturalną elegancją. Czy są szorstkie i spierzchnięte? Czy ich dotyk jest delikatny? Gorący? Gdy Storm wchodził do warsztatu i okręzał nie pomalowany kadłub, jego ruchy były płynne i opanowane, ale jaką woń będzie miało jego ciało w upalną noc? Odkrywanie człowieka przez szybę dawało mniej więcej tyle satysfakcji, co podróż do Paryża palcem po mapie.

Jednak wkrótce...

Duchene wpatrywał się w most Belle Isle, gdzie w rzece tworzyły się niebezpieczne, pienne wiry. „Myśli o niebezpieczeństwie?“, zastanawiała się. „A może tylko odtwarza przebieg katastrofy, która miała miejsce po południu?“

Spośród dziesięciu torów, na których rozgrywano zawody pucharowe, tor w Detroit był najczęściej przeklinany, a co za tym idzie, najbardziej ceniony przez zawodowych motorowodniaków. Tutaj wyzwaniem dla zawodników rzuciła rzeka, a nie ludzie. Krótka fala była tak kapryśna, że przy silniejszym bocznym szkwale mogła w najmniej oczekiwanym momencie zmienić się w groźnie spiętrzone góry wody, gotowe wypchnąć w powietrze kadłub ślizgacza. Przy tych prędkościach skutki takiej katastrofy porównać można jedynie z czołowym zderzeniem z betonową ścianą.

Dzisiaj po południu Duchene miał dużo szczęścia. Przede wszystkim wyszedł z życiem. Gdy zadzwonił Dave i rozgadał się na temat wypadków, szpitali i zniszczeń, poczuła że serce zamarło jej w piersi.

Kolejny błysk złotej bransoletki przywrócił ją do rzeczywistości. Obserwowała, jak przeczeszał kruczoczarne włosy długimi, smukłymi palcami, po czym splótł dłonie na

karku. Nagle coś ją zaniepokoiło. Jakaś ledwie dostrzegalna oznaka napięcia w jego postawie, a może nieznaczny ruch głową do tyłu. Spostrzegła, że odepchnął się plecami od autobusu. Serce zabiło mocno. Krew szybciej zaczęła krążyć w żyłach.

Zauważył ją.

„Co to jest, u licha?” - Storm wyprostował się i skupił wzrok na niewyraźnym perłowym owalu twarzy. Zaklął pod nosem i zacisnął pięści. „Co za bezczelny kretyn wlaźł do łodzi!”

Rozzłoszczony, ruszył ostro w stronę przyczepy, ale już po pierwszym energicznym kroku piekący ból ostudził zapał. Storm syknął i zaczął chwytać powietrze krótkimi haustami przez zaciśnięte zęby. Monstrum, które rozrywało zebra, pohamowało swoje zapędy. Dobrze, że klatkę piersiową ciasno owinięto bandażem. Następne kroki stawiał już wolniej i rozważniej. Podchodził do łodzi całkowicie ignorując fakt, że w obecnym stanie nie mógłby stawić czoła nawet pijanemu pajakowi.

- Hej, ty tam! - krzyknął. - Zmiataj z łodzi, bo zawołam strażnika!

Postać w łodzi uniosła się i stanęła. Jezus Maria, stanęła! - na siedzeniu w kokpicie, jakby to była jakaś toporna ławka na baseballowym stadionie trzecioligowej drużyny! Pohamował się przed wyrzuceniem z siebie efektownej wiązanki, gdy zorientował się, że intruz jest płci żeńskiej. Miała krótkie, jedwabiste włosy okalające twarz niesfornymi loczkami koloru lipcowego miodu. Uznał, że chyba rzadko używa grzebienia. Raczej modeluje włosy niedbałym ruchem ręki albo energicznym zarzuceniem głową. Alabastrowa, subtelna twarz, wielkie, zielone oczy i długie rzęsy. Pod leżącą się brzoskwiniową bluzką i zwiężającymi się ku dołowi dżinsami rysowały się apetyczne kobiece kształty.

- Cześć, Storm - wymówiła jego imię matowym głosem tak, jakby znała je od dawna. W powietrzu zawisło niewypowiedziane: „co słyhać?” - Zastanawiałam się, kiedy mnie wreszcie zauważysz.

- „Czy ja ją znam?” - zapytał siebie w duchu. Sympatia i ciepło w jej spojrzeniu były czymś więcej niż powierzchownym zachwytem wielbicielki, która znała go tylko ze zdjęć w prasie. „Zesłoroczna znajomość? „Nie, od tamtej pory nie był w Detroit”. Myśl szybciej, człowieku. Przypomnij sobie!”

Blinda z doków? Ta ostatnia myśl rozviała się, zanim zdążyła nabrać wyraźnych kształtów. Instykt samozachowawczy podpowiadał, że to niemożliwe. Miała zbyt delikatny uśmiech i zbyt inteligentne oczy jak na portową blindę. Patrzyła w jego twarz ze stoickim spokojem. W jej spojrzeniu nie było ani śladu bezczelnego zaproszenia, by pokazał jak szybki jest na łądzie i w łódku.

„Do licha” - pomyślał - „takiej twarzy się nie zapomina”. Ale czy przez ostatnich kilka miesięcy nie próbował zapomnieć i wymazać różnych twarzy ze świadomości? Twarzy i kłopotliwych związków z ostatniego sezonu? Ubiegły rok upłynął mu jak w malignie.

Wspomnienie wciąż wisiało nad nim jak koszmar, który co prawda już się skończył, ale wciąż był na tyle żywy, że Storm nieraz nie miał odwagi zamknąć oczu. Znajomi orzekli, że Duchene jest całkowicie niedostępny i na najlepszej drodze do samozniszczenia. Próbował o wszystkim zapomnieć i pogrzebać swój gniew na świat przy pomocy chętnych kobiet. Bezskutecznie. Stracił czołową lokatę w rankingu i zakończył sezon z okresową dyskwalifikacją za „zbyt niebezpieczną jazdę i świadome powodowanie zagrożenia w czasie wyścigów”. Został mu tylko rok, by odtworzyć dawnego siebie, odzyskać pozycję.

Zmrużył oczy i spojrzał groźnie na kobietę w kokpicie... i nic. - Czy... my się znamy? - zapytał wreszcie.

„Całkiem miły głos”, stwierdziła w duchu. „Spokojny i aksamitny”. Podziałał na nią jak ciepły strumień wody rozgrzewający przemarznięte ciało.

- Pete. Pete Burke. Asystentka Dave'a Wilkesa. Mój samolot wylądował przed czasem. Był wiatr od ogona. Chciałam poczekać w twoim autobusie, ale był zamknięty. Nie było nikogo w pobliżu, a ja nie wiedziałam, jak długo ci zezdziej, więc... - wzruszyła ramionami i spokojnie przyglądała się, jak chmura gniewu na jego twarzy ustępuje miejsca wielkiemu zdziwieniu.

- Przycupnęłam sobie tutaj, w kokpicie.

„Więc to jest Pete Burke”, pomyślał. „Pete Burke to ONA”. Nacisnął powieki kciukiem i palcem wskazującym i zaczął się śmiać. Ból przeszywał żebra przy każdym gwałtowniejszym ruchu. W tej samej chwili dwie smukłe nogi wyszły z kokpitu i stanęły na czerwonym kadłubie. Pete znalazła hak przyczepy, stanęła na nim i zeskoczyła.

- Gdzie jest Dave? - zapytał Storm, przerywając przedłużające się milczenie.

- Właśnie zostaje albo został dziadkiem. Żadna siła, nawet Wielki Duch wyścigów ani uszkodzony podczas treningów „Grom Storma” nie oderwie go od córki i wnuka albo wnuczki. - Storm wolno powędrował wzrokiem po jej kształtach. - Nie wiedziałeś, że jestem kobietą, prawda? Facet, który zostawia notatkę w stylu: „I żeby falowała jak stary zejman na przepustce i mruzczała jak pierwsza ślicznotka, którą wyjmie”, raczej nie spodziewa się, że jakaś „ślicznotka” to przeczyta.

Spojrzał na jej stopy, na chwilę zatrzymał wzrok na piersiach i, przeciągając głoski, powiedział:

- Niech mnie diabli. Pete Burke... - przerwał, spojrzał jej w twarz i dokończył - maluje się. Szarpnęła się lekko i zwróciła twarz w lewo. Poczowała się tak, jakby nagle podłączono ją do przewodów wysokiego napięcia. Mimo wielogodzinnych obserwacji i studiowania Storma przez okno, nie była przygotowana na spotkanie z nim twarzą w twarz. Z niemalym trudem przystosowywała swój sposób myślenia do zadania, które miała wykonać. Położyła drżące dłonie na gładkim kadłubie.

Storm uważnie śledził jej ręce, które delikatnie gładziły błyszczącą powierzchnię. Dotyk dostarczał Pete kolejnych informacji. Na jej czole najpierw pojawiły się oznaki skupienia, a potem nie mniej głębokiego zamyślenia, które spotęgowało się, gdy wrażliwe palce dotarły do strzaskanego spodu rufy.

- Wygląda nie najlepiej... - powiedziała pod nosem.

- Domyśliłem się od razu, jak tylko wyciągnęli mnie z wody.

- Wyrzuciło cię? - zapytała, odwracając się szybko. Stała twarzą do niego. - Czy... nic ci się nie stało?

Niemal ujrzała, jak jego ciało uderza o taflę zimnej wody. Ręka odruchowo podążyła do jego piersi i zaczęła szukać ran. Dotknęła twardego guzika koszuli i przesiąkniętego potem materiału, pod którym wyczuła ciasny zwój szerokiego bandaża. Przez ściśnięte gardło, w którym nagle rozrosła się potężna kluska, wydobyło się bezgłośnie: - To coś poważnego?

Był zdumiony siłą i namiętnością jej reakcji. Zorientował się, że niepokój i troska były szczere i głębokie. W jednej chwili rozerwały starą ranę, uśmierzyły ból. To było ponad jego siły. Nagle rozbudzona czujność kazała mu wznieść ścianę między nim a tą kobietą. Nie chciał i nie potrzebował ani jej dotyku, ani współczucia.

- Parę siniaków. Rano będę się czuł tak, jakby kopnął mnie pijany muł. Poza tym wszystko w porządku - odparł i uniósł rękę, by odsunąć jej dłoń. Zamiast tego ich palce zetknęły się i zacisnęły wokół siebie.

Chłodny dotyk jej ręki sprawił, że przed oczami Storma przesunął się żywy i pulsujący obraz atlasowego ciała, które chłonąc jego energię stawało się ciepłe i uległe. Powoli zacisnął palce, jakby chciał zamknąć w dłoni jej dotyk, po czym wcisnął pięść do kieszeni. - „Nie rób tego”, ostrzegał się w duchu. „Nie zamykaj oczu i nie pogrążaj się w kolejny koszmar. To bez sensu”. Takie związki nie wnoszą nic nowego ani nie dają zapomnienia. Przekonał się o tym, biorąc kolejne ciągi od życia. „Pustka” to taki stan, kiedy człowiek czuje całym sobą bicie czyjegoś serca tuż przy swoim, a mimo to jest samotny.

Przez ułamek sekundy Pete zdawało się, że dostrzegła coś w jego oczach, jakby ktoś szybko otworzył i zamknął okiennice. W jego spojrzeniu malował się głód i wdzięczność. Absolutne... no właśnie, co? Samotność? Tak. I bezbronność, nieśmiałość. Ale przecież zawsze wyglądał na śmiałego i pewnego siebie. Obnosił się z tym. Tego wymagał jego zawód. Niektóre jego propozycje konstruktorskie były wręcz brawurowe. Jednak na widok tego, co ujrzała w jego oczach, ścisnęło się jej serce. Nie była w stanie pojąć, że ktoś może aż tak bardzo pragnąć takiej drobnostki, jak dotyk czyjejś ręki. Za to bez trudu zrozumiała, dlaczego chwilowe pragnienie ustąpiło miejsca zewnętrznej niechęci. Niewypowiedziane „ręce przy sobie”, dotarło do niej jasno i wyraźnie.

- Ile masz lat? - zabrzmiało spokojnie, ale kategorycznie, dokładnie tak, jak chciał.

- Czy to nie wszystko jedno? - odparła respektując zapory, jakie wzniósł wokół swoich uczuć, i skupiła się na łodzi. „Na razie wystarczy, że wiem jak płoniesz”, pomyślała.

- Po prostu nie wyglądasz na kogoś dostatecznie obeznanego z tymi sprawami.

- Zdaje się, że chciałeś powiedzieć: dostatecznie twardy i otrzaskany? A może jestem za niska i za mało męska, co?

„Jeden zero dla pani, panno Burke” - pomyślał zły na siebie Storm. Nie był dobrym materiałem na zaciekłego antifeministę. W końcu projektowanie łodzi to zawód, umiejętność opanowana niezależnie od możliwości fizycznych. Poza tym, Duchene nie oceniał inteligencji człowieka według płci. Jednak w obecnej sytuacji, gdy jego przyszłość zależała od kolejnych startów, potrzebni mu byli najlepsi. Potrzebny był sam Dave Wilkes, a nie jakiś jego podwładny, i to w dodatku kobieta!

- Skąd się wzięło „Pete”?

- Skąd się wzięło „Storm”?

- Nazwisko panińskie mojej matki.

„Matki? To on miał matkę? No jasne, że miał”, pomyślała. „Przecież nie rozmnożył się przez pączkowanie, głupia”. Myśl, że Storm miał rodziców, wydała jej się dość osobliwa, zapewne dlatego, że odbierała go jako byt swoisty, samoistny i skończony.

- Przy tym świetle nie mogę dokładnie określić stopnia uszkodzenia - powiedziała, okrążając rufę. Znalazła się po drugiej stronie, gdzie Storm nie mógł jej widzieć. Oddychając głęboko, próbowała wziąć się w garść. Szumiało jej w uszach, a przyspieszone tętno dudniło w skroniach. Nieokrzesany, męski urok Storma przyciągał ją jak magnes, mimo że wszystko wokół zdawało się mówić jej: „Nie pchaj się w to”. „Myśl o łodziach”, nakazywała sobie. „Myśl o kadłubach, sterach i materiałach. Ale myśl, Pete. Słyszysz, myśl!”

- Naprawdę mam na imię Patience Theresa i mam dwadzieścia pięć lat - powiedziała po chwili. Przykucnęła, by dokładnie obejrzeć pokiereszowaną rufę „Groma”. Oderwana

łopatka śruby zrobiła prawdziwą sieczkę w achterpiku, a wał napędowy przypominał malowniczy stalowy precel. Rufa nadawała się do kasacji.

- Kiedy się urodziłam, mój trzyletni brat nie mógł wymówić mojego imienia „Patience”, więc zostałam Petey, a później Pete. Radziłabym przygotować zapasowy kadłub. Rekonstrukcja tego jest zbyt ryzykowna. Przy dużej prędkości może się rozlecieć - dokończyła wstając. Skrzyżowała ręce na piersiach i oparła się biodrem o przyczepę.

- Zapasowy kadłub - powtórzył myśląc z niechęcią, że jego życie znajdzie się poniekąd w jej rękach. Od dawna wiedział, że główny projekt kadłuba jego łodzi opracowuje ktoś nazwiskiem Pete Burke. Uzyskawszy zapewnienie, że Dave Wilkes osobiście nadzoruje prace, nie zaprzętał sobie więcej głowy tym... no, Burekem. Jakie ona ma kwalifikacje? Co potrafi? „...Przy dużej prędkości może się rozlecieć?...” Ale jej propozycja nie wchodziła w rachubę. - Nawet gdyby cała moja ekipa pracowała dwadzieścia cztery godziny na dobę, nie zdążyłaby z robotą. Z tym kadłubem przeszedłem dzisiejsze eliminacje i na nim wystartuję w niedzielę.

Stał blisko. Tak blisko, że wydawało jej się, iż jego wewnętrzne ciepło podnosi temperaturę otoczenia. Wokół niego unosiła się osobliwa mieszanina zapachów.

- W takim razie rekonstruujemy - zgodziła się Pete. - Przed odlotem z Seattle zadzwoniłam w kilka miejsc. Załatwiłam duży warsztat z kompletnym wyposażeniem w Warren. Ściągnij swoich ludzi, to zabierzemy ją z boksu. Trzeba wymontować silnik. Znajdziemy tu dźwig z operatorem?

- Nie - odburknął.
- Potrzebny jest dźwig do...
- Masz dokumentację łodzi?
- Oczywiście, że mam doku...

- Dobra - wpadł jej w słowa. - Wobec tego zaczynaj przygotowania. Dam ci wykaz tego co mamy, ty zrobisz listę tego, co ci jest potrzebne, a potem... zobaczymy.

Miała wrażenie, że kpił sobie z niej.

- Zaczynamy operację bez pacjenta?

- Ta łódź nie ruszy się stąd bez mojej zgody - ostrzegł.

Westchnęła ciężko. Jego łódź, jego decyzja. Jego zysk albo strata, ale według jej zasad.

- Jeśli naprawdę chcesz startować na niej w niedzielę, Storm, to ją stąd zabierz, ale jeśli masz ochotę wyrzucić w błoto parę tysięcy, które już wydałeś na transport, to ją tu zostaw. Twoja łódź, twoja sprawa. Rób jak uważasz. Czy możesz zawieźć mnie do hotelu? Nie wiedziałam, ile będę musiała czekać, więc odprawiłam taksówkę. Jestem głodna jak wilk i lecę z nóg.

Zrobił krok w jej stronę. Widziała już kiedyś to spojrzenie, ten lekko wysunięty podbródek i przymrużone oczy. Jak w niemy filmie zobaczyła jeszcze raz tę scenę, gdy Storm przyszedł do warsztatu i rozmawiał z Dave'em, który energicznie potrząsał głową. Wtedy także na tej twarzy pojawił się wyraz wyważonej i wstrzemięźliwej aprobaty. Pouczenia nie były mu w smak, a już na pewno od niej.

- Zgoda - mruknął i na jego ustach pojawił się cień uśmiechu.

Zbita z tropu Pete zmarszczyła brwi. Ostatnie słowo wypowiedział takim tonem, jakby podjął decyzję w bardzo ważnej sprawie osobistej, która nie miała nic wspólnego z tematem rozmowy.

- Zawieziesz ją do warsztatu? - zapytała.

- Zawiozę cię do hotelu.

Rozdział 2

Przeszli przez żwirową szosę na parking, gdzie w snopie światła latarni stał biały pontiac. Na drzwiach miał barwne reklamy wyścigów i agencji wynajmującej samochody do obsługi zawodów. Wrzuciła torbę na tylne siedzenie i opadła na fotel obok kierowcy, udając, że nic ją nie obchodzi nagła cisza, która zapadła, gdy Storm zatrzasnął drzwi po swojej stronie. Kiedy przekręcił kluczyk w stacyjce, Pete przestała wstrzymywać oddech. Zimny powiew z klimatyzatora nieomal zmroził krople potu na jej ciele. Cóż za ulga po czekaniu w męczącym upale.

- Jak długo pracujesz dla Dave'a? - zapytał Storm.

„Ciekawe co spowodowało, że Duchene ma taką twarz bez życia?“, zastanawiała się Pete.

- Od września. W zeszłym roku w czasie przerwy w zawodach o Grand Prix Phil usłyszał, jak ktoś na parkingu mówi, że są wolne miejsca u Dave'a Wilkesa. Projektowałam wtedy dla General Motors i... rozglądałam się za czymś lepszym.

- GM to dobra firma, więc za czym się rozglądałaś?

- Za czymś, gdzie na liście awansów nie miałabym numeru cztery tysiące jeden - odparła i ziewnęła, walcząc z pokusą, by zamknąć oczy i zdrzemnąć się. - Mam specjalizację projektowanie przestrzenne, a w GM trafiłam do zespołu projektowania wnętrza. Na stażu raczej się nie podskakuje. Zresztą nie miałam szans - uśmiechnęła się sennie. - Dyplom z Instytutu Technologicznego Massachusetts, końcowa lokata wśród najlepszych dziesięciu procent, a po dwóch latach w zespole łaskawie pozwolili mi zaprojektować nową... gałkę do radia. Więc kiedy dowiedziałam się, że Dave szuka asystenta z dyplomem inżynierskim, obytego z łodziami i konstruowaniem ślizgaczy,

zgłosiłam swoją ofertę. Przyjął mnie po pierwszej rozmowie. Powiedział, że mam to, czego mu trzeba.

„Zdaje mi się, że znam to uczucie”, pomyślał Storm.

Spojrzał na zegar w desce rozdzielczej a potem na jej ciężkie powieki.

- Aż tak chce ci się spać? W Seattle jest jeszcze wczesnie.

- Uhum... - brzęczenie klimatyzacji i cichy pomruk silnika sprawiły, że jej powieki zamknęły się same. - Boję się latania... Sil... nie turbulencje przez całą drogę. Cztery godziny... strachu mogą człowieka wyczerpać - powiedziała nie otwierając oczu, a jej głos zabrzmiał tak, jakby dochodził z magnetofonu pracującego na resztkach baterii.

- Nie było nikogo, żeby cię pottrzymał za rękę? - „Dobrze idzie, Duchene, tak trzymaj”, zakpił z siebie. „Cóż za finezja w konwersacji! Posłuchaj, jak ona śmieje się z ciebie przez sen. Masz, na co zasłużyłeś”.

- Nie... ale się rozglądam.

Zanim wyjechali na autostradę, Pete spała w najlepsze. Storm studiował jej spokojną, nieruchomą twarz. Czarne łuki rzęs, delikatne, harmonijne rysy, subtelny nosek i pięknie rzeźbiony podbródek, zmysłowe usta. Niezwykła twarz... Niezwykła kobieta.

Wprost stworzona do projektowania i tworzenia. Jego protekcjonalność jej nie ośmieliła. Szczera i otwarta. Jej twarz odzwierciedlała, co myśli i czuje. Czarująca. Dokonała czegoś, co nie udało się nikomu od blisko roku - sprawiła, że zaczął się śmiać. Był jej za to wdzięczny. Kiedy poprosiła, by zawiózł ją do hotelu, spojrzał jej w oczy i z niejakim zdziwieniem stwierdził, że przy odrobinie perswazji mógłby ją mieć. Przez chwilę nosił się z tym zamiarem i nawet objął ją w pasie. Pod jedwabną bluzką poczuł delikatną skórę i nie mniej delikatne, wręcz niewinne kształty. Wyczuł także ufną, niczego nie podejrzewającą kobietę, która naturalnie

zareagowała na jego wyrachowany dotyk. Odsunął rękę, czując niechęć do samego siebie.

Zjechał z autostrady, skręcił w boczną szosę, prowadzącą do Georgian Inn - motelu, który jak co roku był bazą noclegową uczestników wyścigów. Wjechał na półkolisty podjazd, wyłączył silnik. Wsłuchał się w ciszę i równy oddech śpiącej Pete.

- Patience - powiedział cicho.

Otworzyła oczy i spojrzała wokół nie bardzo wiedząc, gdzie jest. Patrzył jak jej źrenice zareagowały na światło. Szmaragdowe tęczówki stały się większe. Pete przeciągnęła się. Ten leniwy, powolny ruch sprawił, że znów poczuł przyływ pożądania. Uśmiechnęła się sennie.

- Pete - mruknęła. - Mam na imię Pete.

- Nie wyglądasz jak Pete - odparł ze śmiechem.

„Jest tak blisko, że gdybym odrobinę uniosła brodę, to pewnie by mnie pocałował”, stwierdziła w zadumie. Studiowała oczami jego rysy. Przypomniała sobie, co mówił Dave: „Wiesz co myślę? Ze on działa na ciebie”.

- Do „Patience” nie mam cierpliwości. Nigdy nie miałam - odparła, wpatrując się w jego usta. - I nie będę miała.

Storm wyobraził sobie jak te dwa szmaragdy zapłoną pożądaniem na chwilę przed tym, jak ją weźmie, jak powoli otworzą się, zaspokojone, jak potem pojawią się w nich ból i łzy. Wycofał się, zanim zaczął.

Wyczuła jego chłodną odmowę. Sięgnął po jej bagaż i wysiadł z samochodu. Poruszał się nienaturalnie, sztywno. Zaciśnięte szczęki i pulsujące mięśnie twarzy świadczyły, że nawet tak niewielki wysiłek sprawia mu ogromny ból. Pete nie ruszyła się z miejsca. Wpatrywała się w spocone dłonie oparte na kolanach. Nieomal kipiała ze złości. Zakpił z niej! Zrobił z niej durnia! Nie, to ona sama zrobiła z siebie durnia. Ta żalosna kałuża to Pete, która roztopiła się przed Stormem. Na

chwilę przedtem, jak się wycofał, w jego oczach pojawił się dziwny błysk - jakby myśl, że może ją pocałować, nagle wydała mu się odrażająca. Pete czuła się jak jakaś chętna i szybka dyskotekowa panienska, której każdy gest i każde spojrzenie woła: „Och, weź mnie... weź całą...”

„Do diabła z nim!”, pomyślała, i wysiadając z samochodu, dodała podobną uwagę pod swoim adresem. Wcale się nie napraszała, żeby budził ją w ten sposób i w dodatku tak się przytulał. Jak ten Dave mógł przypuszczać, że to ona ma bzika na punkcie Duchene! Przecież Storm otwierał i zamykał przed nią swoje wnętrze szybciej niż migawka aparatu!

Gdy przechodziła obok niego, zauważył, że unikała jego wzroku. Patrzyła prosto przed siebie, gniewnie zaciskając usta i dumnie unosząc podbródek. „Jest wściekła. Pewnie na siebie”, pomyślał. Szła szybkim, długim krokiem energicznie machając rękami. Gdyby ktoś ją teraz uraził, syknęłaby jak rozdrażniona żmija.

„Nawet nie wiesz, jak bardzo cię pragnę, dziewczyno”, powiedział do siebie. Ale wiedział także, że nie mógłby żyć z przeświadczeniem, że wyrządził jej krzywdę. Te dwa szmaragdy nękałyby go we śnie.

Pete załatwiła formalności w recepcji, wzięła klucz do pokoju zarezerwowanego przez Dave'a i wsunęła do kieszeni.

- Pokój jest na pierwszym piętrze - wyjaśnił recepcjonista.

- Dziękuję. A restauracja? - zapytała, schylając się po torbę, którą Storm postawił na podłodze.

- W drugim skrzydle - odparł tamten.

Tymczasem Storm sięgnął do paska torby i pociągnął go w swoją stronę. - Tymi drzwiami - wskazał recepcjonista, obserwując osobliwą bitwę o pasek, który Pete szarpnęła do siebie.

- Potem w lewo i prosto - dokończył, nie spuszczać oczu z uśmiechającej się promiennie Pete i jej torby.

- Świetnie! Dziękuję - powiedziała do młodzieńca za kontuarem, zaś zwracając się do Storma rzuciła: - Przestań, dobrze? Kiedy wyciągałeś torbę z samochodu, zrobiłeś się blady jak trup. Targałam to przez dwa tysiące mil, więc na pewno dam radę wnieść po kilku schodach .

Dzięki zręcznemu manewrowi Storm przejął pełną kontrolę nad przedmiotem sporu i z uśmiechem otworzył drzwi Pete.

- Wiem to, ale jakoś wciąż jestem uparty.

Za drzwiami był dziedziniec, na który wychodziły drzwi do pokoi gościnnych. Mimo późnej pory przy stolikach siedzieli goście w różnym wieku. Większość z nich, jak przypuszczała Pete, musiała mieć coś wspólnego z wyścigami, gdyż ich zaciekawione spojrzenia odprowadziły ich aż do drzwi klatki schodowej.

Pete odszukała pokój i otworzyła drzwi. Wzięła torbę od Storma i wrzuciła ją do Środka, nie przestępując progu pokoju. Zamknęła drzwi i oświadczyła: - Teraz idę coś zjeść. Dasz mi znać, kiedy...

- Zabieram cię na kolację - Storm nie pozwolił jej dokończyć i dotknął jej ramienia. Szarpnęła się w miejscu i odsunęła od jego ręki.

- A skąd wiesz, że mam ochotę patrzeć na ciebie przez następną godzinę? W życiu nie spotkałam kogoś tak... - „Kapryśnego?", „zimnego?", „upragnionego" - tak... niemilego.

Uniósł czarną brew, a w jego ciemnoniebieskich oczach zamigotały przekorne ogniki. „Nie, tylko nie to", przemknęło przez myśl Pete. „Sama tego chciałaś, no to masz".

- W takim razie co mam zrobić, żeby nie być niemiłą? - zapytał powoli.

- Bądź neutralny. To wystarczy.

„Proszę, już syczy. Wystarczyło tylko się zbliżyć. Nawet nie trzeba było dotykać”, powiedział w duchu.

Zdołała zrobić zaledwie krok. Zagroził jej drogę jedną ręką, a drugą odwrócił ją do siebie. Z ciężkim westchnieniem i cichym jękiem Pete zrezygnowała z dalszego oporu. Położył ręce na jej ramionach. Oparła się o ścianę. Taras był dostatecznie szeroki, by zasłonić ich przed wzrokiem gości na dziedzińcu, ale wesoły gwar z dołu przypominał uparcie, że nie byli sami. Spojrzała na jego dłonie. Zdjął je z jej ramion i oparł o ścianę po obu stronach jej głowy.

- Nie rób tego - szepnęła.

- Czego?

- Nie... zbliżaj się tak.

Zaśmiał się cicho. Drżenie jego ciała przeniknęło do niej i, mimo że było delikatne, poczuła narastający ból w piersiach.

- W ubraniu bliżej nie da rady, maleńka - powiedział.

Poczuła, że topi się, a drżące nogi za chwilę zamienią się w dwie parujące kałuże. Ręce szukające wsparcia natrafiły na znoszony drelich, pod którym czaiły się napięte mięśnie jego ud. Maksymalnie skoncentrowana na oddychaniu zdołała wciągnąć do płuc tylko tyle powietrza, że z jej ust wydobyło się ledwie słyszalne: - Dlaczego to robisz?

„Daj Boże, żebym wiedział dlaczego”, pomyślał Storm, smakując wargami jej policzek i świadomie omijając usta. Świeża, gęsta śmietana i brzoskwinie. Chłonąc jej zapach, poczuł także, jak przebiegał ją dreszcz i usłyszał, jak z trudem chwytала powietrze.

- Chcę cię całować. Ty chcesz całować mnie. Za chwilę zwariujemy od czekania. A rozwiązanie jest proste.

- Pocałować i zapomnieć. To chciałeś powiedzieć, tak? - wyszeptała. Jeśli Storm teraz się wycofa, jeśli jej nie pocałuje, to chyba... dostanie w twarz.

- Coś w tym rodzaju - odparł, przesuwając palcami po jej szyi i pieszcząc jej włosy. Przebijając wzrokiem mgłę zasłaniającą oczy, zorientowała się, że jego usta są tuż - tuż. Przesunęła się w dół i poczuła je na swoich. Dotknął językiem jej warg. Zakręciło jej się w głowie i rozchyliła usta. Rozpalone ciało już nie drżało, lecz pulsowało.

Pocałunek nie był ani namiętny, ani przesadnie powściągliwy. Był po prostu głęboki i szczery. Zdawało jej się, że trwa całe wieki. Ich ciała stykały się ze sobą, ale nie przywierały zbyt mocno. Zaciekawione palce Storma studiowały geografie jej szyi. W pewnej chwili poczuła, że jego kciuki minęły krtań i powędrowały w dół. Jej ręce nie zmieniały położenia, za to palce zaczęły bezwiednie szukać zagłębień w jego umięśnionych udach. Zgodnie skupili całą energię na radosnym odkrywaniu uroków jeszcze nie poznanego partnera i delektowaniu się smakiem jego ust.

Storm odsunął się nieco, delikatnie muskając jej rozpalone wargi, ona zaś z niechęcią pomyślała, że za chwilę czar pryśnie. Kiedy na jej ustach pozostało jedynie ciepło jego pocałunku, poczuła, że w jej serce wkradł się niepokój. Wiedziała, że pocałunek to połączenie pragnień dwojga ludzi, ale tym razem miała wrażenie, że oddała albo bezpowrotnie straciła cząstkę siebie, o którą nie będzie się mogła upomnieć.

- Patience? - powiedział, smakując i pieszcząc każdą głoskę jej imienia.

Otworzyła oczy i świat wrócił do swoich zwykłych wymiarów. Zobaczyła przed sobą ciemny błękit jego źrenic i... domyśliła się wszystkiego. Storm nawet na chwilę nie stracił żelaznej kontroli nad sobą. Posmakował, zażądał i wziął, ale nie dał niczego w zamian. Nie popuścił.

- Skoro ten problem został w zasadzie rozwiązany, to co zrobimy z „Gromem”? - zapytała wciąż lekko ochryplym głosem.

„Więc jednak pocałunek niczego nie załatwił”, pomyślał Storm, czując, że pragnie jej bardziej, niż dotychczas. Grzbietem dłoni pogładził jej zarumieniony policzek. „Jednak to był błąd... Ten pocałunek to błąd”.

- Chodź na kolację. Ja stawiam - zaproponował, biorąc ją za rękę i odciągając od ściany. - Może dam się przekonać, żeby zabrać łódź z boksu.

Zgrzytając zębami ze złości nakazała swojemu umysłowi skupienie się na sprawach zawodowych. Mimo usilnych starań zdrowy rozsądek i profesjonalne myślenie nie chciały wrócić z powrotem.

- Skoro nie przekonała cię ta malownicza siekanina na rufie, to ja raczej też nie dam rady.

W restauracji pachniało tak jak na basenie. „Znowu motorowodniacy”, stwierdziła Pete, widząc emblematy i pacyki na koszulkach gości. Kelnerka zaprowadziła ich do łoży przy barze. Kiedy szli do stolika, w restauracji zapadła chwila ciszy. „Ciekawe, dlaczego widok Storma z kobietą wzbudza taką sensację?”, zastanawiała się w duchu. „Czyżby było ich tak wiele? A może tak niewiele?”

Zamówili hamburgery, do których Storm poprosił o kawę, a Pete o białe wino.

- Duchene? - pytanie kelnerki zdziwiło Pete.

- Proszę?

Kelnerka spojrzała przelotnie na Storma i powtórzyła:

- Wino dla pani. Czy może być Duchene, czy też firmowe Chablis?

- Zaraz, czy tu chodzi o ciebie? - Pete zapytała Storma.

- O nazwisko rodowe i nazwę firmy, ale nie czuj się w obowiązku zamawiać duchene tylko ze względu na mnie.

Pete posłała mu filuterne spojrzenie i oświadczyła:

- W takim razie wszystko jasne. Proszę duchene.

Storm przypalił papierosa. Wróciła dobrze znana, zastygła maska. Pete spojrzała w kamienną twarz, z której zniknęły wszelkie oznaki życia, nawet drganie powiek, i podparłszy brodę ręką spróbowała sprawić, by się uśmiechnął.

- Uśmiechnij się, Storm. To nie boli.

- Czasem boli.

Smutek, ściskający serce, udzielił się także jej. Zmarkotniała. Próbowwała ratować ostatki dobrego nastroju, kierując rozmowę na, jak się jej wydawało, neutralne tory.

- W życiu bym tego nie skojarzyła. Czyżbyś w przerwie między wyścigami pracował w rodzinnej winnicy?

- Nie. Winnica Duchene jest w Kalifornii, w Napa Valley. Prowadzi ją mój ojciec i młodszy brat. Kupiliśmy dom w Seattle. To bliżej toru wyścigowego.

- Kupiliśmy? My?

- Hę?

- Powiedziałeś: „kupiliśmy dom w Seattle...” - Pete zauważyła, że miejsce smutku zaczęła zajmować chłódna, z trudem ukrywana rozpacz. I ból.

- Abbie i ja.

Ból sięgnął serca. „Abbie”.

- Moja żona.

Poczuła jak serce przeszły chropowata igła z lodu. „Jego żona”. Do licha! Nic dziwnego, że odsuwał się i zamykał w sobie. Nic dziwnego, że idąc przez dziedziniec wzbudzili tak wielką sensację. Myśl o jego matce hamowała jej zapędy, ale na myśl o żonie... Jej głodne usta, które przed chwilą pieścił dotykiem swoich, stały się jak odrętwiałe.

- Nie wiedziałam, że jesteś żonaty.

Storm patrzył w dal ponad jej głową. Nie zauważył, że Pete zbladła. „No powiedz to wreszcie. Wyrzuc z siebie. Śmiało”, rozkazał sobie w duchu. „Głośno, tak żebyś sam to usłyszał.”

- Ona nie żyje.

Podano drinki. Pete upiła spory łyk wina. Powinna poczuć ulgę. Nie poczuła. Podświadomie dzieliła smutek i żal, które wyryły głębokie bruzdy na twarzy Storma.

- Kiedy... to się stało?

- Rok temu. W kwietniu.

Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Storm siedział z kamienną twarzą. Znowu zamknął się od wewnątrz w sanktuarium wspomnień. Pete nie straciła jeszcze nikogo bliskiego. Rodzice wciąż żyli. Miała brata. Co prawda jej dziadkowie zmarli, ale była wtedy dzieckiem. Miała także krewnych w Pensylwanii; nie znała ich dobrze, ale wiedziała, że żyją i cieszą się dobrym zdrowiem.

Siedzieli w milczeniu. Z sąsiedniego stolika dobiegały strzępy rozmów.

- Słuchaj... - przerwała i dopiero po chwili namysłu, podjęła z trudem. - Nie brałaś pod uwagę, żeby spauzować w tym wyścigu? Odholować „Grom” do Seattle i tam go porządnie wyremontować przed następnymi ślizgami?

- Nie.

Przewidując, że nie doczeka się dalszych wyjaśnień, zapytała: - Dlaczego?

Westchnął ciężko i odsunął talerz, nie tknąwszy hamburgera.

- Pieniądze na „Groma” pochodzą z funduszu trustowego. Przed śmiercią dziadek wyznaczył dla mnie i mojego brata określoną i dość pokaźną sumę, którą mieliśmy otrzymywać raz do roku na urodziny. Coś w rodzaju stałej pensji, całkowicie do naszej dyspozycji. Ostatnia wypłata zostanie dokonana do końca roku kalendarzowego, w którym każdy z nas ukończy trzydzieści dwa lata. Po upływie tego czasu ja i brat jesteśmy zdani na siebie.

„Rzeczywiście okazała suma, skoro da się z niej utrzymać łódź za ćwierć miliona dolarów!”, pomyślała Pete.

- Czy to nie zwykle zacofanie? O ile wiem, dywidendy z kapitału trustowego wypłaca się dopiero po ukończeniu przez obdarowanego trzydziestu lat.

- To zależy od warunków umowy. W przeciwieństwie do swoich braci i mojego ojca, dziadek nie przepadał za winogronami. Osiąść w Napa Valley było dla niego czymś gorszym, niż dać się pogrzebać za życia. Chciał dać wnuczkom szansę życia ich własnym życiem, przynajmniej do czasu, aż się upomni o nich rodowa winnica.

- Skąd ta dziwna granica wieku: trzydzieści dwa lata?

- Dziadek miał sześćdziesiąt cztery lata, kiedy zdał sobie sprawę, że zostało mu niewiele czasu. Wtedy też wydał odpowiednie rozporządzenie. Trzydzieści dwa lata to dokładnie połowa jego życia. Uznał, że każdy mężczyzna zasługuje, by być panem swojego losu przez pół życia. Moja połowa dobiega końca. W październiku skończę trzydzieści dwa lata. Wszystkie wydatki pokrywam z mojego konta. Z ostatniej „pensji” wystarczy na bieżące naprawy i wynagrodzenie dla ekipy. Potem będę splukany.

- Zrezygnujesz z wyścigów po zakończeniu tego sezonu?

- O ile nie da się inaczej. Staram się o sponsora. Interesuje się mną wielki koncern produkujący napoje chłodzące. Na niedzielnych ślizgach będą grube ryby. W poniedziałek dadzą mi odpowiedź.

- Wiesz, że zastrzał na rufie pękł?

- Wiem - odparł z westchnieniem.

- Wiesz, że odlanie nowego potrwa co najmniej trzydzieści dni? Potrzebny jest wysoko wykwalifikowany spawacz z uprawnieniami.

- Tak... Wiem.

- Zapewne wiesz także i to, że spawy mogą nie wytrzymać i że to bardzo ryzykowne...

- Ja też nie przepadam za winogronami. Mam to po dziadku. - Znowu na ułamek sekundy otworzył się, a w jego głosie zabrzmiała cicha desperacja. - Poza tym trzeba zbierać punkty. W zeszłym roku straciłem tytuł mistrza Stanów. Chcę go odzyskać. Żeby mi się udało, muszę ciuć. Liczy się każdy ślizg.

Pete uświadomiła sobie, że to ona musi naprawić łódź. Nie trzeba być doktorem Freudem, żeby dostrzec, jak bardzo Storm pragnął odzyskać mistrzostwo. Chciał odzyskać siłę i wiarę w siebie, by móc znowu śmiało spojrzeć w twarz nieprzyjaznemu losowi.

Dopijając wino spostrzegła nad krawędzią kieliszka wrogie spojrzenie rudego mężczyzny, siedzącego w drugim końcu baru.

- Storm, co to za facet tak się na mnie gapi?

Duchene spojrział przez ramię w tamtym kierunku i skinął głową. Rudy zeskoczył ze stołka i pospieszył do ich stolika.

- Red Morgan, szef mechaników - powiedział Storm. - A to jest Patience Burke, projektuje dla Dave'a. Bardziej znana jako Pete.

Dopiero po chwili dotarło do Reda to, co usłyszał. Wytrzeszczył oczy i dłonią klepnął się w czoło.

- Pete Burke to ty? - powiedział zdumiony i, zwracając się do Storma, dodał półgębkiem: - Ona? Baba? Mówiłem ci, że nie potrzebny nam konstruktor!

- Jeśli macie zamiar spuścić „Grom” na wodę w niedzielę, to niestety potrzebny jest wam konstruktor łodzi, panie Morgan.

- Tak uważasz, mała? - zapytał zgryźliwie Red. - W takim razie wiedz, że nie dopuszczę cię do „Groma”, zanim nie przekonam się, co potrafisz.

Storm wyprostował się, obserwując, jak Pete poradzi sobie z aroganckim szefem mechaników. Jeśli da sobie radę z nim, to bez trudu poradzi sobie z resztą ekipy, zwłaszcza gdy tamci dowiedzą się, kim ona jest

- Dopóki nie jest pan moim pracodawcą, a na razie nie zanoszę się na to, nie muszę pana przekonywać o tym, co potrafię, panie Morgan - oświadczyła, nie chcąc jednak ciągnąć drażliwego tematu, powiedziała:

- A teraz, panowie, zechcecie mi wybaczyć, ale mam dość wrażeń na dzisiaj. Jestem skonana. Dziękuję za kolację, Storm. Dajcie mi znać, jak coś zdecydujecie.

Wstała i, spojrzawszy z góry na sporo mniejszego od siebie Reda, dodała:

- A propos, Red. Mała to ja nie jestem. Chyba widać.

Morganowi opadła szczeka. Zaskoczony patrzył na plecy odchodzącej Pete. Storm zaśmiał się cicho.

Weszła do pokoju i skierowała się do łazienki. Zrzuciła ubranie na podłogę, stanęła pod prysznicem. Strugi gorącej wody przyniosły ciału niebiańską ulgę.

Owinięta ręcznikiem weszła do chłodnej sypialni i wyłączyła klimatyzację. Otworzyła okno. Ciszę mąciły stłumione głosy amatorów wieczornej kąpieli w basenie. Usiadła na łóżku i obliczyła, że w Seattle jest teraz dziesiąta wieczór. Dave powinien już wrócić ze szpitala.

Odebrał po trzecim sygnale.

- Mówi Pete.

- Dziewczynka! - obwieścił dumnie Dave.

- Gratuluję, dziadku!

- I ma wszystkiego po dwa!

- Och, tak mi przykro, Dave. Nie było pod ręką lekarza, żeby odciął, co jest w nadmiarze?

- Nie zgrywaj się, słoneczko. Dobrze wiesz, o co chodzi. Mała ma wszystkiego po dwa tam, gdzie powinno być po dwa.

Zaśmiała się lekko, słuchając radosnej paplaniny świeżo upieczonego dziadka.

- Jak się czuje Mary?

- Jest szczęśliwa. Bardzo szczęśliwa.

Odwinęła ręcznik i, wycierając w niego włosy, słuchała cierpliwie radosnej opowieści Dave'a o trudach porodu, przybyciu zięcia do szpitala, oczach i włosach najpiękniejszego niemowlęcia na świecie. Naga, wśliznęła się do łóżka i, gdy Dave skończył podawać szczegóły dotyczące wagi i wzrostu wnuczki, wtrąciła: - Możemy porozmawiać?

- A o czym?

- Storm ma startować w niedzielę. Nie wiem, czy to się uda. Łódź wygląda tak, jakby popieściła ją od spodu zdenerwowana rafa koralowa.

- A konstrukcja?

- Jeszcze nie wiem.

- No to nie martw się na zapas. Jeśli uszkodzenie jest powierzchowne, to zdążycie spokojnie. Wyłączyła światło. Leżąc w ciemnościach doszła do wniosku, że nie ma sensu wspominać o pękniętym zastrzale. Zmieniła temat i zapytała:

- Dlaczego nie powiedziałeś mi, że Storm był żonaty?

- To ty o tym nie wiedziałaś?

- Na miłość Boską, Dave, skąd miałam wiedzieć. Widziałam go tylko przez okno. Nie studiowałam jego kartoteki!

- Słuchaj, Pete. Zrób, co masz zrobić i...

- Jak ona umarła?

- Ojej, Pete... - Dave zorientował się, że pominięcie tej kwestii milczeniem niczego nie załatwi. - Potrącił ją samochód, kiedy przechodziła przez ulicę. Słuchaj Pete, ten facet to jedna wielka żywa rana. Proszę cię, zrób co się da dla jego łodzi.

Odłożyła słuchawkę i patrzyła w ciemność. Stormowi potrzebna jest ta łódź w niedzielę. W przeciwnym razie stanie się coś strasznego. Człowiek, który był jedną wielką raną, zostanie żywcem pogrzebany wśród winogron w Napa Valley.

Storm dopił kawę i rozważał, czy nie zająć wolnego stołka obok tego, na którym siedział Red, czy też dać sobie z tym spokój i pójść spać. Wybrał to pierwsze. Wolny stołek wydał mu się bardziej atrakcyjny niż puste łóżko.

- Bourbon. Czysty i duży.

Barman napełnił pękatą szklankę. Storm wziął ją do ręki i, spoglądając pod światło, kontemplował ciemnobursztynowy płyn. Red przyglądał się jak szklanka w smukłej i silnej dłoni powoli powędrowała do ust bez uśmiechu.

Storm spojrzął z ukosa na Morgana i, krzywiąc się, powiedział:

- Bez obaw, stary. Z pijaństwem skończyłem, ale z pićm nie.

- A czy ja coś mówiłem? Czy w ogóle się odzywałem? Do diaska, jeśli o mnie chodzi, to możesz się zapijać do końca życia, byle byś był trzeźwy na torze.

Storm westchnął głęboko i przesunął dłonią po twarzy.

- Chodzi o tę dziewczynę - mruknął Red. - Nie jest tu potrzebna. Sam dałbym radę odtworzyć „Groma” nawet z resztek kadłuba. Bez jej pomocy.

Przechwałki Reda niczym nie różniły się od przechwałek innych mechaników, ale tym razem nie były uzasadnione.

- Ona jest mi potrzebna - stwierdził Storm.

Red uniósł ze zdziwienia obie brwi, tak blade, że prawie niewidzialne, i zapytał podejrzliwie:

- Ładna jest, no nie?

- Jest - przytaknął Storm nie spoglądając na kolegę.

- Taak... hmm. I zbudowana.

- Projektant nie był partaczem.

- Coś mi się zdaje, że potrzebna jest ci nie tylko ze względu na to, co ma pod kopułą... Uśmiech zniknął z twarzy Storma.

- Ile trzeba czasu, Red?

- A na co?

- Żeby zapomnieć. Ile trzeba czasu, żeby zapomnieć?

Red poruszył się niespokojnie na stołku. Nigdy nie rozmawiali o Abbie. Nie dlatego, że nie chciał, lecz dlatego, że Storm na to nie pozwalał.

- Może tu wcale nie chodzi o to, żeby zapomnieć - powiedział. - Może pora, żebyś zaczął po prostu pamiętać. - Żeby to nie czało się już dłużej wokół ciebie i nie kopało cię w dołek, w niespodziewanym momencie.

Storm zapłacił i wstał. Red odetchnął z ulgą, stwierdziwszy, że dziś Duchene poprzestał tylko na jednym głębszym.

Obudziła się po pierwszym sygnale.

Wysunęła rękę, odszukała po omacku słuchawkę i wciągnęła ją pod koc.

- Uhm... co?

- Patience? Obudziłem cię?

- Uhm... Storm, to ty?

- Przepraszam cię. Myślałem, że jeszcze nie śpisz. Dzwoniłem dziesięć minut temu, ale było zajęte.

- Jest parę rzeczy, do których nie mam cierpliwości. Między innymi moje imię i zasypianie. Zasypiam, jak tylko przyłożę głowę do poduszki.

- Wcale nie liczyłem na to, że cierpliwie czekasz na sen, skarbie. Zresztą nie o to chodzi, do licha. - Całkowicie rozbudzona Pete poczuła, że jej serce zabiło gwałtownie, po czym w słuchawce rozległ się głos Storma, już bez oznak zniecierpliwienia. - Słuchaj, przepraszam, że cię obudziłem.

Zabieramy „Grom” z boksu o ósmej rano. Chciałem ci tylko dać znać, na którą nastawić budzik.

- Już nastawiłam - odparła i, odsłoniwszy twarz, spojrzała na fosforyzujące wskazówki. - Nie miałam żadnych wątpliwości, jaką podejmiesz decyzję - zaśmiała się i dokończyła: - Wiesz co, czasem jesteś taki uparty, że nic do ciebie nie dociera. Nawet oczywiste fakty. Do zobaczenia rano, Storm.

Rozdział 3

- To już szczyt wszystkiego! - stwierdził Red Morgan, drapiąc się w neonowo rudą, skołtunioną czuprynę.

Storm wysunął głowę i rękę znad silnika i spojrział na przykucniętego na kadłubie Reda.

Podążył wzrokiem w kierunku wskazanym przez przymrużone oczy Morgana i wśród uwijających się ludzi dostrzegł Earla Kennedy'ego. Obok niego stała Patience Burke i coś mu tłumaczyła. Earl był wyraźnie zachwycony i chłonał każde słowo z ust Pete.

- I co z tego? - Storm otarł pot z czoła grzbietem dłoni. - On jest właścicielem ślizgaczy, ona je projektuje.

Red zobaczył, że usta Storma ściągnął grymas półuśmiechu i burknął:

- A ja płacę podatki. Tylko, że wcale to nie znaczy, że mam pozwolić byle studencinie z pierwszego roku matematyki wypełnić moje formularze podatkowe. O ile wiem, to Earl jest zdania, że istnieje tylko jedna rzecz na świecie, przy której baba może sobie pomajsterkować i z całą pewnością nie jest to ślizgacz.

- Więc jednak liczyłeś, że parę docinków załatwi sprawę i będziemy mieli ją z głowy. Zirytowany szef mechaników pokręcił głową. Był wyraźnie zbity z tropu serdecznością, z jaką przyjmowano Patience.

- Od głównego sędziego do biletera, wszyscy jak jeden wodzą za nią oczami, jak koty za szperką - stwierdził uszczypliwie.

„Po prostu zawojowała ich, co do jednego”, pomyślał Storm.

Bez trudu pokonała chłodną pogardę Chrissy Wagner dla wszystkich istot rodzaju żeńskiego powyżej dwunastu lat. Żona Larry'ego Wagnera, zwanego „Lucky”, była tak nieprzystępna, zwłaszcza dla kobiet, jak suka, która

podejrzewa, że ktoś chce zabrać jej ukochane szczenię. Wystarczyło kilka minut rozmowy, by obie zaczęły szeptać i chichotać jak rodzone siostry po długim niewidzeniu.

Później Pete cudownym sposobem zjednała sobie sędziego głównego. Jeff Croup patrzył wilkiem nie tylko na kobiety, lecz hojnie obdarowywał groźnym spojrzeniem cały rodzaj ludzki. Stało się jednak tak, że na jego gniewnie zaciśniętych ustach pojawił się serdeczny uśmiech, a Storm gotów był przysiąc, że słyszał jak Jeff zwraca się do niej per „moja droga”.

A teraz Wielki Earl. Storm bacznie obserwował Pete. Śledził każdy jej ruch. Pragnął tej kobiety tak bardzo, że przez całą noc nie zmrużył oka. Nad ranem przygnębiony i sfrustrowany postanowił powstrzymać się od myślenia o niej i zachować stosowny dystans w ciągu dnia. Teraz, patrząc na nią czuł, że z każdą chwilą maleją szanse na to, by wytrwał w swym postanowieniu. Widział twarz okoloną niesfornymi kosmykami włosów przeczesanych od niechcenia. Tę samą twarz, co ubiegłego wieczoru. Luźny kombinezon osłaniał zmysłowe krągłości jej ciała. Wyobrazził sobie, że oto rozpina mosiężne zapięcie szelek na ramionach, a drelich opada, odsłaniając jej piersi. Wiedział, że pod spodem Pete nie ma ani bluzki, ani nawet podkoszulki. Jednocześnie kombinezon stanowił wystarczającą zasłonę, choć odsłaniał ciało tu i ówdzie w granicach przyzwoitości.

Powstrzymał irracjonalne zapędy, by pobiec, wyrwać ją Kennedy'emu i objąć tak mocno, by jej gładka skóra ochłodziła jego rozpalone ciało. Powoli, z rozmysłem, odwrócił się.

Ruch w boksach był coraz większy. Uruchomiono pierwszy dźwig. Storm przyglądał się, jak długie ramię przesunęło się na tle błękitnego nieba i zawisło nad kadłubem „Premium Lite”. Promienie słońca zatańczyły na czarno -

złotym kadłubie, gdy unosił się z przyczepy. Łódź przesunięto nad tor i powoli spuszczano na wodę. Załoga „Premium”, ubrana w kombinezony w kolorze łodzi, wskoczyła na pływający pomost. Pierwsza jednostka była gotowa do startu.

- Goręcej to już chyba nie może być? - spytała Pete samą siebie. Spojrzała na dziesięciometrową ścianę i dźwigary dachu cuchnącego hangaru. Nawet w saunie byłoby chłodniej. Rozgrzane powietrze stało w miejscu. Kosmyki spoconych włosów, uparcie przyklepione do brwi, nie poruszyły się nawet wtedy, gdy poczuła, jak ktoś lub coś dmuchnęło jej na mokre czoło.

- To powinno trochę pomóc - usłyszała.

Niski tembr głosu Storma przestraszył ją. Odwróciła się na stołku. Duchene szedł do niej, trzymając w ręku mały pokojowy wentylator.

- Myślałam, że to Randy tak się skrada.

Pracowali w hangarze, który służył za magazyn hurtowni Jamison Co. Storm zaglądał rzadko. Większą część popołudnia spędził przy telefonie w jakimś biurze. Próbował znaleźć spawacza z uprawnieniami. Red z pozostałymi sześcioma członkami ekipy pracował w pocie czoła przy łodzi pod okiem Pete. Storm podszedł do zaimprovizowanego stolika, przy którym tkwiła od pięciu godzin, studiując dokumentację łodzi. Położył ciężki klucz na papierach i postawił wentylator.

- Randy wrócił? - zapytał.

Zmarszczyła brwi i wzruszyła ramionami.

- Posłałem go po uchwyty. Nie ma go jeszcze?

- Chyba już jest. To nie on? - Ruchem głowy wskazała postawnego blondyna.

- Nie, to Ricky.

- Masz oko. Jak ty ich odróżniasz? Od samego rana mówię do niego Randy... Reagował za każdym razem -

powiedziała, wystawiając twarz na podmuchy z wentylatora. Zamknęła oczy i, delektując się chłodniejszym powietrzem, dodała: - Zresztą nosi koszulkę z napisem „Randy”.

- To dlatego, że nigdy nie może znaleźć swoich rzeczy i ciągle pożycza od brata.

Nie znając nazwisk ekipy, z początku musiała zerkać na identyfikatory. Teraz wiedziała już, że wysoki, trzydziestoletni mężczyzna to Burt Winters. Abe Ferris był łysy - średniego wzrostu i budowy. Frank Ulrich wyglądał jak dobroduszny dziadunio, a kiedy zwracała się do niego, zaczynał każdą odpowiedź „tak, psze pani”. Marty - nie dosłyszała jego nazwiska - co piętnaście minut rozkręcał radio na cały regulator. Ricky i Randy Stevensowie byli identyczni. Bliźniacy rodem z Kalifornii. Pete nie udało się dostrzec ani jednego szczegółu, dzięki któremu mogłaby ich odróżnić. Roześmiała się, kiedy uświadomiła sobie, że być może wcale nie widziała dwóch bliźniaków, tylko jednego, i do tej pory nie mogła wyjść z podziwu, że ktoś może być tak podobny do samego siebie.

Śmiech zamarł, gdy poczuła, że Storm pochylił się nad nią, a jego pierś dotknęła jej pleców.

- Jak nam idzie? - zapytał cicho.

- Błądzimy po omacku. Znalazłeś spawacza?

- Znalazłem.

- Mgła rzednie.

Spojrzał na jej orientacyjne wyliczenia.

- Przymiarki?

Skinęła potakująco głową. Zahaczyła piętami o najwyższą obręcz rozpórki stołka, opuściła łokcie na kolana i oparła podbródek na dłoni. Napotkała jego posępne spojrzenie.

- Jestem skrupulatna. Przygotowana na każdą ewentualność.

- A jeśli okaże się, że to w środku wygląda gorzej niż się spodziewamy?

- Nie okaże się. - Była przekonana, iż nie myliła się w swoich obliczeniach i ta pewność zawsze pozwalała jej ominąć niebezpieczne wody i rozwiązać każdą wątpliwość. Na jej ostatnie słowa Storm zareagował uniesieniem brwi. Znowu wystawiał ją na próbę. Przez chwilę miała ochotę potrząsnąć nim tak mocno, by ściana lodu, którą zbudował wokół siebie, rozpadła się z hukiem w pył i uwolniła dobrowolnego więźnia.

- To znaczy nie chciałaś, żeby tak się stało - powiedział.

- Niech będzie i tak. Są uszkodzenia wewnętrzne. To więcej niż pewne - mówiąc to nie patrzyła na plany ani na łódź, lecz na Storma, jakby chciała przeniknąć go wzrokiem. - Ale żeby nie dało się ich usunąć? Nie, w to nie wierzę.

Oparł się plecami o Ścianę, założył nogę na nogę i przypalił papierosa.

- Niewiele życzeń sprawdza się w życiu. Wiem to z doświadczenia. Niemożliwe nie stanie się możliwe tylko dlatego, że tego chcesz, Patience.

- I w dodatku pesymista - jęknęła w udawanej rozpacz, po czym uśmiechnęła się. „Gdybym mógł sprawić, żeby ten uśmiech został przy mnie na zawsze...” - pomyślał Storm. - Tylko widzisz, Storm, ja akurat jestem optymistką. A z pikniku zrezygnuję dopiero, kiedy zaczniesz łać jak z cebra.

- Coś mi się zdaje, że nawet przemoczona do suchej nitki twierdziłaś, że to tylko kilka kropli deszczu - odparł Storm. Nurtowało go, na czym bardziej zależy tej kobiecie: na naprawieniu łodzi, czy jego psychiki. Doszedł do niepokojącego wniosku, że chyba na jednym i drugim.

- Zrobię wszystko, co w mojej mocy. Wierz mi, Storm - szepnęła z powagą i determinacją.

W tej chwili zawołał ich Red. Odcięli ostatni zadziór blokujący dostęp do wnętrza. Pete zeskoczyła ze stołka i podążyła za Stormem do łodzi. Kucnęła między właścicielem „Groma” a szefem mechaników i zajrzała do środka.

Zapadło długie milczenie. Red skwitował to, co zobaczyli, siarczystym przekleństwem. Pete poczuła na swoich policzkach pytające spojrzenia i serce zamarło jej w piersi. Spojrzała w lewo, w prawo, potem w górę i powiedziała: - Nie jest tak źle, jaki... - głos uwiązł jej w gardle. To była ruina!

- Jak co? - warknął Red.

- Jakby mogło być - dokończyła, uśmiechając się słodko.

- Tu akurat masz rację, mała - prychnął Red. - Tak czy inaczej, łódź mogła się spalić do linii wody albo pójść na dno, ale tak się nie stało. Leży sobie wygodnie i wygląda, jakby słoń na nią wdepnął. Nie jedną nogą, wszystkimi czterema! To się nazywa mieć szczęście!

- Nie kracz, Red. Przecież nie wdepnął. - Pete zaśmiała się, widząc, jak Morgan rwie sobie włosy z głowy.

Storm nie słuchał kąśliwych uwag. Przyjrząwszy się uszkodzeniom, zdał sobie sprawę, że nadzieje na start w niedzielnych ślizgach są płonne.

- Nie zrzędź już, Red - powiedziała Pete i wsunęła się do wnętrza kadłuba. - Stępka jest cała, ale trzeba ją wzmocnić. Za to wręgi są do wymiany. - Włączyła tatarkę i dokładnie przyjrzała się uszkodzeniom. - Reszta w porządku. Dodamy parę ściągaczy i zakleimy pęknięcia. To zwiększy ciężar, ale na torze w Detroit im cięższa łódź, tym lepiej...

- Patience, to już nie ulewa. To oberwanie chmury - wtrącił Storm.

- Poważnie? - spojrzała na niego, jakby chciała go zaczarować. - To zabawne, bo wiesz, na mnie nie spadła ani jedna kropla.

Pracowali przy łodzi, nie robiąc przerwy na obiad. Temperatura w hangarze uparcie rosła. Było coraz bardziej parno. Pot zalewał oczy całej ekipie. Mimo że spieszyli się jak mogli i wykorzystywali każdą minutę, czas upływał szybciej niż by chcieli. Mieli także kibiców - pracowników Jamisona, którzy zaglądali do nich w czasie przerw.

Pete przeglądała właśnie arkusz z wyliczeniami, gdy padł na nią czyjś cień. Spojrzała w górę i ujrzała wpatrzone w siebie brązowe oczy, a nad nimi wspaniałą blond czuprynę.

- Ricky czy Randy? - zapytała.

- Ricky - odparł zapytany i już chciał pokazać palcem identyfikator na koszulce, gdy przypomniał sobie, że kilkakrotnie zmieniał ubranie, a to, które miał na sobie, należało do brata. Uśmiechnął się szeroko, ukazując olśniewający garnitur białych zębów, niczym facet z reklamy pasty „Colgate”, wziął flamaster ze stolika i napisał swoje imię na obnażonym torsie.

Pete podziękowała za piwo, które jej zaproponował. Zainteresowało ją, dlaczego Ricky robi sobie tak prędko kolejną przerwę. Odwróciła się od blatu i zobaczyła, że na wolnym skrawku betonowej podłogi Marty ćwiczy break dance w rytm przeboju z radia. Następnie jej wzrok padł na grupkę stłoczoną wokół „Groma” i raptem pojęła, na czym polega problem. Ulokowanie stu kilogramów różnych części w tak małej przestrzeni jak przedział silnika przekraczało ludzkie możliwości. Dodatkowo mieli bardzo mało czasu. Spojrzała na zegar ścienny. Dochodziła piąta. Jamison wyjechał z Detroit, a jego zastępca oświadczył, że bez zezwolenia szefa nie pozwoli im zostać w hangarze dłużej niż do szóstej.

- Ricky, gdyby Storm o mnie pytał, powiedz, że niedługo wrócę - mruknęła pod nosem.

- Dokąd idziesz?

- Do biura. Coś mi przyszło do głowy.

Wróciła po pół godzinie. Szła dziarskim krokiem. Po raz pierwszy od przyjazdu czuła się naprawdę dobrze. W płątaniu nóg wystających z przedziału silnika „Groma” zlokalizowała te, które należały do Storma. Leżały rozrzucone na kadłubie łodzi. Wspięła się na przyczepę i zawołała: - Storm, jesteś tu?

Zareagował natychmiast. Wysunął się z komory i odwrócił. Przez chwilę patrzyli sobie w oczy. Był tak blisko, że zaparło jej dech. Uśmiechnął się lekko i dotknął palcami jej policzka.

- Ubrudziłaś się - powiedział cicho, gdy jego kciuk zatrzymał się na jej brodzie. Pod wpływem delikatnego nacisku jej usta rozchyliły się. - Szukałaś mnie?

- Tak. - Zamrugła oczami i uśmiechnęła się. Storm przełożył nogi nad burtą i stanął na przyczepie. - Namierzyłam Jamisona. Możemy pracować do rana.

Przez chwilę przyglądał się ścianom hangaru rozmarzonym wzrokiem, jednak gdy jego oczy spoczęły na jej twarzy, rozmarzenie zniknęło, a jego miejsce zajęła zwykła, chłodna powściągliwość.

- Nie dosłyszałeś, Storm? Nie musimy kończyć o szóstej. Możemy pracować bez przerwy. Dwanaście godzin przez dwie noce to dodatkowe dwadzieścia cztery godziny. Mamy jeden dzień więcej do dyspozycji. - „Dlaczego nie reaguje? Dlaczego stoi jak słup i tylko marszczy brwi?”, zastanawiała się gorączkowo. Przecież tonący nie deliberuje nad kolorem koła ratunkowego.

- Storm, czy ty mnie słuchasz, do cholery?!

- Patience, powiedziałaś „do szóstej” - usłyszawszy rezygnację w jego głosie, zeszywniała.

- A teraz mówię dwadzieścia cztery godziny! Popatrz na tych ludzi - wskazała Ricky'ego i Marty'ego. Zauważyła, że

obaj też przestali pracować i stanęli z boku. - Oni już mają dosyć. Tracimy tylko czas. Niech ci, którzy pracują od rana, wrócą do motelu, a zostaną ci mniej zmęczeni. Zrobimy grafik i pociągniemy dwadzieścia cztery godziny na dobę. Dobrze wiesz, że tak można. Chyba nie było jeszcze takiego sezonu, żeby ekipa nie pracowała przez całą noc.

- A ty? Kiedy się wyśpisz i zjesz? Przecież bez ciebie i twoich obliczeń nie zrobimy nic.

- Wyśpię się... No, to się nie wyśpię - oświadczyła.

Storm pokręcił głową z powątpiewaniem. Na jego twarzy znów malował się ten upór.

- Rany boskie, czy ty zawsze musisz być tak cholernie uparty! - krzyknęła i z całej siły grzmotnęła pięścią w kadłub.

- Co się tam dzieje, do stu diabłów - dobiegł rozdrażniony głos z wnętrza. - Zrób to jeszcze raz, a wsadzę cię do bębna i odegram marsza.

- Przepraszam, Burt, to ja... - zawołała Pete i, zniżywszy głos, powiedziała: - Wiesz co, Storm? Żeby coś załatwić, to najpierw trzeba chcieć to załatwić. Warunek, konieczny. Mam wrażenie, że twoim największym wrogiem jesteś ty sam.

Odgłosy sprzeczki wywabily Reda. Spojrzał ciekawie na skłóconą parę i zapytał:

- Znowu drzecie koty? O co tym razem?

Pete nabrała powietrza głęboko do płuc, by uspokoić nerwy, i zrelacjonowała ostatnie wydarzenia.

- Namierzyłam Jamisona. Możemy zostać i pracować całą noc. Storm się nie zgadza. Red, zdziwiony, wybałuszył oczy, by po chwili zapytał ostro:

- Co cię znowu napadło, Storm?

- Patience nie wytrzyma tak napiętego rozkładu zajęć - oświadczył stanowczo, z kamienną twarzą. Do wyrażenia swoich emocji Red rzadko używał pełnych zdań, toteż i tym razem uciekł się do dosadnego wykrzyknika, który w

tłumaczeniu brzmiałby: „A jakie ma to znaczenie, do ciężkiej cholery?”

Pete zgodziła się z tym zupełnie.

- Spójrz, co robi Ricky - powiedziała do Reda. - Dla zabicia czasu pije piąte piwo. Jeśli, nie daj Boże, weźmie klucz do ręki, to na pewno nie skręci tego, co powinien, o ile będzie w stanie coś skrócić.

- Ona ma rację, Storm - Red drapał w zamyśleniu rzadką czuprynę. - Tak. Wiesz dlaczego „Wild Bill” Cantrell skoczył do Abrahama na piwo?

Storm westchnął i przesunął dłonią po twarzy.

- Tak. Znam to.

- A ja nie - wtrąciła Pete. - O co chodzi z tym Cantrellem, Abrahamem i piwem? Pomarszczona twarz szefa mechaników ożywiła się. Red uwielbiał wspominać stare czasy. Gdy zaczął snuć długą opowieść, Storm rozważał w myślach to, co usłyszał od Pete.

Ostatnia cierpka uwaga dała mu do zrozumienia, że niejaki Storm Duchene po prostu chce przegrać, wręcz stara się o to. Gorzka pigułka. Nawet przeprosiny i słodki uśmiech nie pomogłyby jej przełknąć. W ubiegłym roku dążył do samounicestwienia Czyżby teraz chodziło o powalenie na łopatki samego siebie? Miała rację. Jego zaangażowanie w piekielny maraton samozagłady było tego najlepszym dowodem.

Podniósł wzrok i zobaczył wpatrzony w siebie oczy Reda i Pete.

- Wygraliście - powiedział, ruszając w stronę tablicy z rozkładem zajęć. - Zrobię nowy grafik i uzgodnię go z ekipą.

- Jak się czujesz? - zapytał Storm.

Siedziała na podłodze z nogami wyciągniętymi przed siebie i opierała się plecami o ścianę. Z radosnym oczekiwaniem obserwowała, jak skierował się w jej stronę.

Niespiesznie powiodła oczami po długich, smukłych łydkach, kształtnych udach, wąskiej talii i muskularnym, trójkątnym torsie. Wreszcie jej spojrzenie napotkało zatroskaną twarz.

- W porządku - odchrząknęła, by pozbyć się chrypki. - Która godzina?

- Trzecia piętnaście - usiadł obok niej, opierając łokcie na kolanach. Ruchem głowy wskazał skąpy, nie dokończony posiłek i zapytał. - Trochę lepiej?

- Średnio. Cola ciepła, a kurczak wystygł.

- Jesteś wyczerpana - powiedział, dotykając palcem wskazującym cienia pod jej okiem. - Burt kończy za dziesięć minut. Wrócisz z nim do motelu.

- Nie - energicznie zamrugła oczami i wyprostowała się. - Wytrzymam kilka godzin. Serio!

Gdy się ocknęła, niósł ją na rękach. Z trudem podniósłszy powieki ciężkie jak ołów, próbowała skupić wzrok na nieogolonej szczęce Storma.

- Jak się tu znalazłam? - zapytała sennie.

- Padłaś - odparł rzeczowo, spoglądając jej w twarz z ukosa. - Wciąż twierdzisz, że wytrzymasz jeszcze kilka godzin? Nie minęło pół godziny, a spadłaś ze stołka.

- Chyba trochę przesadziłam. Dokąd mnie niesiesz?

- Spać - odpowiedział. Westchnęła.

- To miłe.

- Wcale nie jest miłe, ale musi wystarczyć - odparł, układając ją w szoferce ciężarówki, którą wcześniej zaparkowali w hangarze.

Ułożyła się na siedzeniu i oparła głowę o tobołek - czyjąś koszulę wypchaną szmatami - który miał służyć jako poduszka.

- Nie daj mi zbyt długo spaaać... Storm... Mam jeszcze... dużoo... praacy.

- Boisz się, że nie oddycha, czy co? - burknął Red do Storma, wpatzonego w śpiącą Pete. - Patrzysz na nią jak mamusia na swojego bobaska, który dopiero co zasnął.

Nie potrafił sobie z tym poradzić. Coś go przykuto do tego miejsca. Patrzył na śpiącą Pete i chłonał oczami jej skulony kształt, perłowy blask jej twarzy i nieposłuszne kosmyki o barwie lipcowego miodu. Zastanawiał się, jak w tej kruchej istocie może pomieścić się tyle uporów, energii i pracowitości.

Oddychała spokojnie przez rozchylone usta. Jej twarz nie wyrażała niczego. Była krańcowo wyczerpana. Spała mocno, ale nic jej się nie śniło.

Czas na następną drzemkę udało się wygospodarować Pete dopiero następnego popołudnia. Spała dwie godziny na lepkiem siedzeniu i niewiele to dało. Około północy przyłapała się na tym, że sprawdza te same obliczenia kilka razy z rzędu. Niepewność rosła. Nerwy były coraz bardziej napięte. Mózg pracował coraz wolniej, z coraz większymi oporami. Od jej obliczeń, od wyników jej pracy zależało życie Storma. Wciąż rosło ryzyko, że Pete zamiast mu pomóc, popełni błąd, który może go zabić.

Wyważenie. Czy ciężar dodatkowego ściągacza po prawej stronie został zrównoważony? Czy nie ma przesunięcia środka ciężkości? Aerodynamika? Czy przepływ powietrza będzie właściwy?

Na ręce podpierającej jej głowę zacisnęły się stanowczo długie i smukłe palce. Pete opadła do tyłu i oparła się o pierś Storma.

- Pora spać, skarbie - powiedział cicho. Posłusznie dała się prowadzić za rękę.

- Parametry nowych części, Storm. Właśnie skończyłam obliczenia. Dopilnuj, żeby każdy element znalazł się we właściwym miejscu - powiedziała prawie bezgłośnie. - Słyszałeś?

- Słyszałem. Właściwe części na właściwym miejscu. Nie wydaje się to zbyt skomplikowane. Minęli ciężarówkę ze sprzętem i skierowali się do wyjścia z hangaru. Pete, mimo przemęczenia, wciąż nie

chciała spasować i zapierała się obiema nogami. Nie może jej teraz odesłać do motelu. Nie pozwoli mu.

- Nie - zaprotestowała stanowczo. - Nie pójdę, do jasnej cholery. Chwycił ją za ramiona i przyciągnął do siebie.

- Ktoś mi kiedyś mówił, że nie ma do czegoś cierpliwości. Tak się składa, że moja właśnie się wyczerpała! Nie zawsze twoje musi być na wierzchu. Wczoraj wieczorem zaniósłem cię śpiącą do szoferki. Moim zębrom wcale to nie przypadło do gustu. Ale jeśli teraz nie pójdziesz ze mną, to słowo daję, znowu cię zaniosę. - Wyciągnął ją na zewnątrz, w gorącą ciemną noc. Na opustoszałym parkingu stał autokar w biało - czerwonych barwach ekipy Storma. - Kazałem Ricky'emu ściągnąć go tutaj. W środku jest prawdziwe łóżko, klimatyzacja i gorąca woda.

Słaniając się na nogach weszła za Stormem do biało - czerwono - niebieskiego wnętrza. W środku było schludnie. Panował miły chłód i cisza.

- Łazienka jest tutaj - powiedział, stojąc w otwartych drzwiach pomieszczenia. - Jeżeli potrzebujesz wody, to najpierw wciśnij ten guzik, żeby włączyć pompę.

W środku ściany były białe, podłogę szczelnie zakrywał granatowy dywan, zaś krzesła i kanapę obito na czerwono. Storm wskazał tylną część autokaru i powiedział:

- Sypialnia jest tam. Ricky uzupełnił zapasy w lodówce.

Wśliznęła się do łazienki i z przyjemnością umyła twarz i ręce w ciepłej wodzie.

- Obudź mnie za dwie godziny - zawołała. - Sprawdzę kąpielnicę i dopasuję zastrzały.

Wyszła z łazienki, wycierając twarz ręcznikiem.

- Wiesz, co ci powiem? Uda nam się - nie usłyszawszy odpowiedzi, opuściła ręcznik. - Storm? Była sama.

Storm sięgnął do klamki, ale zrezygnował z wejścia. Poklepał się po kieszeniach. Papierosy były w tej na piersi. Wytrząsnął kilka z paczki, wyjął zębami jednego i wypalił go, stojąc przy autokarze i patrząc na niebo. Zaczynało świtać.

Padał ze zmęczenia. Oczy piekły niemiłosiernie. Domagały się snu. Jednak w autokarze było ciemno, a to oznaczało, że Pete wciąż śpi. Śpiąca urzekła go najbardziej. Wątpił, czy zdołałby się oprzeć zaspanemu spojrzeniu hipnotyzujących, zielonych oczu i rozgrzanemu snem ciała, gdyby wszedł i obudził ją.

Pragnął jej. Najpierw w łóżku. Potem skuloną obok, z głową na jego piersi, gdy razem oglądają nocny film. Pragnął, by jej delikatny śmiech wyrwał go z posępnego marazmu. Aby była obok w takiej chwili jak ta, by razem patrzyli, jak na niebie od wschodu różową wstęgą wstaje świt.

Myślenie o dwojgu ludziach, o parze dzielącej ze sobą dobre i złe, rozjątrzyło starą ranę. „Nie, tylko nie kochankowie”, nakazał sobie w myślach. „Już lepsza jakaś blinda z doków, o której zapomni, gdy tylko wyjdzie z jego łóżka”. Znowu poczuł nieodparte pragnienie, by przeklinać Abbie. „Do diabła z tobą”, myślał. „Nie mogłaś się rozejrzeć, zanim weszłaś na jezdnię?” „Dlaczego nie uważałaś?” Nigdy nie chciał być sam. A teraz czuł się pusty, wydrażony.

Gniew zniknął tak szybko, jak się pojawił. Jego miejsce zajęło poczucie winy za irracjonalną urazę do Abbie. Nigdy nie zapomni powrotu do opustoszałego domu, po pogrzebie. Tak bardzo wtedy pragnął, by z nim była, by wzięła go za rękę i pomogła przetrzymać rozdzierający ból. Dając miłość Abbie, powierzył także jej opiece swoje serce. Nie chciał ryzykować i powierzać go innej kobiecie.

, Dopóki nie poczuł, że ugięły się pod nim kolana, nie zdawał sobie sprawy, że zasnął. „Idź spać, durniu”, pomyślał. „Daj spokój. Ledwie stoisz na nogach i jeszcze robisz sobie nadzieję?”

Wszedł do środka, ostrożnie zamknął drzwi i odczekał chwilę, by oczy przywykły do półmroku. Podeszedł do łóżka, na które padały pierwsze promienie wschodzącego słońca. Zauważył, że miała na sobie jego koszulę. Wydało mu się to szalenie podniecające. Spała na brzuchu. Jej twarz zwrócona ku nie zajętej części łóżka była wtulona w poduszkę, którą przyciskała do głowy obiema rękami. Granatowa narzuta szczelnie przykrywała smukłe ciało.

Skradając się jak kot, podeszedł do łóżka, po drodze zdejmując koszulę. Powoli ściągnął buty i podniósł narzutę. „O słodki Jezu” - pomyślał, widząc błękitną koszulę podciągniętą prawie do pach. Zobaczył odsłoniętą pierś i tyle aksamitnego ciała, że nie sposób było powstrzymać się, by nie wyciągnąć ręki i dotknąć... Na pośladkach nad gumką cielistych majteczek rysowały się dwa zmysłowe dołeczki.

Obudziła się, gdy światło podrażniło jej policzek. Powitał ją widok, który rozpałił krew w żyłach. Obok niej spał Storm. Wpatrywała się w niego leżąc bez ruchu. We śnie wyciągnął poduszkę spod głowy i położył na niej zaciśniętą pięść. Spał na wznak, z drugą ręką na obandażowanej piersi. Biel opatrunku ostro kontrastowała z jego ciemną skórą. Na twarzy zwróconej w jej stronę rysował się nie golony zarost. Pete zaciśnęła ręce pod poduszką, by nie powędrowały po jego ciele śladem jej oczu.

Ostrożnie odkryła narzutę i ześliznęła się z łóżka. Błękitna koszula zaszeleściła wokół jej ud, gdy podwijała rękawy. Uznała, że skoro Storm położył się spać, powinna wrócić do hangaru. Dlaczego nie obudziła się, gdy wrócił? Ale skoro uznał, że pozostali przez kilka godzin dadzą sobie radę bez

niej, to chyba poradzą sobie jeszcze przez kilka minut, gdy ona zaparzy kawę.

Stąpając bezszelestnie po kuchni, znalazła pojemnik ze zmieloną kawą i włączyła ekspres. Podparła brodę rękoma i obserwowała jak ciemny płyn skapuje do dzbanka.

Obudził go zapach kawy. Otworzył oczy, spodziewając się ujrzeć Pete leżącą obok. Łóżko było puste. Uniósł się na łokciach; zlustrował pomieszczenie i zobaczył w kuchni jej długie, gołe nogi i pośladki rysujące się pod błękitną koszulą.

Z kubkiem kawy w ręku weszła do sypialni po ubranie. W pierwszej chwili zauważyła jedynie, że Storm przesunął się na środek łóżka. Po chwili jednak powitało ją leniwe spojrzenie niebieskich oczu. Poczowała, że serce skoczyło jej do gardła i zamarła w progu. Ścisnęła kubek obiema rękami i oparła się o framugę.

- Dzień dobry - powiedziała.

- Rzeczywiście dobry - odparł. „Boże, czy ona nie zdaje sobie sprawy z tego, ilu guzików nie zapięła?“, pomyślał, pieszcząc wzrokiem cień między jej piersiami. Zazdrościł każdej nici i każdemu guzikowi z błękitnej koszuli, że mogą dotykać jej ciała. Zazdrościł postawionemu kołnierzykowi poufałości z szyją i włosami, ale też był mu wdzięczny za to, że subtelnie odsłaniał pyszny, mlecznobiały dekolt.

- Kawy? - zapytała matowym głosem. Przytaknął. Podeszła do łóżka z boku i wyciągnęła rękę z kubkiem. - Weź moją.

Zapragnął czegoś gorętszego niż poranna kawa. Nie wziął kawy, lecz chwycił nadgarstek Pete i przesunął rękę tak, by mogła postawić kubek na stoliku przy łóżku. Potem wolno przyciągnął ją do siebie. Przyjęła pozycję, która równie dobrze mogła zapobiec utracie równowagi, jak też umożliwić opór. Nie opierała się jednak. Zbliżyła się, a on z trudem powstrzymywał się od patrzenia na jej piersi, rysujące się pod

opinającym je materiałem. Objął ręką jej udo, zamglone spojrzenie niebieskich oczu powędrowało do jej twarzy.

Milczeli i czekali. Byli niepewni, ale każde czego innego. Wymowne błaganie w jego oczach przekonało Pete, że powinna zaryzykować. Na jej ustach pojawił się nieśmiały i drżący uśmiech przyzwolenia.

Dotyk ręki wędrującej w górę sprawił, że koszula na piersiach wydała jej się szorstka i ciasna. Dotarłszy do majteczek, jego palce zwolniły marsz, jakby nieśmiało pytały, czy mogą wśliznąć się pod tkaninę. Nie czekając na odpowiedź, ruszyły dalej po plecach, a kciuk dotarł do piersi. Pete była pewna, że Storm czuje przyspieszone bicie jej serca. Łagodnie posadził ją na łóżku. Usta Pete znalazły się tuż obok jego.

Poczuł jej oddech na swoich wargach. Jego kciuk przesunął się po jej piersi. Przebiegł ją dreszcz. Na wpeł oszołomiona odszukała jego usta. Palce trafiły na miękkie, rozpalone ciało. Zaczął pieścić je językiem. Drżała na przemian z zimna i gorąca. Odsunęła dłoń i z cichym jękiem wsunęła język między jego wargi. Zareagował gwałtownie, z siłą i dzikością, jakiej dotychczas nie znała. Uświadomiła sobie, jak bardzo jej pożądał. Zrozumiała także, że chodzi mu o coś więcej. Była gotowa zaspokoić pragnienie.

Gładził pierś i napawał się radością, dotykając jej ciała i smakując jej usta.

Wreszcie uwolnił je i sięgnął po kawę. Gdy wziął kubek, Pete wstała i chwyciła głęboki oddech, pierwszy od chwili, gdy ich usta zetknęły się ze sobą. Odwróciła się na pięcie usłyszawszy, jak mlasnął z niesmakiem.

- Co to jest? Syrop klonowy? Ulepek?
- Słodka śmietanka i podwójny cukier. A jaką...
- Mocną, czarną i gorzką.
- Nie wstawaj. Zaraz podam.

Wróciła z drugim kubkiem i zatrzymała się przy nogach łóżka. Storm musiał unieść się, by sięgnąć po kawę. Cofnęła się do drzwi i oparła o framugę tak, jak poprzednio. Zachowywała zewnętrzny spokój, jakby pocałunek w ogóle nie miał miejsca, czuła się jednak dziwnie pusta i zarazem pełna.

Zapadło kłopotliwe milczenie. Gorączkowo szukając bezpiecznego tematu, zwróciła uwagę na zwoje bandaża i zapytała: - Lepiej dzisiaj?

Spuścił głowę.

- Tak. Gdyby nie to, że podczas ślizgu będzie niemiłosiernie rzucało, zdjąłbym go już teraz. - Wciągnął głęboko powietrze i zatrzymał, testując próg bólu. - Dużo lepiej.

Zmarszczyła brwi i utkwiała wzrok w kubku.

- Prosiłeś lekarza o jakąś opaskę albo gorset? Muszą mieć coś takiego.

- Jestem umówiony na wizytę jutro rano, o dziesiątej. Jeśli da mi gorset, to go włożę.

- Dobrze - powiedziała. Czuła jego spojrzenie na obnażonych nogach. Patrząc na bandaż, krępujący mięśnie, zapytała:

- Dlaczego nie obudziłeś mnie, kiedy wszedłeś?

- Tak słodko spałaś... - odparł z uśmiechem. Znowu przed oczami stanął mu obraz tej kobiety śpiącej w jego łóżku. Przypomniawszy sobie wszystkie noce, kiedy wracał do pustego pokoju. - Poza tym odesłałem wszystkich do motelu. Ty już wykonałaś swoje zadanie.

- Jeszcze nie. Trzeba założyć ściągacze...

- Zajęliśmy się tym. To rutynowa czynność.

- Chcesz mi powiedzieć, że już nie jestem potrzebna? Zrozumiał ukryte w podtekście pytanie i odparł:

- Nie.

„Jest moja. Gotowa do wzięcia. Stoi przede mną”, myślał. Dotykając dłoni Pete czuł, jak jej puls uderzał w rytm jego serca. Po raz pierwszy od śmierci Abbie nie myślał o niej z żalem.

- Wróć do motelu, wyśpij się i zjedz porządnie. Chłopcy wrócą w południe i zajmą się resztą drobiazgów. Zobaczymy się później.

Wyszła, gdy zaczął się golić. Nie licząc autokaru Storma, parking był pusty. Drzwi do hangaru były otwarte. Weszła do środka. Słuchała odgłosu swoich kroków zwielokrotnionych przez echo.

„Grom” spoczywał na przyczepie, oświetlany przez jedną lampę. Nie była to już ta sama łódź, co dawniej, ale po tym, co przeszła i tak prezentowała się znośnie. Nadpalona farba wokół wstawek z aluminiowej blachy przypominała osad wokół świeżej plomby w zębie nałogowego palacza. Ale wewnątrz „Grom” pozostał silny. Wytrzymał. Udało im się.

- To jeszcze nie koniec, mała.

Nie słyszała ani podjeżdżającego samochodu, ani zatraskiwanych drzwi, ani kroków Reda, gdy wszedł do hangaru. Odwróciła się i wpadła na niego.

- Racja, Red. Trzeba sprawić nowy kostium na jutrzejszą galę. Ale z tym poradzicie sobie beze mnie. Mogę skorzystać z twojego wozu? Chcę wrócić do motelu.

Wyjął kluczyki i puścił delikatnie na jej wyciągniętą dłoń.

- Trzeba sprawdzić, czy wytrzyma.

- Powiedz sternikowi, żeby nie naciskał za mocno - powiedziała, podchodząc do samochodu Reda.

- Robi się! - odkrzyknął, gdy otwierała drzwi, - Ty również nie naciskaj za mocno! Pete zamarła i odwróciła się do Morgana, który spojrzał na nią z ukosa.

- Bądź z nim ostrożna. Może jesteś najlepszym, co go mogło spotkać. Albo najgorszym.

Rozdział 4

Wracając tego ranka z hangaru do motelu, Pete natknęła się w hollu na Chrissy Wagner, która zaproponowała wspólny lunch. Pete przyjęła zaproszenie. Po południu odespała zaległe godziny, zaś wieczorem wzięła długą, gorącą i aromatyczną kąpiel. Wcisnęła przepocony kombinezon na dno torby i wyjęła z szafy koszulową bluzkę oraz długą spódnicę z baskinką. Dotyk miękkiej bawełny w kolorze świeżego masła sprawił, że znowu poczuła się kobietą.

Teraz gdy szła przez trawnik, nie mogła się doczekać widoku twarzy swoich bliskich i ich głosów, nie zniekształconych w słuchawce telefonu.

Biały dom z zielonymi okiennicami przycupnął na działce schodzącej wprost do przystani. Z szerokich okien roztaczał się widok na błękitną taflę wody i setki zacumowanych łodzi. Wysoki żywopłot zapewniał prywatność i zarazem zasłaniał niezbyt okazałe zabudowania: suchy dok, publiczną toaletę, nieduży sklep i niewiele większą restaurację.

Pete wbiegła po schodach, drżąc z podniecenia. Drzwi otworzyły się. Marie Burke chwyciła córkę w objęcia.

- Tom! Przyjechała! - zawołała matka, gdy obie z trudem zachowując równowagę wtoczyły się do kuchni. - Pete przyjechała! Słyszysz, Tom! Pete, tak się stęskniliśmy! Jak ci jest w Seattle? Ale tak naprawdę, bez tych „fajnie” i „w porządku”, którymi raczysz nas przez telefon. Jeśli tam się nie układa, zawsze możesz wrócić, wiesz o tym, prawda? Zostaniesz na noc? Nie dotykałam niczego w twoim pokoju...

- Pewnie wszystko zarosło kurzem - zauważył cierpko Tom Burke, przeciskając się przez wahadłowe drzwi. - Chodź do mnie, Pete. Tata strasznie się stęsknił za tobą.

Przytuliła się do ojca i objęła go za szyję. Pachniał tak samo jak zawsze. Zamknęła oczy. Ojciec rano nacierał twarz Old Spice'em. Wciąż palił fajkę nabitą aromatycznym,

wiśniowym tytoniem, a czasem stawał przy dystrybutorze paliwa.

- Czy Phil też przyjedzie? - zapytała Pete. Usiedli na swoich stałych miejscach w kuchni, jakby od ostatniego spotkania nie upłynęło dziesięć miesięcy, lecz kilka godzin.

- Oczywiście. - Marie Burke wyjęła z lodówki uprzednio przygotowaną sałatkę, a Pete rozłożyła nakrycia. - Powinni być tu oboje z Lynn lada chwila.

Ostatni raz widziała brata, gdy w eleganckim garniturze i z ryzem na włosach on i jego żona, Lynn, wychodzili z weselnego przyjęcia, by udać się w podróż poślubną na Karaiby. Kilka dni później przeniosła się do Seattle. Teraz, wyjrzawszy przez okno, zobaczyła, jak dumnie zmierza w stronę domu obejmując żonę w pasie, a jego pociągła, koścista twarz promienieje szczęściem.

Kolacja ciągnęła się długo. Usta były zajęte pytaniami, odpowiedziami i ploteczkami. Wreszcie Phil odsunął talerzyk z deserem i z zadowoleniem podrapał się po pełnym brzuchu.

- Chodź Pete, pogadamy na spacerze. Lynn wzięła talerze z rąk Pete.

- Nie krępuj się. Ja się tym zajmę.

Pete podziękowała jej uśmiechem, wzięła Phila za rękę i wyszli tylnymi drzwiami. Niebo było usiane gwiazdami, a w powietrzu unosił się zapach begonii. Szli w milczeniu, wsłuchując się w plusk fal i stukanie łodzi o siebie. Phil skierował się do ostatniego z trzech baraków, w którym naprawiano łodzie. Wewnątrz unosił się słodkawy - kwaśny zapach, charakterystyczny dla dużych, zamkniętych przestrzeni. Dwanaście lat temu w tym miejscu uczyła się kłaść żywicę epoksydową. Pierwsza próba wypadła fatalnie. Nie odmierzyła dokładnie utwardzacza, w cieczy zaś zostało dużo pęcherzyków powietrza. Później, po zaschnięciu to, co

miało być gładkie i lśniące, było mętne i chropowate jak nierówno położony tynk.

- Przyłączysz się? - zapytał Phil z zawadiackim uśmiechem.

- Pewnie. - Zsunęła sandały z nóg i ruszyła za Philem po prowizorycznych schodach. Chwyciła wyciągniętą rękę brata i wspięła się na krokiew dziesięć metrów nad betonową podłogą. Centymetr po centymetrze posuwała się naprzód po piętnastocentymetrowej belce. Z takim samym podnieceniem jak wtedy, gdy była małą dziewczynką. Dotarli do otworu wentylacyjnego, przy którym na belce leżały kawałki sklejki.

Owinęła spódnicę wokół nóg i usiadła. Wyglądając przez otwarty wywietrznik nagle uświadomiła sobie, co przekonało ją do jej mieszkania w Seattle. Tamte okna też wychodziły na zatokę usianą białymi plamami żagli, a w bezwietrzny dzień motorówki żłobiły białe smugi na szklanej tafli wody.

Przez dłuższy czas siedzieli w milczeniu, rozkoszując się wspomnieniami z dawnych lat. Napotkała poważny, pytający wzrok Phila.

- O co chodzi? - zapytała.

- Ciebie tu nie ma, Pete.

- Dokładnie od dziesięciu miesięcy - powiedziała strofującym tonem.

- Nie, to nie to... - wzruszył ramionami - Ty... odeszłaś.

- Rozumiem, co masz na myśli. - Zakręciła się w miejscu, przemknęła po deskach i oparła głowę na jego ramieniu. - Ożeniłeś się, a ja się wyprowadziłam. Jest po prostu inaczej. Jesteś szczęśliwy, Phil, prawda?

- Tak. A ty?

- Hm... - mruknęła w zadumie, bawiąc się koronkową krezą spódnicy.

- Tęsknię za rodzicami. Za rodziną. Czasem czuję się strasznie samotna.

- Ty samotna? - Phil dotknął palcem jej policzka.

Odwróciła się do niego twarzą. - Niemożliwe. Zawsze miałas znajomych na pęczki.

- Na pęczki?

- Właśnie, na pęczki - powiedział stanowczo. - Na przystani, w warsztacie, w szkole, na przyjęciach. Coś ich przyciągało do ciebie. Jak magnes. Nie było imprezy, żebyś nie zawarła co najmniej pięciu nowych znajomości, a wychodząc miałaś torebkę pełną nowych numerów telefonów. Nie mogli ci się oprzeć.

Storm. Jego obraz znowu zjawił się przed oczami jak nieproszony gość. Myślała z przygnębieniem o tym człowieku, budującym kolejny mur wokół siebie, odzeganym się od swoich tęsknot. Ten człowiek pragnął nie pragnąć... Wbrew swojej woli.

Wzięła głęboki oddech, by odsunąć natrętne myśli i spojrzała bratu w twarz.

- Ojciec powiedział, że wycofałeś się z wyścigów. Byłam zaskoczona.

- Za bardzo brakowałoby mi Lynn, a chociaż ojciec nie przyznaje się do tego otwarcie, nie jest już w stanie sam prowadzić przystani. Poza tym nie widziałem siebie w ślizgaczach. To był tylko sport, może hobby.

- Może hobby - powtórzyła za nim jak echo i, wyciągając z kieszeni spódnicy żółtą kartę wstępu na zawody, dodała: - W takim razie to ci się na nic nie przyda.

- Guzik prawda! - wyrwał jej z ręki kartę. - Nie ścigam się, ale nie przestałem chodzić na zawody. - Przeczytał nazwisko, na które wystawiono kartę i otworzył szeroko oczy:

- Red Morgan? To karta Reda Morgana?

- Uhum. Znasz go.

- Każdy motorowodniak go zna. Jak to zdobyłaś?

- Poprosiłam i dostałam.

- Nie opowiadaj, Pete. Przecież Morgan to straszny chytrus. Zebrakowi nie dałby nawet podartych spodni, bo przydadzą mu się na szmaty.

- Mylisz się, Phil. To...

- Kawał drania - wpadł jej w słowo.

Przypomniała sobie, iż nie inaczej nazwał siebie Red, gdy naciągała go na pożyczanie karty, i dodała z uśmiechem:

- Ale strasznie kochanego drania.

Phil dał za wygraną. Przewrócił oczami i stwierdził:

- Następny do kolekcji. Tym razem facet z kamienia. - Spojrzał czule na siostrę i zapytał: - Zostajesz na noc, prawda? Mama bardzo na to liczy.

- Wiem, ale moje rzeczy są w motelu. - „Kiepska wymówka, Pete”, pomyślała. - Poza tym muszę być w boksach wcześniej rano. - „A ta jeszcze gorsza”, skarciła się.

- Wpadnę po ciebie, o której chcesz.

„Czy można odmówić?”, zapytała siebie. Czy powiedzieć bratu i mamie, że ciągnie ją do motelu, bo tam jest Storm Duchene? Że dziś rano zobaczyła w jego oczach coś, co kazało jej wierzyć, że będzie jej szukał dziś w nocy? Nieświadoma, dotknęła palcami ust, wspominając tamten pocałunek. Wstrzymując oddech, poczuła, jak serce zabiło gwałtownie, a po całym ciele przeszły fale gorąca.

- Pete, jesteś tu? - pytanie Phila wyrwało ją z zadumy. Patrzył na nią poważnie i przenikliwie. - Zdaje się, że rozumiem, w czym rzecz. Ty naprawdę nas opuściłaś. Dla kogo? - Pytanie pozostało bez odpowiedzi. - Chcesz, żebym ci pomógł otrząsnąć się z tego? Mama się zapłacze, jak się dowie. Dopiero co przestała płakać po twojej przeprowadzce. Pete potrząsnęła głową i przytuliła brata.

- Nie ma obawy. Zostanę na noc - powiedziała, zaś w myślach zadrwiła z siebie: „Ty tchórze! Boisz się odkryć, że Storm wcale cię nie szuka”.

„Czy ona przyjdzie?“, zastanawiał się Storm. „Gdzie była całą noc?“ Dzwonił do jej pokoju więcej razy, niż był gotów przyznać. Potem zamówił drinka w barze i wyszedł z nim na opustoszały dziedziniec. Do drugiej nad ranem wpatrywał się w drzwi jej pokoju i czekał. Nie wróciła.

Stojąc na pokładzie „Groma“, obserwował ludzkie mrowie. Wszystkim udzielała się gorączka przedstartowa. Mimo to bałagan był tylko pozorny. Komisja sprawdziła stan techniczny łodzi i dopuściła ją do startu. Zamontowano silnik, przymocowano siedzenie i numer startowy. „Coastal“ wrócił z próbnego ślizgu. „Premium“ spuszczone na wodę.

- Hej, Duchene - wołał jakiś mężczyzna. - Nie zawieźdź mnie, stary. Postawiłem na ciebie całą stowę. - Storm zsalutował mu niedbale. Przez chwilę zastanawiał się, co skłoniło tego faceta do postawienia na łódź, która trzy dni temu kiksowała na torze i przeszła poważny remont. Entuzjasta miał jednak pecha, gdyż zagadując Storma pociągał piwo z puszkii: już po chwili stał przy nim miejscowy ochraniarz. W dniu wyścigów w boksach obowiązywał całkowity zakaz palenia i spożywania alkoholu, dopóki cysterna z paliwem nie odjedzie po ostatnim ślizgu.

- Jedenasta trzydzieści, Storm - zawołał Marty, który sprawdzał coś w kokpicie.

Duchene skinął głową. Dwunastu sterników z najlepszymi czasami podzielono losowo na dwie grupy. W ślizgu brało udział sześć łodzi. Dystans piętnaście mil - sześć okrążeń toru. Storm wylosował start w ślizgu 1A, który rozpoczynał się o dwunastej w południe. Czas założyć skafander i zapomnieć o wszystkim. Myśleć tylko o wyścigu.

Uspokojona widokiem „Groma“ na pochylni, Pete obejrzała stanowiska innych łodzi ze „stajni“ Dave'a Wilkesa, później zaś ruszyła na poszukiwanie Storma, ciągnąc za sobą Phila. Wiedziała, że gdy rozpocznie się ślizg, będzie go mogła

odnaleźć wśród starych wyjadaczy w części parkingu zarezerwowanej dla ścigających się w Grand Prix.

Dzień był piękny, wprost wymarzony do wyścigów. Kryształowo czyste powietrze i lekki wietrzyk marszczący równomiernie powierzchnię toru. Na brzegu zgromadziło się około pół miliona widzów. Wszystkim i wszystkiemu udzielało się ich podniecenie.

Przysłuchiwała się, jak Marty dzielił się z Philem wspomnieniami z „trzydniowej odsiadki” w norze zwanej hangarem spółki Jamison Ltd. pod Detroit. Ze śmiechem pokręciła głową. Kątem oka dostrzegła Storma stojącego tuż nad wodą. Tętno przyspieszyło. Zwróciła twarz w jego stronę.

„Po prostu wspaniały”, pomyślała. „Najwspanialszy mężczyzna pod słońcem”.

Proszę nastawić stopery - rozległo się z głośnika. Obserwowała, jak Storm uniósł prawą rękę. Skupiła wzrok tylko na nim. Otoczenie nie liczyło się. Wśród niewyraźnych, różnokolorowych plam istniał tylko ON, Storm Duchene. - Piętnaście sekund... siedem... sześć, cztery... trzy... jeden. Pięć minut do sygnału „pięć minut”. - Storm włączył stoper i spojrzał w jej stronę. Włożył kask i opuścił przysłonę na twarz.

Zrobiła odruchowo krok w jego stronę, ale zatrzymał ją Marty.

- Nie teraz, Pete. - Już otwierała usta, by zapytać dlaczego, ale Marty pospieszył z wyjaśnieniami. - Każdy z nich koncentruje się na swój sposób. Lucky chodzi długimi krokami. Jerry wyobraża sobie siebie na podium. Riley siada na krześle i udaje, że śpi. Storm wkłada kask i opuszcza przesłonę. Jak zobaczysz, że tak się zachowują, to lepiej nie podchodź. Ich już tu nie ma. Są myślami na torze.

- Nie podchodź... - powtórzyła cicho. Ekipy filmowe próbowały precyzyjnie się do przodu, by zająć lepsze miejsce.

„Nie rozmawiać z nimi przed wyścigiem?" Łodzie zdjęto z przyczep i spuszczone na wodę dziobami w stronę toru. „Nie życzyć mu powodzenia?"

Phil ujął jej podbródek i spojrzał w oczy.

- A więc to jest on - powiedział i wolną ręką wskazał Storma. - Zakochałaś się w Duchene. „Zakochałam się?" Dotychczas jeszcze nie próbowała nazwać tego, co czuła do Storma. Zresztą, czy nazwa ma jakieś znaczenie? Czy uczucie minie, jeśli się je nazwie? Czy skoro ona go kocha, to on to odwzajemnia?

- Tak myślisz? - zapytała matowym głosem.

- Nie muszę. Wystarczy spojrzeć na ciebie - stwierdził Phil.

Duchene obserwował całą scenę przez opuszczoną przesłonę. Od chwili, gdy przez kakofonię na parkingu przebił się śmiech Pete, wdzięczny i subtelny jak melodia z pozytywki, w tej samej chwili rozbudzona tęsknota męzczyzny sprawiła, że się uśmiechnął, włączając stoper. Odwrócił się i spojrzał w dół. Jego spojrzenie trafiło na splecione palce tamtych dwojga. Docisnął kask pozwalając, by odpłynął niepokój o n i ą. Opuszczając przesłonę kładł pod nosem, wciąż mając w oczach widok palców tamtego, wijących się wokół jej dłoni. „Ależ z ciebie naiwniak, Storm", myślał z goryczą. „Martwiłeś się, nie spałeś, a tymczasem tamten wysoki, rudawy przystojniak skutecznie cię zastąpił".

Przyglądał im się, nakazując sobie niemą obojętność. Tamten uniósł jej podbródek i sycił się widokiem szmaragdowych oczu, gładził ją po policzku jak ktoś, kto miał do niej prawo.

Zszedł na pływający pomost wciągając rękawice. Przecież to jasne jak słońce, że ktoś tu na nią czekał. Wychowała się w tym mieście.

Red uniósł aparat ratunkowy. Storm wślizgnął się w uprząż, zapiął klamrę na piersiach i docisnął pasy na udach. Zostawił za sobą omylnego i łatwowiernego człowieka. Teraz był zawodnikiem, ważną częścią potężnego mechanizmu.

Red przykucnął i powiedział: - Trafiłeś do szóstki z najgorszymi czasami.

Storm machnął ręką na znak, że to nieistotne.

- Nie dociskaj za mocno, okay? - prosił Red. W odpowiedzi Storm pokręcił głową.

- Jeśli coś będzie nie tak, wracaj.

Przytaknął. Red odsunął się od krawędzi, gdy silnik łodzi ożył. Nad rufą uniósł się biały obłok, silnik ryknął i „Grom” skierował się na tor.

Nigdy w życiu nie była tak skoncentrowana na tym, co się działo. Sześć łodzi ruszyło na rozpoznanie toru, a siódma czekała w doku. Pete wytarła spocone dłonie w nogawki. Sześciu zawodników powinno zająć pozycje wyjściowe. Gdy któryś spóźni się na strzał „jedna minuta”, jego miejsce zajmuje zawodnik oczekujący. Gdy „Grom” nabrał prędkości, a jego dziób wysunął się wysoko nad wodę, odczuła wielką ulgę.

Rozległ się strzał „Jedna minuta”. Pomarańczowa tarcza głównego zegara zmieniła kolor na czarny. Zaczęło się ostatnie odliczanie. Sternicy szukali dogodnych pozycji. Łodzie sunęły coraz szybciej. Powietrze drżało od ryku silników. Czterech spośród sześciu zawodników przecięło linię startu dokładnie o czasie. Wśród nich był Storm. Pete modliła się, by łódź wytrzymała. Teraz pozostało tylko mieć nadzieję, że przed sunącymi z wyciem silników kolorowymi bolidami nie zobaczy drzazg i kawałków drewna. Nie zobaczyła. „Grom” szedł wspaniale. W dość łatwym ślizgu był pierwszy, inkasując czterysta punktów do tytułu mistrza kraju.

Wydobył się z uprząży i wyszedłszy z rozgrzanego kokpitu zdjął kask. Gdy zobaczył Pete na krawędzi pomostu, zorientował się, że właśnie jej szukał podświadomie wśród obserwatorów. Była sama i uśmiechała się.

- Jakie wrażenia? - zapytała, gdy wyskoczył na pomost i stanął obok niej.

- Zaczekajmy na Reda - powiedział, biorąc ją pod rękę i kierując się do autokaru ekipy. W tym czasie Morgan nadzorował wyciąganie łodzi z wody. Po drodze stawali kilkakrotnie, by Storm mógł złożyć autografy na programach podsuwanych przez natrętnych wielbicieli. Po jego skroniach płynęły strużki potu, a zlepione włosy przylegały do ciała nieregularnymi kosmykami. Zanim doszli do drzwi autokaru, rozpiął suwak kombinezonu.

Zaciągnięte zasłony w oknach zapewniały intymny półmrok, a wewnątrz panował miły chłód. Storm rzucił kask na wyściełane krzesło i wyszarpnął ręce z przepoconych rękawów. Miał na sobie specjalny gorset usztywniony metalowymi fiszbinami. Gdy zaczął go rozpinąć, Pete poczuła, że jej kolana miękną. Zdjąwszy gorset Duchene oparł się pośladkami o kuchenną ladę. Zsunięty do pasa skafander zwisał wokół jego smukłych bioder, ukazując pięknie umięśniony tors z czarnym zarostem, biegnącym w dół, daleko w głąb slipów. Czując, że zmiękły jej nie tylko kolana, Pete usiadła na kanapie.

- Przy stu siedemdziesięciu pojawiają się wibracje - poinformował Duchene Reda wchodzącego do środka. - Delikatne, jakby dreszczyk, ale to mi się nie podoba. Miejmy nadzieję, że następny ślizg nie będzie taki szybki.

- Sprawdź ten zastrzał. Trzeba się upewnić, że siedzi jak trzeba - zaoferowała się Pete. Bardzo chciała, by Storm, zamiast opierać się o ladę i wchłaniać drugą butelkę wody

mineralnej, włożył coś na siebie, albo przynajmniej podciągnął zsuwający się uparcie kombinezon.

- No i jeszcze ten lekki boczny ślizg na zakręcie - dodał.

- Wydaje mi się, że jest coś nie tak z wyważeniem.

- Zredukuj bieg - wtrącił Red.

- Albo puść płetwę ślizgową - zaproponowała Pete, myśląc o jednej z bocznych płetw wyrównujących wychylenie łodzi na zakrętach.

- O właśnie - przytaknął Storm. - Poza tym wszystko gra. Na początku był trochę słoniowaty. Nawet miałem wrażenie, że rufa nie wyjdzie nad wodę.

Red wyszedł, by dopilnować poprawek przed następnym ślizgiem, który miał się rozpocząć za półtorej godziny. Storm drgnął, ruszył w stronę szafy z ubraniami i, nie spojrzawszy na Pete, zapytał ostro: - Kto to jest?

Zmusiła się, by nie patrzeć na jego owłosiony tors i spoglądając mu w oczy odparła:

- A o kogo chodzi?

- O tego faceta, co się kręcił koło ciebie przed startem.

- Widziałeś nas? - „Boże drogi, on jest zazdrosny”, pomyślała.

- To mój brat, Phil. Opowiadałam ci o nim.

Przez chwilę Storm wpatrywał się w nią w milczeniu, po czym zniknął w sypialni. Gdy się pojawił, był boso, bez koszulki i w nie zapiętych dżinsach. Odkręcił kran z zimną wodą i ochlapał twarz oraz wszystko, co akurat znajdowało się za jego plecami.

- Gdzie byłaś wczoraj w nocy?

Usiadła wygodnie na miękkiej poduszce i spojrzała na niego z powagą. „On jest nie tylko zazdrosny”, pomyślała. „Jest zły. Na mnie, ale przede wszystkim na siebie. Zaczyna mu zależeć na mnie i broni się przed tym rękami i nogami. Cierpliwości, Pete. Jeśli jej nie masz, to się naucz”.

- W domu, u rodziców - odparła.

Wytrzeł twarz, zgniótł ręcznik w dużą kulkę i cisnął go do umywalki. Wbił palce w oczodoły, jakby za wszelką cenę chciał wymazać obrazy okropności, które stawały mu przed oczami przez całą bezsenłą noc. „A niech to diabli porwą! O co się bałem? I po co?“, wypominał sobie z goryczą. Widział Pete ranną, pobitą, leżącą bez ruchu i jednocześnie zadawał sobie ból, podsycając pragnienie, by dotknąć jej ciała i smakować jej usta. To wykluczone! Nie mógł sobie na to pozwolić.

Gdy odsunął ręce i otworzył oczy, zobaczył, że Pete stoi przed nim i wpatruje się w jego twarz. Dostrzegł w jej oczach coś innego. „O Boże. Ona jest zakochana. I to we mnie“, pomyślał. „Gdyby tylko udało się, wbrew sobie, nie wchodzić w taki układ. Gdyby można było nie myśleć, ile będzie ją kosztowało to, że zostanie odrzucona“. „Odrzuć to, Storm!“, nakazywał sobie, równocześnie desperacko pragnąc, by Pete nie odeszła.

- Storm... - zaczęła cicho, gardłowym szeptem. Jeszcze nigdy nie widziała takiego bólu w ludzkiej twarzy. - Storm. Co mam robić?

- To - odparł. Nie przestając patrzeć w jej oczy, przyciągnął jej twarz do swojej. Jego usta dotknęły przelotnie jej ust i powędrowały po policzku w górę, do skroni. I to - szepnął, całując jej oczy i pieszcząc twarz dłonią.

Objęła go za szyję i odchyliła głowę, patrząc mu w oczy. Zobaczyła w nich tak głęboką tęsknotę i pragnienie, że aż zakręciło się jej w głowie i w jednej chwili jej serce stało się bijącym źródłem miłości. Poczwała, że mięknie w jego ramionach, jej wzrok traci ostrość, a całe ciało szaleje z radości.

Przywarł do jej ust i całował dziko i namiętnie. Pił słodczy łapczywie i nie przestawał nawet, gdy zmącił ją. słonawy

smak krwi. Wciąż było mu mało potarganych włosów, aksamitnych krągłości ciała i serca, które szalało tuż przy jego piersi jak ptak uwięziony w sidłach. Wciąż było mu mało Jej.

Przyłgnęła do niego. Z odchyłoną do tyłu głową i rozchyłonymi ustami przyjmowała i chłoneła jego pragnienie. Rozpalone usta Storma cofały się nieznacznie tylko po to, by za chwilę ze zdwojoną energią znów drążyć, szukać i pić. W pocałunku rym było niewiele z poprzedniego smakowania i badania. Był niezaspokojony apetyt i nieposkromiona żądza. Oto złączyły się usta - jedno pełne i gotowe dać wszystko, drugie głodne i spragnione, by wszystko wziąć.

Namiętą chwilę brutalnie przerwało pukanie do drzwi, które otworzyły się, wpuszczając do wnętrza snop oślepiającego światła, a stojący za nimi Red Morgan zawołał:

- Storm, tamci zaraz tu będą. Najdalej za dwie minuty.

- Kto ma tu być za dwie minuty? - zapytała Pete, siadając na brzegu kanapy.

- Faceci ze „Sweet Sip” - mruknął Red. Pete skoczyła na równe nogi.

- „Sweet Sip”? - odwróciła się na pięcie i spojrzała w twarz Duchene. - To do nich się umizgujesz, Storm? Nie możesz tego zrobić!

- Nie może? A niby dlaczego? - zapytał ostro Red.

- Storm, przemalowałbyś „Groma” i wypisał na nim tę idiotyczną nazwę? Zrobiłbyś to?

- Tak już jest ze sponsorami - odparł z wyraźną uciechą w głosie. - Dostają ulgi podatkowe tylko wtedy, gdy nazwa firmy albo produktu pojawi się na łodzi w widocznym miejscu.

Pete nie mogła już dłużej powstrzymać tłumionego śmiechu.

- W takim razie może będą chcieli, żebyś nazwał łódź na przykład... - odszukała w pamięci inną, głupawą nazwę napoju

produkowanego przez ten sam koncern. - ...na przykład „Bermudzkie Tango”.

Red spojrział na Pete oczami szeroko otwartymi ze zdziwienia i zapytał:

- Co w nią wstąpiło, Storm?

- To przemęczenie. Mówiłem, że nie wytrzyma pracy w takim tempie - odparł, cedząc słowa. - No i miałem rację.

- Albo... - zanosząc się ze śmiechu, Pete opadła na kanapę. - O, mam... „Truskawkowy Gardłogrzmot”.

- Rany boskie, zrób z nią coś, Storm. Zastopuj ją jakoś.

- Nie udało mi się jej zastopować przez ostatnie trzy dni, więc jakim cudem ma mi się to udać teraz? - odparł i skierował się do sypialni. - Chyba, że masz jakiś pomysł, co Red?

Red długo przyglądał się łzom spływającym po policzkach Pete, po czym powiedział:

- Posłuchaj, Pete. Musisz wziąć się w garść, bo jak się roześmiejesz w niewłaściwym momencie, to sknocisz całą sprawę już na starcie.

Po raz pierwszy mówiąc do niej nie użył słowa: „mała”. To wywarło wrażenie. Otarła łzy grzbietem dłoni i z ciężkim westchnieniem oświadczyła:

- Już dobrze. Masz to u mnie. Nie będzie śmichów - chichów.

Storm wyszedł z sypialni, dopinając koszulę. W tej samej chwili rozległo się pukanie do drzwi. Spojrział sceptycznie na Pete, która zdecydowanie nie wyglądała na eksperta do spraw ślizgaczy i zapytał:

- Czy chcesz, żebym powiedział im, kim jesteś naprawdę? Na pewno zainteresuje ich, jak się robi kadłuby łodzi z silnikiem turbinowym. Czujesz się na siłach?

- Jak najbardziej - powiedziała. Na jej ustach pojawił się zjadliwy uśmiech i dodała: - Ale pod warunkiem, że nazwą ślizgacz „Musujący Ząbek”.

Zanim zdążył spiorunować ją wzrokiem, do autokaru weszli przedstawiciele koncernu. Po serdecznym przywitaniu goście z radością przyjęli zaproszenie Pete do wspólnego obejrzenia ślizgaczy i boksów.

Kiedy Storm był na torze wyjaśniała gościom, jak dostosowano konstrukcję kadłuba do silnika turbinowego, a także jak należy słuchać silnika i jak oceniać zachowanie łodzi po rozbryzgu i kształcie kilwatera. Nie ulegało wątpliwości, że ich entuzjazm dla ślizgaczy niezmiernie się podniósł, zaś Storm pozyskał sponsora.

Zapamiętała zaledwie kilka momentów z dnia, który obfitował w wiele wrażeń i upłynął nie wiadomo kiedy.

W ślizgu 2B Storm zajął drugie miejsce, za „Coastel”, i zdobył trzysta punktów.

Finały Grand Prix Pete obejrzała w towarzystwie ekipy. Bezpośrednio po nich miał się odbyć finał klasy „open”, w którym jak mówiono, „zwycięzca bierze wszystko”.

Przez trzy okrążenia „Grom” szedł łeb w łeb z „Coastel” i „Premium”. Woda zdawała się drzeć od wibracji i ryku silników na najwyższych obrotach. Przegrody i falochrony z trudem opierały się zmaconej kipieli. Gdy na czwartym okrążeniu Storm zaczął wysuwać się do przodu, Pete wiedziała, że łódź przekroczyła próg wibracji. Do końca wyścigu zaciskała pięści tak mocno, że paznokcie wbiły się głęboko w ciało. Storm był drugi na mecie. W trzech ślizgach zdobył tysiąc punktów.

Stał oparty plecami o maskę ciężarówki ze sprzętem. Był zmęczony. Wyczerpujący tydzień nerwów i obłędna harówka, zaczynały dawać znać o sobie. Cysterny odjechały. W rękach gości i obsługi pojawiły się papierosy i puszki z piwem.

Łodzie wyciągnięto z wody i umieszczono na przyczepach. Tłum w boksach zrzedniał. Ekipy porządkowe przystąpiły do sprzątanania. Storm zamknął oczy i pociągnął z puszkii.

- Serwus, koteczku - usłyszał przed sobą.

Nie opuszczając głowy, spojrział przed siebie spod na wpół przymkniętych powiek i zobaczył rudą dziewczynę w purpurowych aksamitach. W nozdrza uderzył go zapach tanich perfum. Poczuł, że jej palce wędrują w górę wzdłuż suwaka skafandra. Odpięła zatrzask pod szyją, rozpięła suwak, który dochodził aż do jego krocza. Rozmarzone oczy rudej stały się mętne.

Nie zmienił pozycji. Wciąż stał prawie bez ruchu z obcasem opartym o zderzak. Ręka rudej wśliznęła się pod skafander i dotknęła jego pośladków. Czekał na gorącą falę, która za chwilę powinna opłynąć jego lędźwia. Zaloty rudej odpowiadały mu. Była jedną z tych bezpiecznych dziewczyn bez twarzy, z którymi nie musiał wiązać się na dłużej.

Dotknęła palcami jego ust. Przypomnił sobie jak Patience zrobiła to samo wczoraj. Znow stanęły mu przed oczami tamte dwa szmaragdy pełne miłości. Wróciło wspomnienie dotyku jej ust i chłodnych, alabastrowych dłoni na jego ciele.

Poczuł na sobie jej spojrzenie i odwrócił się. Stała oparta o „Groma” z założonymi nogami i rękami skrzyżowanymi na piersiach. Odchyliła głowę i ciekawie przyglądała się tamtym dwojgu.

Scena ta wydawała jej się niewiarygodnie podniecająca. Nie byłoby tak, gdyby Storm zareagował na zaloty rudej. Ale nie reagował. Pozostał biernym obserwatorem swego własnego uwiedzenia. Pete wiedziała, że gdyby to jej ręce dotykały go teraz, już dawno zatraciłby się w niej i dla niej. Nie czuła ani zazdrości, ani rozpacz.

„Ona wie. Wie, że te ręce dotykają tylko ciała. Że nie ma mnie dla nich. Ale jak to możliwe, żeby znała mnie tak

dobrze?", myślał. Poczul się nagi, i co gorsza, bezbronny i zdemaskowany.

Ruda spojrzala w tę samą stronę i zobaczywszy Pete westchnęła z żalem. Odsunęła się od Storma i gładząc na pożegnanie jego odsłonięty tors powiedziała:

- Może innym razem, co kotku? Za rok, albo dwa, nie? - a mijając Pete dodała matowym głosem: - Szczęściara z ciebie. Ten facet to ma ciało.

Pete spojrzala chłodno na Storma i wycodziła:

- Spływaj.

Odwróciła się i ruszyła do autokaru po torbę.

Poszedł za nią i stanął w drzwiach, zagrządzając jej drogę.

- Patience...

- Przykro mi, ale nie mam już czasu - rzuciła, sięgając po torbę. - Samolot startuje o szóstej. Cieszę się, że wszystko poszło gładko. Drugie miejsce to niezła lokata, zwłaszcza po tym, co trzeba było zrobić. Ewentualni sponsorzy byli pod wrażeniem. Powodzenia w negocjacjach.

Mówiła spokojnie, rzeczowym, obojętnym tonem. Wyciągając rękę na pożegnanie dodała:

- Miło się z tobą współpracowało, Storm. Oczywiście zobaczymy się jeszcze w tym tygodniu, kiedy przyprowadzisz „Groma” do remontu.

Splótł jej palce ze swoimi i przyciągnął ją do siebie. Nie opierała się, ale też nie rozpląnęła z radości. Spojrzal jej w oczy i dostrzegł zwykłą, codzienną uprzejmość. Widok ten sprawił mu ból. Dotknął ustami jej warg.

Zamknęła oczy, modląc się w duchu, by tym razem był delikatniejszy. „Bądź czuły”, prosiła go w myślach, ale nie był. Znowu jego pocałunek żądał, domagał się i prowokował. Poczula się tak, jakby wyssał z niej całe ciepło.

Pragnęła jego miłości, ale jeśli to, co do niej czuł, było tylko namiętnością, to trzeba jeszcze poczekać.

Duchene opanował się i odsunął od dziewczyny.

- Lepiej się pospiesz, jeśli chcesz zdążyć na ten samolot - powiedział, a wyczytawszy z jej oczu, że mogłaby odłożyć lot do jutra, dodał pospiesznie: - Biegnij. Dla twojego dobra. Pędź, co koń wyskoczy.

Schyliła się po torbę i z wysiłkiem zarzuciła ją na plecy. Podeszła do drzwi, zawahała się i patrząc mu w twarz zaczęła:

- Słuchaj, Storm, ja...

- Wiem. Ale przecież jestem uparty.

Rozdział 5

- Masz chwilę czasu? - wystarczyły trzy kroki od drzwi, by Dave Wilkes znalazł się dokładnie w środku klitki zwanej pracownią Pete Burke. - Oświeć mnie na temat: „Grom Storma”.

Palce Pete odruchowo zmięły arkusze z wyliczeniami, wyjęte przed chwilą z segregatora Rozprostowała je powoli i wygładziła załamania, nawet te nie istniejące. Dave śledził uważnie każdy jej ruch.

- A propos, jak znajdujesz właściciela? To znaczy, co o nim sądzisz?

- Prawdę mówiąc, to on znalazł mnie - odparła wymijająco. - Siedzącą w kokpicie „Groma”.

- Nie o to chodzi. Od miesiący przyglądasz mu się, jakby to był nieznany motyl pod lupą. Spełnił oczekiwania?

- Jeszcze chwila, a pomyślę, że chcesz mnie obrazić.

- Daj spokój, Pete. Rozmawialiśmy przez telefon, nie pamiętasz? Wydawało mi się, że zaczęło ci na nim zależeć.

- Bo zanosilo się na całkiem fajną znajomość - zauważyła chłodno i, unosząc brew, zapytała: - Zdaje się, że chciałeś pomówić o „Gromie”, czy tak?

Dave wyczuł zamierzony chłód w jej głosie, ale zauważył coś jeszcze, mianowicie pokaz sztucznych ogni w jej oczach.

- Dzwonił dziś rano - powiedział. - Przeprawili się przez Góry Skaliste i powinni być tutaj jutro. Chciałbym omówić z tobą remont kadłuba.

- Oczywiście. - „Zadzwoił do Dave'a”. Cztery doby nadziei. Cztery prawie bezsenne noce czekania na telefon, który nie zadzwonił. Cztery dni, w ciągu których przekonała się, że Storm działa na nią jak narkotyk. Woń jego ciała, jego głęboki głos, elektryzujący dotyk jego rąk. Gdy go nie było obok, czuła się tak, jakby coś jej odebrano i zmuszono ją do odwrotu.

Rozłąki nie dało się uniknąć, a milczenie sprawiało jej ból.

Rozłożyła projekt „Groma” na rysownicy i docisnęła brzegi doniczką z geranium i piórnikiem. Omówiła dokładnie każdą fazę naprawy. Dave zadał kilka fachowych pytań.

- ...i dwa ściągacze tutaj. To wszystko - zakończyła splatając dłonie na rysunku tak, że tworzyły zamkniętą obręcz.

- Dużo tego. Szczerze mówiąc nie wiem, jak wam się udało to wszystko pomieścić. Możesz być z siebie dumna, moja panno. Twój sukces.

Zdjęła doniczkę. Arkusz natychmiast zwinął się w rulon.

- Tylko, że teraz trzeba to rozebrać.

- Pamiętasz, co było na liście materiałów, które miałaś zamówić? - Dave skierował się do drzwi chichocząc pod nosem. - No to dopisz: dynamit.

Nigdy dotąd nie widziała swojej pracowni w nocy. Nawet gdy trzeba było zostać po godzinach, to i tak kończyła, gdy przez okna wciąż sączył się szary blask dogasającego dnia. Teraz, w wielokrotnie odbitym i rozproszonym świetle lamp z parkingu, które przeciskało się przez szczeliny między żaluzjami, wszystko wyglądało jakoś inaczej.

Nagle drgnęła i uniosła głowę. Nie wiedziała, dlaczego tak się stało. Dopiero po chwili usłyszała cichy pomruk silnika ciężarówki i szcęk otwieranej bramy. Były to jedyne dźwięki od kilku godzin. Jej odbicie na nie oświetlonej szybie zniknęło. Zapaliły się lampy pod sufitem, a światło odbite od parapetu za oknem rozjaśniło mrok panujący w jej pracowni.

Wstała powoli i czując, jak drżą pod nią kolana, odetchnęła głęboko, by się uspokoić. Przeczesła palcami włosy (obiecowała sobie, że tym razem użyje w tym celu grzebienia). Obciągnęła rękawy bluzki z grubego płótna, którą miała na sobie od szesnastu godzin, i wygładziła załamania na lnianych spodniach. „Przestań wreszcie”, nakazała sobie. Nie

zamierzał składać jej wizyty. To ona chciała na niego popatrzeć, spojrzeć choć raz, i iść do domu.

Stojąc w nie oświetlonym kącie, wpatrywała się w to, co działo się w hali. Storm, ubrany w dopasowaną, niebieską koszulę i obcisłe dzinsy, rozmawiał z Dave'em. Przyczepa z „Gromem” wjechała do środka i zatrzymała się w świetle lamp.

Pete zastygła w bezruchu. Tak, to on. To ten człowiek. Ten mężczyzna. Miłość, przed którą nie było ucieczki, porwała ją ze sobą jak lawina. Serce chciało wyskoczyć z piersi i frunąć. Kochała go, ale wiedziała już, że było w tym uczuciu coś więcej: był tym, z kim chciała przeżyć życie.

W tym momencie zauważył ją Dave. Drgnął i odwrócił się do Storma, który dotknął jego ramienia. Przez dłuższą chwilę rozmawiali cicho, później zaś Dave wskazał jej okno.

Pierwszy raz od wielu miesięcy zauważyła, że Storm Duchene jej szuka. Odwrócił się powoli i jego spokojne spojrzenie zatrzymało się na oknie jej pracowni. Pete wstrzymywała oddech tak długo, że czuła jak palą ją płuca. Storm zauważył ją. Jego wzrok podążył po niewidzialnej linii rozpiętej między jej oknem i jego łodzią, powędrował dalej, wokół hali, by znowu wrócić do jej okna. Tylko ktoś, kto studiował jego gesty i mimikę tak długo, że znał je na pamięć, mógł się domyślić, co oznacza ledwie dostrzegalny uśmiech na jego ustach i lekkie uniesienie głowy. Niepokój ścisnął żołądek Pete, gdy zorientowała się, że Storm znowu próbował nad sobą zapanować. Przypominało to zmaganie dzikiego zwierzęcia, usiłującego zerwać pęta podstępnie nałożone mu we śnie. Duchene skierował się do schodów, zaś Dave jeszcze raz spojrzął w jej okno i zaczął rozmawiać z Redem Morganem. Pete dotknęła dłonią miejsca, po którym wciąż pełzał lęk.

Serce biło w rytm odgłosów jego kroków dochodzących przez nie zamknięte drzwi pracowni. Wpatrywała się nieruchomo w jakiś punkt na podłodze hali i nasłuchiwała. Kroki umilkły. Duchene zatrzymał się w progu.

- Powiedziałem Dave'owi, że zapomniałem ci podziękować za wszystko, co dla nas zrobiłaś - usłyszała za sobą i dopiero wtedy odwróciła się do niego.

- Rzeczywiście zapomniałeś - potwierdziła otwarcie. Uśmiechnął się bez entuzjazmu i dodał:

- Zapomniałem też, że zawsze mówisz to, co myślisz. To głupie z mojej strony. W takim razie... - przestąpił próg i rozejrzał się po pokoju - chciałbym ci... podziękować za... fachową pomoc i wkład pracy.

Wypowiedział to rzeczowo, od niechcienia i bez przekonania. To boli. Zawsze ją bolało. W słabym, rozproszonym świetle zdawało jej się, że twarz Duchene wyraża ulgę.

Wsunął ręce do tylnych kieszeni dżinsów.

- Wydałem ci się interesujący. Prowadzisz dość osobliwą grę - mruknął, z nieukrywaną niechęcią rozglądając się po hali.

- Dave za dużo mówi - odparła. Nie oczekiwała wybuchu z jego strony, ale też nie przypuszczała, że się o tym dowie.

Poczuł się schwyty w pułapkę. Był wściekły na siebie. Kiedy był o wiele młodszy, umiał dać sobie radę z każdą kobietą i każdą formą zalotów bez względu na to, czy były subtelne, ledwie dostrzegalne, czy też bezpośrednie, bezczelne i nachalne. Tak było, dopóki nie spotkał Abbie. Po jej stracie w każdym spojrzeniu wyczuwał niepokój i łzawe współczucie dla kogoś, kto lada chwila mógł stracić kontrolę nad sobą i swoimi uczuciami. Zdawał sobie sprawę, że z jednej strony powodem tego niepokoju była miłość, z drugiej zaś ciche nadzieje, że on, Storm Duchene, nie poniży się do tego, by na

czyichś oczach stać się psychicznym wrakiem. Wybrał inny sposób poniżania się.

Przypomniawszy sobie, jak matka błagała go, by skorzystał z fachowej pomocy. „Wyrzuć z siebie cały żal. Pomów o tym ze specjalistą”, mówiła. Odrzucił jej rady. Czy nie dość, że żal sączył się z niego bez przerwy wąskim i nie wysychającym strumieniem? Miał pozwolić, by ktoś otworzył jego duszę i zbadał ją jak kolejną ciekawostkę zawodową? Nie chciał, by jego udręka wydała się komuś interesująca.

Dave Wilkes użył określenia „ulubiony szczur laboratoryjny”. Storm tak się czuł. To wiele wyjaśniało. Spojrzał w twarz Pete i powiedział:

- Obserwowałeś mnie, próbowałeś czytać w moich myślach i przewidywać moje reakcje i decyzje. Do diabła, ależ był ze mnie okaz, prawda? Tylko dlaczego to robiłaś? Czy „odludek” to dla ciebie zbyt tuzinkowe słowo?

- To wcale nie tak, Storm.

- W takim razie, jak? Skąd u ciebie ta żądza wiedzy, co? Od śmierci Abbie patrzyłem w niejedne oczy i niejedne patrzyły w moje. Czego powinienem szukać w twoich? Pałającej ciekawości, by poznać wszystkie ponure szczegóły z mojego życia. Oczekiwanie na pierwsze potknięcie alkoholika? Drwiącej satysfakcji z mojego publicznego upokorzenia? A może litości dla żalosnego wraka, którym mogę się stać, co? Ciągłe widzę spojrzenia innych sterników i czytam w oczach te same pytania: „Czy Duchene jest dzisiaj normalny? Czy nie będzie szalał? Czy mogę czuć się z nim bezpieczny na torze?”

Przed oczami Pete stanęła scena z restauracji w motelu. Potknięcie alkoholika? Publiczne upokorzenie?

- Ja nic o tym nie wiedziałam... Nie wiedziałam o Abbie.

- To w Detroit to był kolejny eksperyment, tak? - kontynuował Duchene, jakby nie dosłyszał ostatniej kwestii

Pete. - Test czy sprawdzenie popełnionego błędu? A może trzeba było zmienić otoczenie i laboratorium? - Wyrzucał z siebie kolejne pytania, spoglądając z wściekłością gdzieś w bok. - Sprawdzić, czy obiekt reaguje na bodźce? Dotknąć go, pogłaskać i zobaczyć, co robi? - Czuł się oszukany i zdradzony. Inaczej oceniał Pete po pierwszym spotkaniu. Wydała mu się szczerą, otwartą i bezinteresowną. Miał wrażenie, że wtedy poświęcała mu swój czas i energię, nie oczekując, by coś udowodnił. - Stałaś tu, w tym oknie, i obserwowałaś mnie. Dlaczego?

„Jak ci to wytłumaczyć, Storm?“, zastanawiała się, szukając słów, które pozwoliłyby ugasić płomień szalejący w jego oczach i pomogły zburzyć mur, który Storm znowu wznosił wokół siebie.

- Pewnego dnia, kiedy byłam dzieckiem - zaczęła urywanym szeptem - ojciec zawiesił karmnik dla ptaków na brzozie przed oknem mojego pokoju. Chyba wtedy po raz pierwszy uświadomiłam sobie, że obserwowanie życia daje tyle radości, co uczestniczenie w nim, pod warunkiem, że nie ograniczamy się tylko do tego pierwszego. Co pewien czas do karmnika przylatywał szpak. Wtedy jeszcze nie było zakazu używania DDT do zwalczania chorób drzew. Potem wiele szpaków padło, ale ten jeden przeżył.

Uśmiechnęła się. W jej głosie zabrzmiało coś w rodzaju podziwu dla tego nieznanego ptaka.

- Trzeba było widzieć go wśród rozćwierkanych wróbli, jaki był dumny, piękny i silny. Był jak rozbitek, który mimo wszystko przeżył. Czułam, że przetrwał po części dzięki mnie i ziarenkom, które sypałam na parapet. Chwilami zdawał się wyniosły i arogancki wobec innych ptaków. Nie szukały jego towarzystwa, a i on wolał trzymać się na uboczu. Bardzo go... - zawiesiła głos na chwilę i dokończyła: - Byłam do niego bardzo przywiązana. - Podjęła ryzyko i spojrzała w twarz

Storma, zastanawiając się, czy dotarło do niego to ostatnie stwierdzenie. - To prawda, że wiele się dowiedziałam - mówiła dalej - o jego usposobieniu i temperamencie, ale to był po prostu epizod z życia. I nie miał nic wspólnego z tym, dlaczego go obserwowałam. Pewnego dnia, gdy sypałam ziarno do karmnika, zjawił się mój szpak. Nie zdążyłam cofnąć dłoni. Znieruchomiałam i by go nie spłoszyć, wstrzymywałam oddech tak długo, że prawie zemdlałam. Wreszcie odważył się. Sfrunął z gałęzi i usiadł na mojej dłoni. To nie powinno się zdarzyć. Byłoby lepiej, gdyby się przestraszył i nie zbliżał do mnie. Nigdy nie zapomniałam tamtej chwili. Wciąż czuję jego ciepło w mojej dłoni, czuję jak bije jego ptasie serce. To była niezapomniana chwila radości. Oto dlaczego patrzyłam i wyglądałam - powiedziała z cichym westchnieniem. - Dla tej jednej chwili radości, którą mi dał. Dlatego, że w świecie zwykłych wróbli czasem zjawi się taki szpak, który potrafi rozjaśnić szarość dnia. - Ponownie spojrzała w twarz Storma. Wierzyła, że Duchene potrafi wyczuć i zrozumieć, kiedy ktoś mówi prawdę. - Nie oczekiwałam niczego. Wystarczyło mi, że mogę się o niego troszczyć.

Wówczas Storm zrobił to, co chciał zrobić od chwili, gdy znalazł się w jej pracowni, a właściwie od chwili rozstania w niedzielę. Ujął jej twarz w dłonie, przybliżył do swojej i powiedział cicho:

- Może to niezwykle, tym razem niespotykany szpak wygrał z ulubionym szczurem laboratoryjnym.

- Dave stanowczo za dużo mówi.

- Patience - zaczął prawie szeptem. - Nie mogę ci niczego obiecać.

- Nie potrzebuję obietnic - odparła. Potrzebowała czegoś innego. Storma jako podpory i opoki. Jego dotyk i czułość wystarczą, by frunąć do gwiazd. Potrzebowała życiodajnego

ciepła jego oddechu na swojej twarzy, jego ust przy swoich, jego ramion wokół niej. Na razie tyle wystarczy.

- Jesteś tego pewna? - zapytał. Zdawał sobie sprawę, że mógłby odejść od niej i nigdy nie wrócić. Jednak wiedział też, że nie potrafiłby przeżyć bez niej następnego dnia. - Ktoś też tak niegdyś twierdził. A potem gorzko żałował.

„I to ostatnie wciąż cię boli”, odpowiedziała w myślach Pete.

- Żadnych obietnic - szepnęła. - Żadnych oczekiwań.

Ich oczy spotkały się na chwilę przedtem, zanim zetknęły się ich usta. Wtopiła się w niego, przenikając wszystkie mury, które wciąż wznosił wokół siebie, a on wpuścił ją do środka. I nawet nie poczuł bólu; który towarzyszył wejściu w jego życie każdej nowej kobiety. Stało się to tak, jakby nagle odstąpiła go samotność, a jej miejsce zajęła miłość do Pete - Pete gotowej dawać i zaspokajać. Chłonał łapczywie ten dar, on, człowiek głodny, dusza odarta z uczuć. Była taka łagodna i taka kobieca, a on zbyt długo był sam.

- Bóg jeden wie, jak ja tęskniłem za tobą. Nie chciałem tęsknić, ale tęskniłem - wyszeptał. Jedną ręką objął ją w pasie i przytulił do siebie, a drugą zanurzył w jej włosach. Każdy ruch jego dłoni napępiał ją niewypowiedzianą słodyczą i ciepłem.

Oparła głowę na jego ramieniu. Odszukał jej usta i przywarł do nich. Oddawała się pieścizocie jego warg i języka. Wreszcie uwolnił jej usta i smakując policzek, dotarł do ucha. Otworzyła oczy. Zorientowała się, że ktoś wyłączył światło w hali. Wokoło panowała ciemność. Tylko lampa na rysownicy rzucała stożkową smugę na blat.

- Zdaje się, że wszyscy już poszli - powiedziała szeptem. Storm wziął głęboki oddech. Poczował zapach geranium.

- W takim razie, zdaje się, że zostałem bez środka transportu.

- Jeszcze nie jadłam kolacji. Jesteś głodny? - zapytała.

- Jestem głodny.

- Wobec tego pojedziemy do mnie. Ja poprowadzę. - Ręce, które już miały wypuścić ją z objęć, zacisnęły się mocniej. Zaskoczona spojrzała w ciemnoniebieskie oczy i spostrzegła, że płomień zgasł. Ktoś znowu zaczął wznosić ścianę.

„Boże, nie pozwól, bym ją skrzywdził”, modlił się Storm.

- Patience, chyba jeszcze... Nie, to co się stało... Dajmy temu trochę czasu.

- Bardzo rozsądna propozycja - oświadczyła, a w jej oczach zamigotały wesołe błyski. - Zwłaszcza, że na dobrą sprawę znamy się dopiero od tygodnia.

- Chciałem powiedzieć... - przerwał, zaklął pod nosem, zastanawiając się, czy dorastanie do uczucia musi być tak niewdzięczne.

- Chciałeś powiedzieć, że nie jedziemy do mnie tylko po to, by zrobić wesołe hop do łóżka - pogładziła go po policzku i dodała: - Żadnych obietnic, żadnych oczekiwań. Powoli, krok po kroku, czy tak? Wiem i rozumiem. Masz to u mnie. Czy wciąż jesteś głodny?

- Wciąż.

Pomógł jej zamknąć biuro i wyszli na parking.

- Dałabym ci prowadzić - zaczęła Pete, otwierając drzwi żółtego chevroleta - ale w drodze powrotnej z Michigan jakimś cudem udało mi się cokolwiek nadwerężyć skrzynię biegów i czasem dwójka mi gdzieś ginie. Ciągłe obiecuję sobie, że to naprawię, ale...

Przedostatnie zdanie powinno dać Stormowi do myślenia. Drugi bieg raczej nie ginie ot, tak sobie. Chyba jednak nie przejął się tym, co usłyszał, gdyż odpowiedział:

- Mnie to nie przeszkadza.

Wyjechali z parkingu i włączyli się do ruchu na głównej drodze. Storm wyciągnął nogi na tyle, na ile pozwalało ciasne auto i, trąc oczy, słuchał nieprzerwanego potoku słów, które układały się w odpowiedzi na nie zadane pytania.

- Prawdę mówiąc, chciałam go sprzedać. To niezbyt praktyczny samochód. Pali tyle, co czołg. Kupiłam go, kiedy jeszcze pracowałam dla General Motors. Lojalność wobec firmy itp. Już wtedy miał osiem lat. Ten model można dobrze odsprzedać, ale najpierw trzeba zrobić porządek ze skrzynią biegów.

- Światło się zmieniło - zauważył półgłosem, sądząc, że docisnęła gaz, gdyż nie zauważyła sygnalizacji.

- He?

- Światło. Teraz jest żółte.

Nacisnęła dwukrotnie klakson i przefrunęła przez skrzyżowanie. Storm odruchowo nacisnął nie istniejący pedał hamulca po swojej stronie i uderzył kolaniem o schowek na rękawiczki.

- Przejechałaś na czerwonym świetle!

- Nieprawda.

- Właśnie, że tak.

- Przeskoczyłam na żółtym, to pewna różnica.

Odszukanie pasa i zapięcie go w ciasnym autku nie przyszło Stormowi łatwo.

- Ależ ty jesteś kibic! - zawołała. - Gorszy niż egzaminator na kursie.

- Nie jestem kibic, tylko pasażer z duszą na ramieniu. A teraz naprawdę jest czerwone światło! Zwolniła, śmiejąc się i kręcąc głową. Upewniwszy się, że nic nie nadjeżdża z boku, docisnęła gaz i

przeskoczyła następne skrzyżowanie.

- A to co było? - zapytał przez zaciśnięte zęby.

- Przejechałam na czerwonym świetle - odparła z uśmiechem. - Szosa jest pusta. Jesteśmy jedynym pojazdem w okolicy. - Skręciła nagle w prawo, w boczną uliczkę, biegnącą wśród gęstych zarośli. Storm chwycił się za gardło. Bał się, że zmyliła drogę. - To mój skrót - wyjaśniła Pete.

- Nie umrę z głodu, jeśli droga do domu potrwa dziesięć minut dłużej - powiedział i przez pozostałą część wariackiej jazdy uliczkami Seattle siedział sztywno, z zamkniętymi oczami. Dopiero, gdy samochód stanął, odważył się otworzyć oczy i uspokojony po ostatnich przeżyciach stwierdził: - Albo skończyła się benzyna, albo dojechaliśmy.

- To drugie.

Odczekał chwilę, aż odzyska pełną władzę w nogach i wysiadł.

- Czy nigdy nie przyszło ci do głowy, że pewne rzeczy wcale nie tracą na atrakcyjności, gdy robi się je wolniej?

Posłała mu uśmiech przez ramię i odpowiedziała:

- Prawdę mówiąc, nie. Ale jeśli nosisz się z zamiarem, by to, co chcesz, zrobić wolno, to ja się dostosuję i postaram się także, by mi się to spodobało.

Obserwując ruchy jej długich nóg i słodko kołyszące się biodra, jakich dawno nie widział, powiedział sobie w duchu: „To będzie długa noc, panie Duchene. Bardzo długa”.

Włączyła lampę w bawialni. Storm usiadł na kanapie w szaroniebieskie pasy i rozejrzał się po pomieszczeniu.

- Bardzo interesujące - stwierdził, zauważywszy kilka drobiazgów, które choć różniły się kształtem, stylem i epoką, to w tym pokoju harmonizowały ze sobą. Kryształowa karafka rozsiadła się na rzeźbionej maselnicy. Spokojny pejzaż olejny wisiał obok oprawionej okładki „Saturday Evening Post”. - Czy gdzieś tu jest może klucz do twojej osobowości?

- Raczej do mojego systemu kupowania - odpowiedziała i zauważyła, że Storm doskonale komponuje się z tym

otoczeniem, które jakby czekało tylko na niego. Ona też czekała.

- A ów klucz to...?

- Odpowiedź na trzy pytania: czy to mi się podoba? Czy mnie na to stać? Czy mogę wziąć to pod pachę?

- A jeśli nie możesz wziąć tego czegoś pod pachę?

- To zazwyczaj po namyśle odpowiedź na pierwsze dwa pytania jest również negatywna - powiedziała i spróbowała zobaczyć swój dom takim, jakim go widział Storm. Tu wszystko miało swoje miejsce i pozornie oderwane elementy tworzyły harmonijną całość, jak dźwięki w jazzowym akordzie. Storm także pasował do tego miejsca.

- Podoba mi się tu - powiedział, wyczuwając, o czym myślała. Odpowiedziała nieśmiałym uśmiechem. Zapragnął pocałować ten uśmiech. Chwycił ją za rękę i gdy jej nogi dotknęły kanapy, pociągnął lekko do siebie. Usiadła mu na kolanach.

- A mnie podoba się właśnie to - szepnęła.

- To potrwa. Może nawet długo.

- Zrobię wszystko, by mi się spodobało.

Obrysował palcem jej rozchylone usta. Potem dotknął brody, policzka... nosa i skroni. Znowu pogładził jej brwi i zanurzył palce we włosach, później zaś, rysując kciukiem delikatną kreskę na jej szyi, rozpiął dwa guziki bluzki.

- Dobrze tu z tobą - szepnął. - Bardzo dobrze.

Pomyślała, że jeśli teraz jej nie pocałuje, to ona nie wytrzyma dłużej tego napięcia. Gdy wreszcie poczuła jego wargi na swoich, zdawało jej się, że smakuje powiew gorącego wiatru, który nie wysusza, lecz przynosi spragnionym ustom błogi smak porannej rosy.

Nie zauważyła, kiedy rozpiął pozostałe guziki i rozsunał bluzkę. Zamknął jej piersi w swoich dłoniach i pieścił je

delikatnie. Wyprężyła się tak, by jego dotyk przyniósł ulgę coraz bardziej nabrzmiętym pąkom.

Storm pomyślał, że nie wytrzyma następnego takiego ruchu Pete. W skroniach mu pulsowało, a napięcie w lędźwiach stawało się nie do zniesienia. Musiał ją powstrzymać... teraz. Oderwał usta i przytulił ją do piersi tak mocno, że nie mogła się ruszyć.

Nagle szarpnięcie nieomal wyssało całe powietrze z jej płuc. Stalowa obręcz jego ramion uniemożliwiała oddychanie. Poczwała, że włókna jego koszuli za chwilę odcisną się na jej policzku.

- Co się stało?... Storm? Nie mogę złapać tchu.
- Nie ruszaj się przez chwilę.
- Proszę... Storm... - wydobyło się z jej ust.
- Kochanie - zaczął półgłosem, gdy uświadomił sobie, co robi, i zwolnił uścisk. - Znasz przecież ten ból, kiedy zdrętwiała kończyna odzyskuje sprawność i wraca do życia? Nie potrafię inaczej opisać tego, jak się teraz czuję. Tak się złożyło, że coś we mnie, coś co było otępiałe i zdrętwiałe, zaczyna wracać do życia. To nie przychodzi łatwo. Za dużo bólu na raz. Lepiej powoli.

Pete odetchnęła i dotknęła jego twarzy. Chociaż wcale nie było to łatwe, uśmiechnęła się wiedząc, że Storm nie walczy z nią, lecz z samym sobą. Zsunęła się z jego kolan i, spuściwszy głowę, zapięła bluzkę.

Gdy zniknęła za drzwiami, które, jak się słusznie domyślał, prowadziły do kuchni, przechylił się i oparł łokcie na kolanach. Pragnął jej całym sobą. Oparł czoło na dłoniach tak, że jego palce pograżyły się w potarganych włosach. Boże, jak bardzo jej pragnął. Ale nie był gotowy. Jeszcze nie teraz. Dopóki w jej twarzy nie przestanie doszukiwać się rysów Abbie, dopóki nie zniknie uczucie, że trzyma w ramionach nie tę kobietę, dopóki patrząc w dwa szmaragdy, nie przestanie

pragnąć, by stały się dwoma okruchami błękitnego nieba o poranku, nie weźmie tej kobiety.

Wstał, potrząsnął głową i ruszył do drzwi, za którymi zniknęła Pete. Otworzył je powoli, z ociąganiem. Stała przy blacie i kroїła pomidory w równe plastry. Zareagowała na jego wejście podniesieniem głowy.

- Storm, słuchaj, prawie zapomniałam zapytać, jak ci poszło z tymi ze „Sweet Sip”? „Wyjątkowa kobieta”, pomyślał. Podszedł do blatu i zaczął kroїć uprzednio przygotowaną cebulę.

- Kupili U - 79.

- Co takiego?

- U - 79. Kupili na pniu.

Zaskoczona odpowiedzią, zamrugła oczami.

- Jak to, na pniu? Coś poszło nie tak, jak trzeba?

- Skądże znowu. Zaraz po wyścigu właściciel U - 79 ogłosił, że się wycofuje z wyścigów i wystawił cały sprzęt na sprzedaż. Trzy kadłuby, samochód, przyczepa do holowania, ciężarówka ze sprzętem, autokar drużyny, garaż o powierzchni dwóch tysięcy metrów kwadratowych, do tego załoga i sternik, wszyscy z Detroit.

- A „Sweet Sip” ma siedzibę w Detroit?

- Dokładnie.

- Ale tupet - stwierdziła ze złością. - I pomyśleć, że obskakiwałam tych dwóch bubków przez cały dzień! Ale jeszcze pożałują tego, co zrobili - dodała złowrogo i machnęła nożem w powietrzu.

- Czy dlatego, że tym tasakiem skrócisz ich o głowę?

- Nie. Ty ich pobijesz i to na głowę, w każdym wyścigu - odparła. Dodała kolejną kąśliwą uwagę na temat inteligencji niedoszłych sponsorów Storma i oświadczyła: - Przeciwno tobie i mojej łodzi nie mają najmniejszych szans.

„Boże, jak to możliwe, że nie było jej przy mnie przez te wszystkie miesiące?”, zastanawiał się Storm.

Gdy po pewnym czasie znaleźli się z powrotem w pokoju, gdzie nie paliło się światło, Pete spojrziała przez okno na zatokę i zapytała: - Co teraz zamierzasz w sprawie sponsora?

Leżał na kanapie, opierając głowę na jej udzie, zaś jej palce wędrowały niespiesznie wśród czarnych włosów Storma. Wpatrywała się w łuki jego rzęs, które reagując na jej dotyk to opadały, to znów wznosiły się. Takie długie i takie gęste. Znów zapragnęła czuć ich trzepotanie na policzku, na piersiach, na... Znów pragnęła.

- Dostałem sygnały od jakiejś sieci pizzerii - odparł. - Spróbuję ich złapać w przyszłym tygodniu. Palce Pete znieruchomiały.

- Chyba nie chodzi o „Pizzę Pizz”. - Nie.

- Bogu dzięki. Trochę więcej godności, Storm. Znajdź sponsora z poważnym nazwiskiem. Wspaniała łódź zasługuje na godną nazwę.

Uśmiechnął się i powiedział:

- W obecnym stanie rzeczy, liczy się każda firma z poważnym funduszem promocyjnym. A w tej chwili to potrzebna mi taksówka, to inaczej zlegnę na dobre na twojej kanapie.

Westchnęła z żalem, czując, że za chwilę wróci nie chciany spokój, który może kosztować ją dwadzieścia dolarów plus podatek.

- Mogę cię odwieźć - zaproponowała. Otworzył jedno oko i z ukosa spojrział w jej twarz.

- Bardzo dziękuję, ale wolę nie.

- W takim razie bierz tę taksówkę - powiedziała wyniośle.

- I żebyś trafił na wariata za kierownicą.

- Jeśli mam wybierać między znanym, a nieznanym, to tym razem wybieram... to nieznane.

Podpisując ukończony projekt jedną ręką, drugą podniosła słuchawkę:

- Pete Burke, słucham.
- Pete. Też coś. Nawet nie masz głosu jak Pete.
- Cześć, Storm - zawołała ze śmiechem. Ucieszyła się na dźwięk jego głosu.
- Może zjedlibyśmy razem kolację?
- Świetnie. Gdzie się spotkamy?
- Może u mnie?

Zaniemówiła na chwilę. Z wrażenia serce zamarło jej w piersiach. Dotychczas spotykali się w restauracjach. Każde przyjeżdżało i odjeżdżało swoim samochodem. Od tamtej pamiętnej wizyty Storm nie odwiedził jej ponownie, zaś ona też nie spieszyła się z rewizytą.

- Doskonale. Zatem u ciebie. Powiedz jeszcze, o której i czy mam coś przynieść? W głowie huczało jej tak mocno, że wibracje przeniosły się na całe ciało.

- Wystarczy ty - powiedział czule. - Czy wiesz, gdzie mieszkam?

- Widziałam adres na kopertach. Wiem, gdzie ta ulica. Znajdę bez trudu.

- Może się zdarzyć tak, że będę stał przy grillu w ogrodzie za domem. Zostawię drzwi otwarte. Gdybyś nie usłyszała „proszę”, wejdź do środka i przejdź do ogrodu.

Jej dłoń spoczywała na aparacie jeszcze długą chwilę po tym, jak odłożyła słuchawkę.

„Ciekawe dlaczego wybrał właśnie ten dom?”, zastanawiała się Pete, przyglądając się budynkowi przez przednią szybę samochodu. Dom nie był ani szczególnie brzydki, ani wyjątkowo ładny. Obserwowała go przez kilka długich minut, by odzyskać wewnętrzny spokój. Wysoki, spadzisty dach. Okna bez firanek osadzone w głębokich wnękach stanowiły dyskretną zapowiedź ciszy i spokoju

panującego wewnątrz, a także zapewniały skuteczną osłonę przed wzrokiem ciekawskich.

Zapukała, i nie usłyszawszy „proszę”, weszła do środka. W skrytości ducha liczyła na to, że obejrzy sobie wnętrze. Rozglądając się po salonie, doszła do wniosku, że tu wszystko pasuje do siebie, ma swoje miejsce. Nawet deseń zasłon, narzuty na kanapie i obicia krzeseł w jadalni za łukowymi drzwiami. Ściany i dywan również były utrzymane w tonacji stłumionych brązów i beżu. Ustawienie mebli było równie precyzyjne jak dobranie kolorów przez urządzającego lub urządzającą ten dom. Precyzyjne i symetryczne.

„To nie jest dom Storma, lecz Abbie”, pomyślała, chodząc po pokojach. Czuła wokół siebie niepokojący bezruch, jakby wnętrze przyglądało jej się z zapartym tchem i cichą niechęcią. Poduszki do igieł zrobione przez Abbie. Sztuczne kwiaty ustawione przez Abbie. Zdjęcie Storma i Abbie.

Przez otwarte okno w kuchni usłyszała skwierczący tłuszcz na ogniu i muzykę z radia. Storm usłyszał stukot jej obcasów w kuchni i zawołał:

- Jestem tutaj. Musisz się trochę cofnąć.

Zlokalizowała drzwi, przez które dochodził jego głos. Gdy w nich stanęła, zobaczyła, że Duchene w fartuszkach polewa płat żeberka sosem barbecue.

- Przyjechałam prosto z biura. Mogę skorzystać z łazienki?

- Oczywiście. Jest na piętrze, na wprost schodów.

„Zwariowałaś, Pete”, powiedziała do siebie. „To już nie ciekawość, ale masochizm”. Czterech pracowników biura zgrzytało zębami ze złości, gdy pani inżynier Patience Burke zajęła łazienkę na pół godziny, by się „umyć”. A teraz musiała pójść do łazienki Storma. Po prostu musiała. Weszła po schodach, ale najpierw zajrzała do sypialni.

Na szafce przy łóżku stało oprawione zdjęcie Abbie. Wnętrze urządzone w tonacji chłodnej zieleni. Łóżko, na którym mieli się kochać, okrywała narzuta ze wzorem w ślubne obrączki. W powietrzu wciąż unosił się delikatny zapach kobiecych perfum. Zrobiło jej się zimno i gorąco, jakby zaczynała się grypa.

Zmusiła się, by obejrzeć zdjęcie w pozłacanej ramce. Zobaczyła nieskazitelną twarz kobiety o jasnoniebieskich oczach. Czarne włosy do ramion falowały na wietrze. Na pełnych, soczystych ustach zagościł uśmiech - niewypowiedziana aluzja do ukrytej głęboko najśladziej tajemnicy tamtej kobiety.

Schodząc po schodach, zastanawiała się, jakie znaczenie mają dla Storma przedmioty w sypialni. Czyżby stworzył sanktuarium Abbie? Nie, to nie było sanktuarium. Za mało zdjęć nieżyjącej żony. W szafie nie było jej ubrań... Mimo to czuło się tam jej obecność. Jakby wyszła na krótko i miała wrócić lada chwila.

Wiedziała, że nie potrafi. Nie mogłaby kochać się z nim na łóżku Abbie, gdzie w każdym oddechu czułaby jej zapach. Nie byłaby w stanie przewyciężyć wrażenia, że patrzą na nią błękitne oczy tamtej kobiety. Na nią i na Storma.

Wieczór upłynął o wiele lepiej niż oczekiwała. Wspomnienia z przeszłości nie docierały na patio i podwórko. Tam istniał tylko Storm. Żeberka były doskonałe, sos przepyszny, kukurydza słodka, a wino - oczywiście „duchene”.

- Jesteś fantastycznym kucharzem - powiedziała, gdy po skończonym posiłku usiadła mu na kolanach i wtuliła w niego plecami.

- Tylko na świeżym powietrzu. Od takiego ognia w kuchni popękałaby farba - odparł. Zauważył, że dostała gęsiej

skórki i pogładził ją po rękach. - Do licha, ale się ochłodziło. Wejdziemy do środka.

- Jeszcze nie teraz. - Błyskawica rozdarła ciemne niebo. Pete policzyła do trzech, gdy dotarł do nich odgłos gromu. - Ale już wkrótce.

- Znosi się na niezłą burzę. Jak zwykle po upalnym dniu. Spadły pierwsze krople deszczu. Poruszone liście zaszeleściły głośniej. Zebrali nakrycia na tace i wnieśli do środka.

- Ja pozmywam, a ty powycierasz - zaproponowała, gdy wnosił ostatnią tacę. Rozpadało się na dobre. Deszcz miarowo bębnił o szyby, niczym tysiące piąstek mikroskopijnych ludzików.

- Kiedy jedziesz do Indiany? - zapytała, gdy zmywali ramię w ramię. Następny wyścig - „Gromy na Ohio” - miał się odbyć za sześć dni w Evansville w stanie Indiana.

- Jutro, z samego rana.

- Jutro z samego rana - powtórzyła jak echo. W sinoniebieskim Świetle kolejnej błyskawicy zauważył jak na twarzy Pete rysuje się narastająca konsternacja i niepokój.

- Czy ty się boisz burzy, Patience?

Chwyciła ścierkę z blatu i wytarła ręce. Jej ruchy nagle stały się nerwowe i gwałtowne. - Lubię burze. Zwłaszcza te najgorsze, z piorunami!

- Powinienem był się domyślić - odparł oschle.

Chodziła po kuchni, dotykając różnych przedmiotów. Solniczka. Talerz. Tacka. Modliła się w duchu, by nie poprosił jej o pozostanie na noc. Nie mogła zostać, a co gorsza nie mogła mu powiedzieć, dlaczego. On sam powinien to wreszcie zauważyć. Spojrzeć na Abbie inaczej. Oddalić się od niej w sobie właściwym czasie, bez ponaglenia. Jej ręce trafiły na jakiś przedmiot. Zaczęła go obracać bezwiednie, nie patrząc, czego dotyka.

- W takim razie o co chodzi? - zapytał. Przyglądał się jej palcom, które wędrując po okrągłym, srebrnym wieszaku na ściereczki, trafiły na inicjały „A.S.” W pewnym momencie cofnęła rękę, jakby nagle zdała sobie sprawę z tego, co robi i spojrzała na haftowaną makatkę.

- Chodzi o to, że będę tęsknić za tobą - powiedziała z westchnieniem. - Wyjeżdżasz na dziesięć dni, a ja będę tęsknić.

Odczytał napis na makatce: „Witaj w kuchni Abbie Duchene”. „Witaj w domu Abbie Duchene”, pomyślał ponuro. „A to jest mąż Abbie Duchene”. O Boże, jak mógł być taki niewrażliwy i niefrasobliwy? Dlaczego nie pomyślał wcześniej, jak Pete poczuje się tu wśród... tego wszystkiego?

Ruszył niepewnie w stronę Pete. Chciał ją odciągnąć od tego miejsca, od wszystkiego, czego starała się nie zauważać ze względu na niego. Odwrócił ją do siebie, objął i pocałował.

- Musisz już iść?

- Tak... Chyba tak - odpowiedziała z westchnieniem, w którym była ulga, smutek i rozczarowanie.

- Chodź. Wezmę parasol i odprowadzę cię do samochodu.

Kiedy wrócił, stanął w przedpokoju i długo wpatrywał się w bujany fotel. Wreszcie podszedł do telefonu i wykrecił numer siostry Abbie.

- Stęskniliśmy się za tobą, Storm - powiedziała Andrea.

- Już wkrótce was odwiedzę - obiecał. - Słuchaj, Andreo, wciąż jest u mnie ten fotel, na którym matka bujała ciebie i Abbie. Przyszło mi do głowy, że może... przydałby się tobie... jak się urodzi dziecko.

Najpierw usłyszał w słuchawce jak Andrea wstrzymała oddech. Potem zapytał siebie, jak można być takim tępakiem przez tak długi czas. W końcu, po chwili milczenia, szwagierka odpowiedziała:

- Oczy...wiście. Przyda mi się i to bardzo. Dziękuję ci,
Storm.

Rozdział 6

- Co ty tam robisz, do licha, Pete? - Strona z wiadomościami sportowymi opadła na biurko, zaś Dave spostrzegł, że oczy Pete znajdują się na tej samej wysokości, co wywoskowany blat.

- Czytam - odparła zirytowana protekcjonalnym tonem szefa.

- Na podłodze?

- Gdybyś zechciał unieść nieco gazetę, nie musiałabym się zginać w chińskie zero - odparła cokolwiek strofującym tonem, później zaś nie zmieniając pozycji cofnęła się f z powrotem usiadła na krześle.

- A gdybyś zechciała powściągnąć nieco swoją ciekawość, dostałabyś całą gazetę - zripostował Dave, po czym zaszeleścił gazetą i powrócił do czytania.

Pete wcisnęła dłonie między uda i cierpliwie czekała przez okrągłe... dziesięć sekund. Wreszcie, nie mogąc dłużej wytrzymać, wypaliła: - Storm się zakwalifikował?

- Nie - odparł łaskawie Dave.

- A czy w ogóle startował?

- Nie piszą.

- Czy nie sądzisz, że mogło się stać coś złego? Chociaż nie. Raczej nie. Startuje dzisiaj. Możliwe, że nawet w tej chwili. Na pewno tam jest. Dzwonił do mnie z hotelu przedwczoraj wieczorem.

Nie przerywając czytania, Dave wysunął szufladę, wyjął grubą kopertę i pchnął ją po blacie tak, że spadła prosto na kolana Pete.

- Co to jest? - zapytała zdziwiona.

- Mój bilet na samolot. Odprawa jutro rano, ósma trzydzieści. Co prawda, nie zdążysz na ślizgi kwalifikacyjne, ale na pewno zdążysz na niedzielny wyścig.

- Delegujesz mnie? Przecież nie musisz...

- Ale chcę. Nawet proszą. Leć do Indiany - przewrócił stronę w gazecie i dodał lakonicznie: - Mary prosiła, żebym zajął się małą w niedzielę. Chyba, że chcesz mnie w tym wyreńczyć, a ja polecę?

- Już mnie nie ma. - Pete chwyciła kopertę, a gdy dochodziła do drzwi, usłyszała za sobą:

- Jeszcze jedno. Lecisz tam jako przedstawiciel Wilkesa i za pieniądze Wilkesa, więc postaraj się nie zapomnieć o innych łodziach z warsztatu Wilkesa.

- Masz to u mnie.

Do domu pofrunęła jak na skrzydłach. Skorzystała ze wszystkich możliwych skrótów i z paru absolutnie niemożliwych. Niedawno kupiła jasnozielone spodnie i bluzkę. Odcięła metki i ubrała się w nowy strój. Wrzuciła niezbędne akcesoria do torby, zamknęła mieszkanie i popędziła na lotnisko. Na odprawę przybyła w ostatniej chwili. Wiedziała, że nie zdąży na dzisiejsze ślizgi kwalifikacyjne, ale na jutrzejszych będzie na pewno. Nazajutrz rano, o wpół do jedenastej czasu centralnego, zamiast wsiadać do samolotu w Seattle, szła przez parking i boksy toru w Evansville.

Wymieniając przelotnie grzeczności z nielicznymi znajomymi, uważnie wypatrywała go w tłumie. Wreszcie znalazła go. Wyczuła jego obecność o ułamek sekundy wcześniej. Przebiegł ją nagły dreszcz, tętno przyspieszyło i ogarnęła ją fala radości. W pierwszej chwili nie zwróciła uwagi na jego strój, który zupełnie nie pasował do otoczenia. Storm miał na sobie wizytową koszulę, elegancką marynarkę i dobrane kolorem spodnie.

Przyglądając się krzątaniu w boksach, dostrzegł kątem oka szmaragdowozieloną plamę zbliżającą się od strony wejścia. Stał w odległości dwóch kroków od autokaru swojej ekipy i patrzył, jak ta plama rosła, przybierając znajome

kszałty. Energicznym, sprężystym krokiem zbliżała się do niego. Kiedy wreszcie stała się Patience w całej okazałości, Storm uznał, że chyba ją wyśnił.

Gdy zjawa omijała samochód, potrząsnęła głową i uśmiechnęła się do niego. Całym sobą poczuł ciepło tego uśmiechu. Po kilku kolejnych krokach poczuł w nozdrzach jej zapach, aż wreszcie ogarnęła go nieziemska radość, gdy Pete znalazła się w jego ramionach.

- Kiedy cię zobaczyłem, powiedziałem do siebie: „No, Duchene, teraz to już jesteś pomyłony na sto procent, skoro miewasz takie przywidzenia”.

Spojrzała mu w twarz, odgarnęła niepoprawny czarny kosmyk i odetchnęła z ulgą, mówiąc:

- Teraz rozumiem, skąd się wzięło zaskoczenie na twojej twarzy. A już przez chwilę miałam wrażenie, że w autokarze schowałeś sobie jakąś miłą panienkę na czarną godzinę.

- Powiedziałaś „zaskoczenie”, tak? - odparł z uśmiechem, który był szczery, czuły, bardzo chłopięcy i już bez tego gorzkiego grymasu, z którym powracała przeszłość. - Oczywiście, że byłem zaskoczony. Ba, zaszokowany! Przecież masz na sobie barwy „Coastal”!

- O rany, masz rację! - zawołała z uśmiechem i, odchyliwszy się nieco, pogładziła klapy jego marynarki. - A ty dlaczego się tak wystroiłeś?

- Serwus, Pete - zawołał Red, wyskakując z autobusu. Nawet jeśli był zaskoczony jej zjawieniem się w boksie, to tego nie okazał. - Myślałem, że już pojechałeś, Storm.

- Pojechałeś? - Pete powtórzyła odruchowo. - A dokąd się wybierasz?

- Ci od pizzy zaprosili mnie na lunch. Jadę olśnić ich moim osobistym urokiem i charyzmą. Jeśli zdecydują się sponsorować „Groma”, to trafię na ich listę płac. Będzie sam

zastępca szefa i dyrektor działu kadr. Trzeba będzie błysnąć talentem krasomównym.

- Ale przecież nie zaliczyłeś ślizgu kwalifikacyjnego - zaproponowała Pete.

- Mam ostatni numer na dzisiejszej liście startowej. Nie odprawia mnie wcześniej niż o czwartej. - Wróć dużo przed czwartą - przyciągnął ją do siebie, wtulił nos w jej włosy tuż za uchem i szepnął: - Jedź ze mną, bo inaczej zanudzę się na śmierć. Jedynym miłym akcentem będzie twoja noga pod stołem. Co ty na to?

- Chciałabym, ale... - przerwała, potrząsnęła przecząco głową i dokończyła: - Dave przysłał mnie tu służbowo. Jestem zobowiązana poświęcić tyle samo czasu i uwagi każdemu klientowi.

- Tyle samo? Nie ma mowy...

- O cześć, Pete - zawołał Ricky Stevens. - Ekipa „Premium” cię szuka. Jerry liznął jakąś falę i chce, żebyś przyjrzała się lewej barbecie.

- A nie mówiłam? - powiedziała, krzywiąc się z niechęcią. - No, trudno. Idź olśniewać, a ja pójdę zbadać to i owo. Wrócisz tu...?

- O pierwszej trzydzieści, najpóźniej o drugiej.

Nie pojawił się ani o pierwszej trzydzieści, ani o drugiej, ani o trzeciej.

- Minęła czwarta, Red - stwierdziła Pete, chodząc nerwowo wokół ciężarówki ze sprzętem. Red siedział przy uchylonych tylnych drzwiach i spokojnie patrzył na coraz bardziej zaniepokojoną Pete. - Gdzie on jest?

- Nie wiem.

- Czy jeśli się spóźni, skreślą go z listy startów?

- Nie wiem.

- A jeśli nie zaliczy ślizgu kwalifikacyjnego i nie wystartuje jutro, to tamci od pizzy będą chcieli go sponsorować?

- Nie wiem.

- Czy w razie czego pozwolą mu zaliczyć ślizg kwalifikacyjny rano, przed głównym wyścigiem?

- Co to jest: przesłuchanie czy test na inteligencję? Mówię po raz ostatni: nie wiem! I przestań w kółko zadawać pytania, bo już mi się kręci w głowie!

Pete zaprzestała chodzenia w kółko. Było dwadzieścia po czwartej.

- Nie wytrzymam tego dłużej! - zawołała. - Każ spuścić „Groma”.

- Odpada. Ślizgacz nie może długo stać na wodzie. Konstrukcja tego nie przewiduje.

- Mnie to mówisz?

Spojrzał na nią i z miną niewiniątka powiedział:

- Mogło ci wylecieć z głowy. Zdarza się każdemu, nawet konstruktorowi.

- Bez obaw, nie wyleciało mi z głowy. Spuść łódź na wodę. Ja zaliczę ten ślizg.

Mina niewiniątka zniknęła, a jej miejsce zajął wyraz twarzy zdziwionej kaczki. Pete zorientowała się, że trafiła we właściwe miejsce.

- Jesteś motorowodniakiem? Masz patent? Uprawnienia? Patrząc w ziemię między stopami, zmarszczyła brwi i odpowiedziała:

- No... niezupełnie.

- Ach, niezupełnie - powiedział, cedząc sylaby. - Jesteś albo nie. Masz patent albo go nie masz. Ty akurat nie masz.

- Do jasnej cholery, Red! Przecież testuję wszystkie kadłuby u Dave'a Wilkesa!

- Co ty powiesz? No to testuj dalej - usłyszała w odpowiedzi. Próbował zbyć ją półsłówkami, propozycja Pete zrobiła na nim jednak wrażenie. - Przepisy są wyraźne. Zawodnik kwalifikujący łódź do wyścigu musi mieć patent i uprawnienia. Brak jednego albo drugiego powoduje natychmiastowe skreślenie z listy startowej.

Klapnęła obok Reda i razem wpatrywali się w wejście do boksów.

W pewnym momencie Red zaklął pod nosem. W ich stronę szedł sędzia główny, Jeff Croup. Wyprostowali się i przyjęli beztroski wyraz twarzy.

- Podchodzicie czy nie? - zapytał ostro Jeff.

- Podchodzimy - odburknął Red. - Kiedy?

- Na końcu, jak będzie wiadomo, że możemy mieć tylko lepszy czas - improwizować Red. - Storm chce mieć pierwszy czas dnia bez powtarzania ślizgu.

- Jak sobie chcecie. - Jeff posłał Redowi miazdzące spojrzenie. „Raczej się nie kochają”, stwierdziła w duchu Pete.

- Przypomnij swojemu sternikowi, że tor zamyka się punktualnie, Ani minuty później - ostrzegł Jeff i odszedł.

Spojrzeni na siebie, zbici z tropu i przygnębieni. Pete zwilżyła usta językiem i szepnęła:

- Nikt nie musi wiedzieć, że sternik w „Gromie” to nie Storm Duchene.

Odczekała chwilę na ewentualną zjadliwą uwagę szefa mechaników. Korzystając z jego milczenia, zaczęła wykladać karty na stół.

- Jestem prawie tego samego wzrostu, co Storm. Jeśli wyjdę z autokaru ubrana w jego skafander, nikt nie zauważy różnicy. Czy tuż przed startem sprawdza się tożsamość zawodnika?

Zamyślony Red podrapał się w głowę i odparł: - Nie.

- Będę w jego kasku. Nikt nie ma dostępu do Storma, kiedy on opuści przesłonę. Pozostaje tylko przejść z autokaru do pomostu i wsiąść do łodzi, Red.

Zniżyła głos do konspiracyjnego szeptu.

- Jasne, że tak. Zwłaszcza na zamkniętym torze i bez rywali. Przyznaję bez bicia, że do wyścigów to ja się nie nadaję. To zupełnie co innego. Teraz jednak będę na torze sama. Wystarczy rozpędzić łódź i zrobić jedno okrążenie na pełnej szybkości.

Red pokręcił głową, jakby nagle uświadomił sobie całą niedorzeczność pomysłu Pete.

- Storm nas zabije.

- Nawet się nie dowie, dopóki nie wrócimy do autokaru. Może na początku trochę się pozłości, ale potem będzie nam wdzięczny. Zobaczysz - mówiła Pete pewnym, spokojnym głosem. - Chce zdobyć tytuł mistrza kraju. Jesteś jego przyjacielem, Red. Dobrze wiesz, ile dla niego znaczy powrót do czołówki. Nie stać go na pauzowanie w wyścigach.

Red miał galimatias w głowie. Pete wyczuła, że jeśli posunie się o krok dalej, to wszystko przepadnie. Szef mechaników zmrużył oczy, obejrzał boksy, tor ślizgu i dokładnie przestudiował drogę od autobusu do pomostu, wreszcie zatrzymał spojrzenie na Burcie Wintersie i szcęknął:

- Burt, dawaj ją na wodę.

Zeskoczył na ziemię i niebywale spokojnym, wręcz beztroskim krokiem ruszył do autokaru. Pete podążyła za nim, dzielnie nadrabiając miną.

Zniknęli wewnątrz pojazdu, gdzie zaczęła się gorączkowa krzątanina. Wymieniając szeptem zdawkowe uwagi, wyciągnęli z szafy skafander, azbestowe rękawice i kask. Red dwukrotnie sprawdził system bezpieczeństwa. W tym czasie Pete błyskawicznie przebrała się w sypialni.

- Chyba mam mały problem - powiedziała, defilując w białym skafandrze Storma.

- Rany boskie, nikt nie uwierzy, że to Storm.

- No właśnie. Przecież on ma bary! - Skafander był dopasowany do figury Storma. Gdy założyła go Pete, opinał się tam, gdzie nie powinien, a w kilku miejscach, zwłaszcza w ramionach i talii, był o wiele za luźny. Fałdy mogły ją zdradzić. Na szczęście od pasa w dół leżał prawie jak ulał. - I całkiem atrakcyjną pupę, prawda? - dodała po chwili.

- Jakoś uszło to mojej uwadze - odburknął Red.

- Trzeba coś zrobić z fałdami. Są tu swetry albo coś w tym rodzaju?

- Uważasz, że wytrzymasz w swetrze w kokpicie, gdzie jest prawie siedemdziesiąt stopni?

- A mam wybór? Gdzie te swetry?

Trzy wełniane pulowery skutecznie zlikwidowały fałdy i załamania, nawet piersi Pete nie odznaczały się tak, jak poprzednio. Wkładając rękawice, ruszyła do wyjścia. Red zatrzymał ją w połowie trzeciego kroku.

- Nic z tego. Przecież ty chodzisz jak...?

- Jak kto?

- No, z wypiętą pupą... jak kobieta. No i to machanie ręką... Storm robi to zupełnie inaczej...

- Jest za piętnaście piąta, Red. Chyba trochę za późno na naukę chodzenia, co?

Nerwowym ruchem przeczesał rudą czuprynę, która teraz przypominała ognistą lunę wokół twarzy.

- Zawołam chłopaków. Trzeba cię wziąć w środek, żeby nikt nie zauważył.

- Chcesz wtajemniczyć pozostałych? Uważasz, że to rozsądne?

- Czasem trzeba zaufać nawet własnej ekipie - odparł i gwizdnął na Ricky'ego, Randy'ego i Burta. Wyjaśnił im, o co

chodzi, później powiedział do Pete: - Abe i Marty zrobią rozpoznanie.

- Jasny gwint, ale numer - zawołał Ricky. - Kawał drogi przed tobą, Pete.

- Gotowa? - zapytał Red.

- Gotowa - odpowiedziała i, opuściwszy przesłone kasku, wyszła z autokaru. To był najdłuższy spacer w jej życiu. Zdawał się ciągnąć w nieskończoność. Musiała przejść przed oczami sędziów, wielbicieli i ludzi z prasy. Startowała na samym końcu, nic więc dziwnego, że wszyscy na nią patrzyli. Szła wstrzymując oddech. Na szczęście nikt jej nie zaczepił po drodze. Dopiero, gdy wślizgiwała się do kokpitu, powoli wypuściła powietrze, które zaczynało rozsadzać płuca. Red kucnął i podłączył do upręży awaryjny wyłącznik. Gdyby Pete została wyrzucona z łodzi, wyłącznik ten unieruchomiłby silnik, co pozwoliłoby uniknąć ryzyka, że łódź zamieni się w rozszalały i pozbawiony kontroli bolid.

- Przed startem zawsze przekazuję Stormowi ostatnie uwagi - powiedział cicho Red, gdy Pete studiowała tablicę rozdzielczą. - Skiń głową kilka razy i słuchaj uważnie tego, co powiem. Bez popisów i brawury, mała. Zrób półtora okrążenia i nic ponadto, jasne?

Skinęła głową.

- Pete... - Red odchrząknął, by zatuszować drżenie głosu.
- Wróćcie obie. Nie wyobrażam sobie, co by się z nim stało, gdyby coś się tobie przytrafiło.

Skinęła po raz drugi.

Storm wjechał do boksów i zaparkował drzwi w drzwi z wejściem do autokaru. Przelotnie spojrzął na boksy i pustą przyczepę. Wbiegając do Środka, pomyślał ciepło o Redzie, który przezornie kazał spuścić łódź na wodę. „Grom” na pewno czekał przy pomoście. Zostało niecałe pięć minut, by go zakwalifikować.

Miał już wychodzić, gdy usłyszał basowy ryk odpalanego silnika. Odwrócił się na pięcie i, nie podchodząc do okna, wyjrzał przez przednią szybę. „Co jest do cholery?“, mruknął, a gdy zobaczył jak czerwony kadłub drgnął i zaczął się unosić, domyślił się, że „Grom” rusza na tor. Już miał wybiec i zrugać Reda, gdy ten stanął w drzwiach i zablokował wyjście. Zbity z tropu Storm spojrział na niego i, marszcząc brwi, zapytał:

- Kto jest w łodzi?

W zawodach ślizgaczy zdarzało się, aczkolwiek bardzo rzadko i w wyjątkowych sytuacjach, że inny sternik kwalifikował łódź do punktowanych ślizgów.

- Gdzie się podziewałeś, do ciężkiej cholery? - zapytał ostro Red, odwlekając chwilę, kiedy będzie musiał odpowiedzieć na pytania Storma.

- W samym środku karambolu na trzypasmowej autostradzie. Czekałem, aż rozprują cztery ciężarówki przede mną. Może mi wreszcie powiesz, kto jest w łodzi? - powoził pytanie i ruszył do drzwi.

Red chwycił rękę zmierzającą do klamki i zwilżył zaschnięte usta. Krople potu spływające z czoła dotarły do brwi.

- Musisz zostać w środku, Storm.

- A to dlaczego?

- Bo sternik nie miał przy sobie patentu - odpowiedział Red i czując narastający niepokój Storma, dodał pospiesznie. - To doskonały fachowiec. Zawsze polegałeś na mojej opinii w tych sprawach. Poza tym nie mieliśmy czasu. Ty się spóźniałeś, trafił mi się doświadczony sternik, ale bez papierów, no i załatwiliśmy to tak, że każdy myśli, że to ty jesteś w łodzi.

Storm powoli przetrawił to, co usłyszał od szefa mechaników, i opanowanym głosem powiedział:

- Niech ci będzie. Sam nieraz robiłem takie numery sędziom, ale tylko kiedy musiałem. A teraz powiedz wreszcie, kto jest w łodzi.

Red zbladł tak bardzo, że jego czupryna stała się jeszcze bardziej ruda, o ile to w ogóle możliwe. Puścił rękę Storma i zrobił gest proszący o wybaczenie i zrozumienie tego, co się stało. Duchene poczuł, że po plecach przemaszerował mu legion mrówek, a krew zastygła w żyłach. „To niemożliwe!” powiedział do siebie. „Ale w takim razie, gdzie jest Pete?” W tym momencie zauważył na brzegu łóżka zrzucone w pośpiechu zielone spodnie i bluzkę. Strach ścisnął go za gardło. Przerazenie rozpełzło się po trzewiach i skręciło żołądek. Powoli zacisnął dłonie w pięści i napał na cofającego się Reda:

- Pytałem „KTO?”, Red.

Rozdział 7

Spotkanie z torem było dla Pete jak spotkanie z nieznanym - nie wiedziała, czy okaże się wrogiem, czy przyjacielem. Uznała, że zanim podejmie wyzwanie, powinna poznać nastroje i charakter rzeki.

Osiągnąwszy prędkość stu dwudziestu kilometrów na godzinę sprawdziła, jak łódź zachowuje się na torze. Odkryła także, że rzeka nie jest taka gładka i miła, jak oczekiwała. Zlokalizowała odcinek „łagodnej” wody i zakodowała jego współrzędne. Oszacowała krzywiznę nawrotu i prędkość wejścia w zakręt.

Odniosła wrażenie, że łódź stoi w miejscu, a świat wokół niej przelatuje z oszołamiącą prędkością. Kształty i barwy zamazywały się i nakładały na siebie. Wejście w każdy zakręt oznaczało brutalne rzucenie ciała w lewo. Zaciskając kurczowo dłonie na kierownicy, czuła wibrację każdej zmarszczki na wodzie, a każde spotkanie dziobu z następną falą odczuwała jak tępe uderzenie w śródreczę, przenoszone na ramiona i piersi. Upłynie co najmniej pół godziny, zanim odzyska czucie w dłoniach i co najmniej pięć dni, zanim zbledną sińce na lewym boku.

Nie czuła swojego ciała, nie czuła bólu i gorąca. Była tylko niewiarygodna i niewyobrażalna prędkość i ryzyko. Gdy podniecenie i strach dotarły do każdej odrobiny jej jestestwa, przymknęła przepustnicę. Wskazówka licznika drgała wokół kreski „dwieście dwadzieścia kilometrów na godzinę”.

Red milczał, patrzył jak miejsce przerażenia na twarzy Storma zaszła bezsilna wściekłość. Z trudem chwytając powietrze Duchene wykrztusił:

- Pozwoliłeś... na to? Wys... tawiłeś ją... na takie... ryzyko?

Nikt spośród tych, którzy znali Reda Morgana nie nazwałby go uczuciowym. Był to człowiek, który zakochał się

i kochał tylko raz, w dodatku bez wzajemności i na próżno. Każdy romans byłej żony wyrzył się głęboką bruzdą na jego twarzy. Pod maską szorstkości i nieprzystępności krył się niewypłakany żal po przyjaciółach, których pozbawił go tak bardzo ukochany sport i zawód. Mimo tylu bolesnych przeżyć nie stał się całkowicie nieczuły. Martwił się o Storma i chociaż zdawał sobie sprawę, że nie nadawał się do roli pocieszyciela, podjął nieśmiałą próbę złagodzenia wściekłości Duchene.

- Słuchaj, Storm, ona przecież testuje łodzie Wilkesa. Dave uważa, że...

- Guzik mnie obchodzi, nawet gdyby była rekordzistką świata! Co ci strzeliło do łba, żeby ją wsadzić do tej łodzi? Mów!

- Nie musiało strzelać. Jestem tu głównym mechanikiem i znam się na rzeczy. Poza tym, do ciężkiej cholery, chyba pamiętasz, że nieraz spadało na mnie znalezienie zastępstwa za ciebie, co?

- Tylko dlatego, że uważałem ciebie za kogoś z głową na karku - warknął Storm walcząc z przemożną chęcią uduszenia swojego szefa mechaników.

- Sam nieraz pożyczasz „Groma” na przejażdżki różnym gościom z ekipy. Nawet takim, co nie potrafią zaparkować samochodu nie wgniatając zderzaka!

Krew odpłynęła z twarzy Storma. Wokół jego ust zarysowała się cienka, blada kreska.

- Ale nie jej. Nie powinieneś być na to pozwolić, Red. Morgan wbił wzrok w Duchene i powiedział wolno:

- A to niby dlaczego? Ona zna się na tym. Testuje nowe ślizgacze u Wilkesa. Co z tego, że nie ma patentu i specjalnych uprawnień na papierze? Zresztą niby dlaczego miałem się nie zgodzić?

Storm cofnął się. Spojrzał przez przednią szybę na tor. Znowu wrócił przykry chłód i dreszcz niepokoju. To, co dziś rano obudziło się do życia i zakiełkowało w jego sercu, teraz znowu porażone chłodem schowało się w skorupie.

- Ona ma tylko zrobić minimum kwalifikacyjne i nic poza tym.

- Dała znak - warknął Storm. - Dawaj swój stoper.

Red wyjął stoper z kieszeni i położył go na wyciągniętej ręce Storma, który wpatrywał się w tor. Gdy czerwony kadłub minął boję, włączył stoper. Bezsilny wobec ogromu niebezpieczeństwa, w jakim znajdowała się Pete, wpatrywał się tępo w kilwater goniący łódź, która zataczała szeroki łuk. „Grom” ponownie opłynął boję. Storm włączył stoper.

- Minuta osiem - powiedział i spojrzał na Reda. - Jaka to prędkość?

- No... chyba duża.

- Średnia na okrążeniu dwieście czterdzieści kilometrów na godzinę, zgadza się?

- Coś koło tego.

- W takim razie, ile musiała wyciągać na prostej, robiąc tak szeroki łuk, co? - Red po raz pierwszy w życiu słyszał Storma mówiącego tak lodowatym tonem. - Zakwalifikowała łódź. Teraz idź tam i przyprowadź ją do autobusu. - Cofnął się od drzwi i powiedział za wychodzącym Redem: - Ale nie wchodź z nią do Środka. Chcę z nią pomówić w cztery oczy.

Pete zatoczyła jeszcze jeden łuk, zredukowała prędkość do stu dziesięciu kilometrów na godzinę i wyłączyła silnik. Łódź zwolniła gwałtownie pod wpływem ciągu wstecznego i stanęła dziesięć metrów od pomostu pływającego. Pete wyskoczyła z kokpitu i stanęła na pokładzie. Ricky rzucił cumę, która trafiła ją w pierś. Pete chwyciła ją i przełożyła przez rozek pokładowy. Stanęła w rozkroku, jak to zwykle robił Storm, i

wybierając cumę, doholowała łódź do pomostu. „A niech to!”, pomyślała. Jeszcze nigdy nie czuła się tak dobrze.

Jedynym jej pragnieniem było zerwać z głowy kask i poczuć na twarzy powiew wiatru. W czasie ślizgu nie czuła gorąca, które teraz dało znać o sobie z całą siłą. Mała wrażenie jakby zanurzono ją w kotle z gotującą się smołą. Zobaczywszy minę Reda, który patrzył na nią jak zbity pies, domyśliła się, że sytuacja jest poważna. „Pewnie sędziowie odkryli zamianę” przeszło jej przez głowę. Przeskoczyła przez pomost i spojrzała Redowi w oczy.

- Czeka na ciebie w autokarze - powiedział.

„A żeby to...!” Liczyła, że uda im się załatwić sprawę, zanim Storm wróci. Wówczas łatwiej by jej było wytłumaczyć mu ich postępowanie. Uchyliła nieco przesłonę i powiedziała:

- Zdaje się, że żyjesz i jesteś w jednym kawałku. To pewne pocieszenie. Wciąż jesteś szefem mechaników?

- Nie pora na takie pytania.

- Ile byś mi dał, na skali od jednego do dziesięciu ?

- Sto dwadzieścia.

Gwizdnęła cicho i opuściła przesłonę. W swoich planach nie uwzględnili, że wielbiciele ruszą do ataku po autografy. Nie odstraszyło ich nawet to, że Storm Duchene miał wciąż opuszczoną przesłonę. Red był zmuszony dość ostro obejść się z kilkoma zbyt natarczywymi fanami. Pete przesuwiała się za nim ze wzrokiem utkwionym w drzwiach autokaru. Dopiero tam będzie bezpieczna.

Gdy tylko drzwi się za nią zatrzasnęły, zdarła kask i cisnęła na krzesło. Nie podnosząc głowy, wytarła rękawem spocone czoło i wtedy jej wzrok trafił na stopy Storma, który stał pół kroku przed nią i najwyraźniej nie zamierzał się ruszyć. Wciąż patrząc w ziemię, powiedziała:

- Zdaje się, że trochę nadwątlłam twój publiczny wizerunek. Nie chcieliśmy być niemili dla wielbicieli, ale

zdarzyło się paru natarczywych. - Potrząsnęła głową. Rozpryskując krople potu z włosów, spojrzała mu w oczy. Były niesamowicie niebieskie, jak niebo tuż przed burzą. Po plecach Pete przeszły ciarki. - Oho, nadciąga nawałnica - powiedziała pod nosem.

- Co to ma znaczyć? - zapytał ostro.

- Powiedziałam: „oho, nadciąga nawałnica”. Zdaje mi się, że już ją słysząc - odparła i ruszyła do sypialni. - Gdybyś zechciał zaczekać z wybuchem, dopóki nie wyplączę się z tego skafandra...

Chwycił ją za rękę, wbił w nią wściekłe spojrzenie.

- Nie zamierzam czekać - warknął. - Nie tylko z tym. - Chwycił jej drugie ramię i przyciągnął do siebie. - Coś, ty najlepszego zrobiła?

- Uratowałam twój tyłek.

- Tylko bez żartów, do cholery!

- Żarty? - powtórzyła. Była tak rozemocjonowana ślizgiem, że mogła w każdej chwili stracić panowanie nad sobą. - Żarty? Zakwalifikowałam twoją łódź, bo szanowny pan raczył się nie zjawić, kiedy trzeba. Dzięki mnie znalazłeś się na jutrzejszej liście startowej, ty cholerny bubku! Dzięki mnie jesteś o krok bliżej do tytułu mistrza! A skoro nie przyszło ci do tej zadufanej w sobie mózgownicy, żeby mi chociaż podziękować, to przynajmniej najpierw daj mi wyjść z tego pieca martenowskiego na suwak!

Nie wiedział, co zrobić - sprać ją na kwaśne jabłko czy całować do utraty tchu. Patrzył w twarz rozpromienioną gorącem, oczy pałające żarem i namiętnością. Strach i złość stopiły się w jedno: poczuł, że znowu ogarnęło go pożądanie. Wyobraził sobie te dwa szmaragdy eksplodujące w uniesieniu najwyższej rozkoszy, te piersi tuż przy swoich. Wizja ta przeraziła go. Odsunął ją od siebie, jakby nagle jej ciało zaczęło parzyć.

Oddychając z trudem, przeszła do sypialni. Podniosła prawą rękę i spróbowała rozsunąć suwak.

Zdrętwiałe palce odmówiły posłuszeństwa. Kilkakrotnie ponowiła próbę, wreszcie zrezygnowała i wróciła do Storma.

- Czy możesz pomóc mi to rozpiąć? Nie czuję palców...

- Patience, ja... - rozsunał suwak i, zdjawszy skafander z jej ramion zaniemówił, gdy zobaczył gruby, wełniany sweter.

- Cóż to jest na miłość boską?!

- Jesteśmy tego samego wzrostu i prawie tej samej budowy. Prawie... - wpadła mu w słowo. Po zarumienionych policzkach płynęły kolejne strugi potu. Poczowała, że ogarnia ją fala gorąca, a świat wokół staje się czarny.

- Skrajne przegrzanie organizmu - mruknął pod nosem, ściągając jej skafander z nóg. Wyprostował się i zaczął zdejmować sweter. - Rany boskie, ile ty tego masz na sobie?

- Trzy - odpowiedziała szeptem.

Obficie przeklinając, zdjął z niej wszystkie przesiąknięte potem rzeczy. Kiedy została tylko w staniku i majteczkach, posadził ją na łóżku i poszedł do łazienki. Wrócił z ręcznikiem namoczonym w zimnej wodzie, położył ją na łóżku i zaczął wycierać jej twarz i szyję.

Gdy świat odzyskał normalne barwy, otworzyła oczy i zobaczyła nad sobą twarz Storma.

- Jeśli jeszcze masz ochotę wyżyć się na mnie, to się nie krępuj - powiedziała, widząc, że w ciemnoniebieskich oczach wciąż szaleją dziwne błyski. - Przecież o to ci chodzi... prawda, Storm?

- O to mi chodzi?! - ujął jej twarz w dłonie, spojrzał głęboko w oczy, potem na usta i szyję. - Nie. Na pewno nie oto.

Evansville przemknęło za oknami samochodu jak zjawą. Zresztą nawet gdyby Storm jechał w żółwym tempie, rozmarzona Pete i tak nie zauważyłaby niczego oprócz

nakładających się na siebie barwnych plam. Przez całą drogę trzymał ją za rękę. Nie byli w stanie rozdzielić się; nawet na kilka minut. Zaczęło się to jeszcze w autobusie, gdy przywarli do siebie z dziką namiętnością, by odskoczyć od siebie, gdy zdali sobie sprawę, że ktoś mógłby ich zastać w niedwuznacznej sytuacji. Storm zręcznie zaparkował przed hotelem i gdy tylko wysiedli, nie mniej zręcznie odnalazł dłoń Pete, z którą musiał rozstać się, by zamknąć samochód.

Gdy otwierał drzwi do swojego pokoju, Pete zastanawiała się, które apartamenty w tym budynku zostały zarezerwowane specjalnie dla niej.

Wszedł pierwszy. Pete, przestąpiwszy próg, natychmiast znalazła się w jego objęciach. Oparła głowę na jego piersi. Była jak statek w oku cyklonu czekający na nieuchronne uderzenie huraganu. Czowała przyspieszone bicie jego serca tuż przy swoim i dotyk dłoni wędrujących po jej plecach. Spojrzała na porozkładane rzeczy. Odchyliła głowę i, patrząc mu w oczy, powiedziała:

- Muszę wziąć prysznic. Od wczoraj wieczór jestem w tym samym ubraniu i zdaje się, że pachnę jak przegrzany kokpit.

- Mnie to odpowiada. Taka spocona jesteś bardziej podniecająca. Co najmniej dwa razy bardziej - odparł, odgarniając jej włosy. Grube, błyszczące kosmyki zdążyły już wyschnąć. Zobaczył, że zmarszczyła nos na znak, że nie podziela jego zdania w kwestii zapachów i dodał: - Łazienka jest tutaj. Wchodź śmiało, a ja tu trochę posprzątam.

Gdy lustro zaparowało całkowicie, Pete zdjęła z siebie wygniecione ubranie oraz przepoconą bieliznę. Weszła pod prysznic i wystawiła twarz na strugi wody, które spływały po ciele, przynosząc ulgę i odprężenie. Myślała o tym, że za chwilę znajdzie się znów w jego ramionach, w jego łóżku, i poczuła jak wypełnia ją radosne oczekiwanie. Otworzywszy

oczy, stwierdziła, że zasłona kabiny jest odsunięta, a Storm patrzy na nią.

Był nagi, niszczycielsko męski i zmysłowy. W tej samej chwili Pete uświadomiła sobie, że oto spotkała drugiego wyjątkowego nieznanego tego dnia, a była nim jej namiętność.

- Jesteś piękna - powiedział cicho Storm, patrząc na jej nagie ciało.

Powitała drugiego nieznanego - pierwszym była rzeka - z ciekawością, ale ostrożnie.

- Ty też - odparła, studiując jego smukłą sylwetkę i długie nogi. Pod skórą subtelnie rysowały się mięśnie, z których emanowała niewiarygodna siła, podobnie jak z jego nabrzmiałej męskości. Przyjął jej zaproszenie i wszedł do ciasnej kabiny.

Zauważył mydło w jej dłoni i już chciał je wziąć. Cofnęła rękę i szepnęła:

- Nie, najpierw ja ciebie.

Pod wpływem jej dotyku mięśnie jego ramion i barków napięły się i zastygły w bezruchu. Podobnie zareagował jego brzuch. Zataczając coraz szersze kręgi, jej dłonie masowały oliwkowy tors Storma. Zamknął oczy i oparł się o ścianę. Gdy odważyła się posunąć ręką niżej, w dół twardego brzucha, Duchene wyprężył całe ciało.

Z każdym dotykem czuł się coraz bardziej nasycony. Chłonał jej pieszczoty jak spragniony wody derwisz. Odkrywała jego ciało, poznawała je i uczyła się na pamięć jak odkrywca, urzeczony pięknem nieznanego łądu. Gdy jej palce dotarty do miejsc intymnych, otworzył oczy. Napotkał jej wzrok skupiony na swojej twarzy, zobaczył krople wody spływające po długich rzęsach i rozchylonych, mokrych ustach.

Dotknął grzbietu jej dłoni i delikatnie nacisnął kciukiem nadgarstek, by powstrzymać pieszczoty.

- Za długo byłem sam. Jeszcze chwila, a coś się skończy, zanim się zaczniesz.

Uśmiechnęła się i przysunęła do niego tak, że jego usta przyjęły jej uśmiech, a piersi zetknęły się ze sobą. Poczwała jego oddech na mokrym policzku i pozwoliła mu wyjąć mydło z ręki. Kilkakrotnie obrócił je w dłoni i zaczął nacierać jej szyję i plecy. Mruknęła z rozkoszą.

Dłonie Storma pieściły jej ramiona, brzuch i biodra. W tej na pozór bezładnej, ale radosnej wędrownicy zostawiała za sobą białe, pianiste smużki, które rozsypywały się w strugach wody. Gdy zaczął masować jej piersi, poczuła się tak, jak topniejący воск: miękka i gotowa poddać się jego dłoniom.

Odchylił jej głowę i pocałował ją w usta. Zakręcił wodę. W kabinie zapadła cisza przerywana szmerem nierównych, przyspieszonych oddechów i pluskiem ostatnich kropli spadających na terakotę.

Wyszedł z kabiny, pociągnął Pete za sobą i szybko wytarł ją miękkim ręcznikiem. Zaniósł ją na łóżko. Materac posłusznie przyjął jej ciało i poddał się jeszcze bardziej, gdy Storm położył się na niej. Poczwała na sobie jego ciężar, jego udo między swoimi i zadrżała z podniecenia. Zafascynowana i urzeczona jego twarzą, wodziła opuszkami palców po jego brwiach, nosie i ustach.

- Pragnę cię, Patience - szeptał, smakując jej ciało, jakby chciał cieszyć się nim bez końca.

Nie miała złudzeń, że za tymi słowami kryje się tylko pożądanie. Pożądanie, nie miłość. Ale ona kochała. Miłością tak wielką i głęboką, że nie była w stanie mu się oprzeć. Gładziła jego plecy, gdy on całował jej szyję i piersi. Położył się na boku i zsunął tak, że jego usta znalazły się przy jej sutku. Przywarł do niego i pieścił językiem, aż poczuł w

ustach nabrzmiały pąk. Oddając się rozkoszy, Pete uznała, że wystarczy jej jego pożądanie.

Wplotła palce w jego włosy i przycisnęła głowę mocno do siebie. Mruknął coś, zadowolony i całował ją dalej, aż poczuła, że jej ciało zamienia się w bijące źródło rozkoszy, które pragnie, by z niego pić, aż do pełnego nasycenia. Przesunęła rękę w dół i trafiła na miękkie loki, wśród których wyrosła jego rozbudzona męskość. Gdy jej dotknęła, ogarnęło ją dziwne, nieznane dotąd uczucie: pragnienie, by dawać i błaganie, by on to wziął.

Spojrzał w jej zasnute mgłą oczy, rozplywające się w uniesieniu. Nie chciał jej uległości. Jeszcze nie teraz. Może później, po spełnieniu, gdy będą leżeć obok siebie spleceni w czułym uścisku. Chciał zobaczyć blask tego płomienia, który zamigotał w jej oczach, gdy usłyszała basowy ryk uruchamianego silnika. Czekał na ten ogień. Pragnął go bardziej niż czegokolwiek. Pragnął go teraz, zanim porwie ich nadciągający wir zmysłów.

Położył ją na plecach i uklęknął między jej rozsuniętymi udami. Wilgotne włosy tworzyły złocistą aureolę wokół jej twarzy.

- Storm - szepnęła, dotykając dłonią jego policzka jakby prosiła, by znowu całował jej piersi. Odwrócił twarz i delikatnie ugryzł ją w rękę. Zaskoczona, chwyciła haust powietrza. Mgła zniknęła. W oczach zapłonęły żywe ognie.

Przesunął czubkami palców po jej piersiach. Chwilę później poczuła je na biodrach i udach. Zaczął delikatnie kasać jej przedramię i brzuch, dotarł do czułego miejsca pod kolanem. Nie uległ wielokrotnym prośbom jej rąk, które chciały go powstrzymać. Zniżył się. Jego usta dotarły do jej stopy. Odwlekał spełnienie i karciał ją wyszukаныmi pieścizotami.

Jej ciało wygięło się w łuk. Nie była w stanie zapanować nad spazmatycznym drżeniem. Łono pulsowało i piekło, żądało i pragnęło. Uniosła się i zbliżyła usta do jego ust, szepcząc:

- Teraz... Błagam... Storm... Teraz!

Delikatnie popchnął ją na poduszkę i przycisnął jej uda do swoich bioder. Czuł, że jest gotowa go przyjąć. Jedną ręką ujął jej policzek i odwrócił twarz tak, by mógł widzieć eksplozję w jej oczach. Z ust znowu wydobyło się urywane: - Teraz... błagam.

Wszedł w nią i napotkał opór. Stęknął głucho i zmarł w bezruchu.

- Nie przerywaj - poprosiła szeptem.

- Wielkie nieba, Patience! - Odruchowo chciał się wycofać, ale oplotła go nogami i rękami. - To twój pierwszy raz - jęknął.

Z jej ust wydobył się dźwięk podobny do łkania.

- Czy to... takie straszne?

- Nie.... to... cudowne - wyksztusił, z trudem łapiąc oddech w jej uścisku. - W innych sprawach jesteś taka niecierpliwa.

- Ale na to warto było czekać. - Splecionymi dłońmi docisnęła jego lędźwie. - Tylko nie każ mi czekać dłużej.

Odnalazł jej usta, przywarł do nich i wszedł w nią szybko i głęboko, tłumiąc zmysłowymi pocałunkami ból, który jej zadał. Wbiła paznokcie w jego plecy i znowu wygięła się w łuk. Przytrzymał ją mocno, wchłonął jej krzyk i pił dźwięki z jej ust.

Mimo wielkiego pragnienia kobiety odczekał, aż ich ruchy osiągnęły pełną harmonię. Dopiero wtedy uwolnił swoją energię. Potem nie było już delikatności i czułości. Wypierane pragnienia powróciły z niespotykaną siłą i dzikością. Eksplodowali w siebie równocześnie. Kiedy usłyszał, jak

wymówiła jego imię, poczuł się jak ktoś, komu wróciły siły i pasja życia.

- Storm, dlaczego podgryzasz mi piętę?

- A dlaczego twoja noga leży na mojej poduszce?

- Oglądam telewizję. Stamtąd nie było nic widać - chichocząc wyswobodziła stopę.

- To wyłącz i chodź tutaj.

- Nic z tego. Zaraz będzie sport - odparła. - O, patrz! Jest „Grom”! - Wyjechali z toru w ogromnym pośpiechu, nie czekając na ogłoszenie wyników ostatniego ślizgu.

Dla Storma idylla się skończyła. Oparł brodę na barku Pete i patrzył na serwis sportowy.

- ...a Storm Duchene na „Szkarłatnej Damie” znowu osiągnął najwyższą średnią prędkość w tym sezonie: dwieście czterdzieści i sześć dziesiątych kilometra na godzinę. Był to najszybszy ślizg kwalifikacyjny na torze w Ohio w tym sezonie.

- Kto by pomyślał! - Pete odwróciła głowę i spojrzała mu w twarz. - Najszybszy ślizg kwalifikacyjny.

- Właśnie. Kto by pomyślał!

Obudził ją zapach dymu z papierosa. Nie otwierając oczu, wiedziała, że Storma nie było w łóżku obok niej. Światło księżycy sączyło się srebrnymi smugami przez cienkie zasłony na jego sylwetkę. Siedział w drelichowych spodniach, z nogami wyciągniętymi na drugim krześle. Patrzył w okno. Z papierosa unosiła się wąska smużka dymu. Pete widziała już podobny grymas na jego twarzy. To było wtedy w hangarze, gdy zajrzał do wnętrza przedziału silnika i uznał, że sytuacja była beznadziejna.

„To był błąd. Kochanie się z nią to błąd”, myślał Storm. Dlatego, że kiedyś obiecał sobie, że już nigdy nie będzie pragnął całym sercem. Dlatego, że teraz Pete była dla niego

jak oddech. Jego dalsze istnienie zależało od niej, lecz czuł, że ta miłość ją zniszczy.

Echo jej śmiechu, jej namiętność ciągnęły go ze sobą i nie chciały puścić. Kochali się, potem beztrosko żartowali. Piknik na podłodze. Film z braćmi Mant. Gwiazdzisty sztandar na zakończenie programu. Kiedy ostatnio był tak niepoważny? Kiedy ostatnio tak się bał o kogoś?

W głowie wciąż wibrowało: „najszybszy ślizg kwalifikacyjny”. Poczul przemożną chęć, by wstać i ją obudzić. Opuścił stopy na ziemię. „Dobrze, i co dalej, panie Duchene?”, zadał sobie pytanie. „Zabroni jej pan prowadzić ślizgacze, co? Każe jej pan naprawić skrzynię biegów w samochodzie i uważać na czerwone światło? A może każe jej pan też obiecać, że zawsze wróci żywa z zakupów? Przecież odpowie ci, że to absurd”. Już wyobrażał sobie, jak zdumiona i rozbawiona mówi: „O rety, Storm, ależ ty jesteś niemądry”. Był niemądry: jej dziewictwo złościło go, a to już zupełnie irracjonalne.

Dziewica. Wielkie nieba, kto to mógł przewidzieć! Utkwił nieruchome spojrzenie w chmurze dymu i zobaczył ją i siebie pod prysznicem. Dotykała go, pieściła, pożądała. Gdyby wtedy okazała choć odrobinę dziewiczego wstydu, na pewno by się zorientował. Chciał tylko trochę, a ona dała mu wszystko. Zaspokajając swoje pragnienie, wziął więcej niż zamierzał. Pograżał się i nie był w stanie temu zaradzić. Czuł się bezsilny. Przypomnił sobie smak jej ciała i znowu jej zapragnął.

Obserwowała go w milczeniu, przysłuchując się, jak wzdychał z żalem. Zastanawiała się, z jakim prywatnym upiorem znowu wojował. Czyżby poczuł się nielojalny wobec Abbie? To mogłaby zrozumieć. Gdyby to ona była jego zmarłą żoną, na pewno nie cieszyłaby się, gdyby zbyt szybko znalazł sobie godne zastępstwo.

Zgasił papierosa, wstał i zdjął spodnie. Jego ciało stawało się dla Pete przedmiotem kultu. Męskie, silne, smukłe i proporcjonalne. Wpatrywała się jak urzeczona. Podszedł do łóżka i wśliznął się na miejsce obok niej.

- Coś cię trapi, prawda? - zapytała szeptem. Uniósł się na łokciu i spojrzał jej w twarz.

- Obudziłem cię?

- To coś ma związek ze mną, tak?... z tym, że kochałeś się ze mną. Czy to cię dręczy?

Nie chciał jej sprawiać bólu swoimi wątpliwościami i wyrzutami sumienia, które dręczyły go przed chwilą. Postanowił pogodzić się z nią inną prawdą.

- Szkoda, że nie wiedziałem, że to twój pierwszy raz. Zrobiłbym to o wiele lepiej. Dla ciebie.

- Niemożliwe. Lepiej nie mogło być - mruknęła jak bezwstydną, lubieżną kotką.

- Tak uważasz? A swój sąd opierasz na bogatym doświadczeniu? Nawet w skąpej poświacie księżycy zauważył, jak się zarumieniła.

- Wiem na pewno, że to było o wiele lepsze, niż pruć trzysta sześćdziesiąt kilometrów na godzinę na prostej - odparła. - Lepsze niż zabawa z nitrogliceryną i balansowanie na krokwi dziesięć metrów nad betonową podłogą.

- Boże drogi, to ty robisz takie rzeczy? Jego rozdrażnienie ją rozbawiło.

Odnalazł jej oczy, które w ciemności wydały się ciemnozielone. Zobaczył rząd równych, białych zębów przygryzających dolną wargę.

- To wszystko powinno się odbyć inaczej, Patience. Wtedy byłoby o wiele lepiej.

- Inaczej, to znaczy jak? - zapytała cicho.

- Po pierwsze, to ja bym cię rozebrał i całował każdy odsłaniający się skrawek twojego ciała, aż byłoby gotowe

mnie przyjąć. A potem zaniósłbym cię na łóżko wymoszczone płatkami róż. Wokół paliłyby się świece. No i zacząłbym tak...

Przybliżył swoje usta do jej ust tak, że przez chwilę chłonęli swoje oddechy.

- a potem tak...

Zwilżył jej wargi językiem i, odsunawszy koc, zaczął gładzić jej ciało długimi, posuwistymi ruchami dłoni, jakby grał słodką, romantyczną balladę na jej zmysłach. Tam, gdzie podniecał ją ostro i agresywnie paznokciami i zębami, teraz pieścił ją językiem i opuszkami palców.

Obsypywał ją pieścizotami powoli, tak, by każda sprawiła jej maksymalną rozkosz, a gdy zaczynała nalegać, wycofywał się i rozpoczynał grę w innym miejscu.

W swojej wędrówce jego usta ominęły łono i, przesuając się w dół, rysowały nieregularne, płynne linie po wewnętrznej stronie jej uda.

Pragnęła go w sobie tak bardzo, że każda chwila zwłoki wydawała się torturą. Usłyszała swój stłumiony jęk, który był jękiem całego ciała. Pożar krwi przeniósł się i szalał wszędzie tam, gdzie dotykały jego usta. Czowała jego nos, wargi, palce i ramiona. Przesunął ręce do jej piersi i masował je delikatnie.

Tym razem płomień namiętności nie wystrzelił, lecz rósł powoli i stopniowo, aż ogarnął całe ciało. Zdawało jej się, że unosiła się na fali oceanu rozkoszy powoli zmierzającej ku brzegowi.

Gdy znowu poczuła oddech Storma na policzku, spojrzała mu w twarz oczami zasnutymi mgłą rozkoszy i uśmiechnęła się leniwie jak odurzona narkotykiem. Mruknęła cicho, objęła go ramionami, które stały się ciężkie jak z ołowiu, a gdy spoczęły na jego plecach, przyciągnęła go do siebie i w siebie.

Ocean cofnął się, wezbrał potężną falą przyływu i ruszył do brzegu.

Leżała skulona na boku, zwróciwszy twarz w jego stronę i przyglądała się pojedynczej zmarszczce na jego czole.

- Hm. Zdaje się, że wciąż zostało jedno małe zmartwienie. Mogę coś na to poradzić?

- Po prostu bądź - odpowiedział. - Bądź tu obok, gdy sen się skończy. Pragnął.

- Będę. Kochała.

„Klaps w goły pośladek nie jest najprzyjemniejszym sposobem budzenia ze snu”, stwierdziła Pete. Wtulając głowę w poduszkę, którą przyciskała do twarzy, mruknęła: - Przestań. Wyciągnął poduszkę spod jej głowy.

- Najwyższa pora się ruszyć. Dzisiaj jest wyścig. Zapomniałaś? Uniosła ciężkie powieki i zobaczyła, że pokój wciąż zalewa światło księżyca.

- Przecież jeszcze nie świta - mruknęła. Gmerając po nocnej szafce, trafiła na zegarek i przysunęła go do oczu. - Szósta trzydzieści cztery. Spaliśmy tylko dwie godziny. Skoro to za wcześnie dla słońca, to tym bardziej za wcześnie dla mnie.

Storm spojrział na nią obrzydliwie przytomnym wzrokiem i ściągnął koc.

- Wychodzę za dziesięć minut.

- No i dobrze - mruknęła, przykrywając się kocem. - Dojadę okazją.

Kiedy znowu otworzyła oczy, był już dzień. Na poduszce obok znalazła kartkę od Storma: „Chrissy Wagner też lubi pospać”.

Zadzwoiła do Chrissy i umówiły się na śniadanie w kawiarni. Gdy podano jajecznicę, Chrissy, filigranowa blondyneczka, zmierzyła Pete krytycznym wzrokiem i, podniósłszy pełną łyżeczkę do ust, stwierdziła: - No, no. Ale to była noc, co? Trafisz do talerza czy mam cię nakarmić?

- Zawsze kiepsko śpię na hotelowych łóżkach - odparła wymijająco Pete. Chrissy już miała włożyć łyżeczkę do ust, ale wybuchnęła śmiechem.

- Zwłaszcza na tym samym, co Storm Duchene.

- Co takiego? - Pete rozbudziła się w jednej chwili.

- Przestań się rumienić. Tu wszyscy o tym wiedzieli, jeszcze zanim zdjął ci rajstopy.

- Nie miałam rajstop - ucięła ostro Pete.

- W tej ekipie nic się nie zachowa długo w tajemnicy. Zanim zdążysz sobie kichnąć w pokoju, to na torze już ktoś ci mówi: „na zdrowie” - powiedziała Chrissy i podnosząc filiżankę w niezobowiązującym toaście, dodała: - Witamy na pokładzie. Za twoje zdrowie i modlitwy, by twój facet wrócił cały ze ślizgu. Za życie na walizkach. I za to, żeby mewki z doków trzymały się z dala od naszych mężczyzn.

Zirytowana Pete energicznie potrząsnęła głową.

- Ja nie wchodzę na ten pokład, Chrissy. Mam pracę w Seattle.

- Gdyby chodziło o kogoś innego niż Storm, powiedziałabym ci, żebyś dała sobie spokój. - Chrissy wzruszyła ramionami i dodała: - Jeździł na wyścigi bez Abbie i wcale mu nie było z tym dobrze. - Słyszając, że filiżanka Pete niespokojnie zadzwoniła o spodek, dorzuciła pośpiesznie: - A niech to... Przepraszam cię, Pete. Chyba nie powinnam była wspominać tego imienia.

- Mówisz o Abbie? Nie bądź dziecinna.

„Chociaż w zasadzie najwyższy czas, by ktoś ją wreszcie wspomniał”, pomyślała i dodała:

- Przecież była jego żoną. Chyba nie powinnam oczekiwać, że nigdy nie usłyszę jej imienia. Powiedz, jaka była.

- Nie wiem. Nigdy jej nie spotkałam.

- Nigdy? - Pete uniosła brwi ze zdziwienia. - A jak długo byli małżeństwem? Chrissy przymrużyła oczy w głębokiej zadumie.

- Hm... Pięć lat, może mniej. Jak już mówiłam, ona nie jeździła z nim na wyścigi. Nawet nie przychodziła na tor w Seattle, a to tylko dziesięć minut samochodem od ich domu.

- To dość dziwne, prawda?

- Z tego, co słyszałam, wyścigi po prostu ją przerażały. Nie chciała mieć z tym nic wspólnego. Absolutnie. - Chrissy ponownie wzruszyła ramionami. - Ale Storm nie pocieszał się z innymi. Nie obchodziły go.

- Czy uważasz, że Lucky byłby do tego zdolny? Kąciki ust Chrissy drgnęły nieznacznie.

- Wiesz, kto to jest Earl Kennedy? - zapytała.

- Jest właścicielem „Quality Tool” - powiedziała Pete i zmarszczyła brwi, nie widząc związku z pytaniem Chrissy.

- To mój ojciec. Odkąd pamiętam, zawsze miał ślizgacze. Dorastałam na nich. To moje życie. Kiedy poznałam Lucky'ego, miał dwadzieścia jeden lat, a ja czternaście. Był dziki i nieposkromiony. Poza domem to on grał pierwsze skrzypce. Robił to, co chciał. Wiem, że od dnia ślubu jest mi wierny - uśmiechnęła się gorzko i bez przekonania. - Ale tylko dlatego, że nie spuszczam go z oka nawet na chwilę. Cały czas jest dziki i nieposkromiony. Jeszcze usłyszysz o nim od innych sterników, o ile nie słyszałaś od Storma. Na torze zachowuje się jak wariat. Wszyscy starają się trzymać od niego z daleka. Mówią o nim Lucky - szczęściarz, bo wychodził cało z każdej kraksy... Na razie. Mój, jeśli to tak można nazwać, nadzór nad nim polega na tym, że udaje mi się go utrzymać z daleka od innych kobiet. Kiedy wsiada do łodzi, ja się nie liczę. - Upuściła serwetkę zwiniętą w kulkę na stolik i zapytała: - Czy widziałaś kiedyś wywrotkę ślizgacza?

- Tak - odparła Pete z niechęcią, cały czas pamiętając o tym, że za niespełna dwie godziny Storm i Lucky mieli startować w jednym wyścigu. - Kiedy miałam osiem lat. Widziałam, jak Chuck Thompson zginął na torze w Detroit. To było straszne. Ślizgacz wyszedł na prostą, a potem trzask i go nie ma. Tylko drewniane szczątki kołyszają się na wodzie.

- Jeszcze bardziej niż okropne będzie to, jak zobaczysz duży rozbryzg i kawały metalu w powietrzu. Ja zawsze wypatruję szmaragdowej plamki. Ty będziesz szukała czerwonej... i miała nadzieję, że nie zniknie przed końcem ostatniej prostej.

Rozmowa przy Śniadaniu wywarła na Pete bardzo przygnębiające wrażenie. Kiedy zobaczyła Storma wychodzącego w skafandrze z autokaru, myślała tylko o tym, że ciało, które było z nią w nocy, teraz znajduje się w kokpicie i może przestać istnieć.

Ręce, które teraz dopinały uprząż, dziś w nocy sprawiły, że odkryła w sobie coś, czego istnienia nie podejrzewała; usta, które zanim zniknęły za ciemną przesłoną, posłały przelotny uśmiech, w nocy rozpalały krew w jej żyłach. Teraz pozostało czekać z bólem serca. „Boże, spraw, by wrócił cały”.

Storm bez trudu wygrał dwa ślizgi eliminacyjne i dopiero wtedy Pete zdołała opanować swoje obawy. Pozostał ślizg finałowy. „Grom”, „Coastal” i „Premium” przecięły linię startu równocześnie, „Quality Tool” tuż za nimi. Ryk silników był ogłuszający. Czuła się tak, jakby ktoś zamknął ją w tunelu, w którym dziesięciu rockersów postanowiło przegazować motory.

To się stało na pierwszym nawrocie. W jednostajnym ryku silników rozległa się krótka seria stłumionych uderzeń i nad torem wystrzelił gejzer wody. Wszyscy w boksach wstrzymali oddech. Członkowie ekip rzucili się do pomostu. Nikt niczego nie zauważył, ale wszyscy wiedzieli, że wydarzyła się

katastrofa. Pete chwyciła się kurczowo pierwszego z brzegu człowieka i dopiero po chwili zorientowała się, że był to Ricky Stevens. Wysoki kilwater za „Premium” zasłonił widok.

W ułamku sekundy białe dno łodzi wyskoczyło w powietrze, zakręciło młynka i wyrzuciło z siebie jakąś kukłę. Przerażony tłum jęknął. Odpalono rakiety z łodzi ratunkowych i stanowiska sędziowskiego. Kilwatery zniknęły. Nurkowie - ratownicy wskoczyli do wody. Dopiero wtedy Pete zauważyła czerwony kadłub „Groma” na przeciwległej prostej.

- Oddychaj, Pete! - krzyknął Ricky. Zorientowała się, że bliska zemdenia osuwa się w jego ramiona. Postawił ją na nogi i potrząsnął energicznie. - Oddychaj, mówię!

Wciągnęła głęboko powietrze i zaczęła drżeć na całym ciele. Wywrócona łódź była anonimowym białym obiektem na wodzie. Wpatrywała się w kadłuby wracające do pomostu, ale nie mogła dojrzeć, kogo brakuje. Nie potrafiła sobie przypomnieć sześciu nazw łodzi startujących w tym wyścigu.

- Daj znak, Lucky. Podnieś rękę! - mruknął Ricky. - Cholera, człowieku, daj jakiś znak, że żyjesz i jesteś cały!

Uświadomiła sobie, że brakującą łodzią był „Coastal”.

- Gdzie jest Chrissy? - zapytała cicho. Wyrwała się z ramion Ricky'ego. - Prędko, biegnijcie do Chrissy!

Chwilę później biegła na tych samych nogach, które jeszcze niedawno temu uginały się pod nią. Boks „Coastal” był w drugim końcu parkingu. Roztrącając ludzi na boki, przebiegła całą drogę. Chrissy stała na pomoście, przyciskając do brzucha dłonie zaciśnięte w pięści i patrzyła na jasny kask, który podskakiwał na wodzie.

Objęła ją. Chrissy była zimna. Stała skamieniała ze strachu. Nurkowie unieśli Luck'ego i podali go ratownikom z łodzi.

- Chrissy, chodź do samochodu - szepnęła Pete. - On tu zaraz będzie. Uważaj na kamery... Uciekajmy przed kamerami.

Bezwolna i oteęiała Chrissy pozwoliła się prowadzić za rękę. Gdy znalazły się w autokarze „Coastal”, Pete posadziła ją na kanapie, usiadła obok i objęła. W drzwiach ukazał się Jeff Croup i przekazał to, czego dowiedział się od ratowników przez radiotelefon.

- Odzyskał przytomność. - Usłyszawszy to, Chrissy zapadła się w sobie, jakby nie miała kości. - Był nieprzytomny, kiedy go wyciągnęli. Rozmawiał z ratownikami... Skarżył się na ból poniżej krzyża... Lewa noga wygląda na złamaną.

Przy drzwiach autokaru zatrzymała się karetka. Lucky'ego przeniesiono na brzeg i wsunięto nosze do ambulansu. Pete pomagała Chrissy wcisnąć się obok męża.

- Wszystko w porządku? - zapytał Storm, który stał tuż za jej plecami. Odwróciła się na pięcie i wpadła w jego objęcia.

- Teraz już tak - odpowiedziała szeptem.

- Ricky powiedział, że byłaś w szoku.

Przez kilka chwil milczała i tuliła się do niego. „To jest najtrudniejsze. Kochać i nie być w stanie pragnąć. Pragnąć i nie dostać tego, czego się pragnie”. Wzięła się w garść, zwolniła uścisk i nieco uspokojona zapytała:

- Jak to się stało?

Objął ją i ruszyli w stronę autokaru ekipy „Groma”.

- Dokładnie nie wiem. Na nawrocie zrobiło się ciasno. Lucky był zamknięty. Nie mógł wziąć „Premium” po wewnętrznej. Ja zaś znalazłem się na zewnętrznym pasie. Na tyle daleko, żeby nie wypaść z toru. Może czuł się bardzo dociskany, za szybko otworzył przepustnicę i go poderwało. Dwa razy otarł się o moją odbojówkę. Pewnie wtedy stracił kontrolę. Nie wiem dokładnie. Z Luckym nigdy nic nie

wiadomo. Jeśli chcesz, możesz potem rzucić okiem na jego łódź. Może to coś wyjaśni.

Ślizg powtórzono. Storm wygrał go bez kłopotu. Wkrótce przez megafon podano oficjalny komunikat o stanie Lucky'ego. Był przytomny i jego życiu nie zagrażało niebezpieczeństwo.

Rozdział 8

Okna pędzącego samochodu były otwarte. Ciepłe, sierpniowe powietrze lizało twarz Pete i podrywało jej włosy. Mimo że dawno minęło południe i słońce wciąż stało wysoko, szmaragdowa zieleń na stokach schodzących w dolinę tchnęła świeżością. Prowadzony pewną ręką Storma samochód zręcznie kluczył wśród ciężarówek i przyczep, na które ładowano winogrona. Pete westchnęła, gdy poczuła na całym ciele dreszcz pełnego szczęścia, o jakim nawet nie śniła. Ze Stormem u boku i wiatrem tańczącym we włosach mknęła na spotkanie nowej przygody. Nie myślała o jutrze - najważniejsze, że dziś jest wspaniale.

Storm niewłaściwie odczytał wyraz jej twarzy. Zapewne nie dostrzegł w nim radości, lecz rosnące zniecierpliwienie, gdyż zapytał:

- Zmęczyła cię jazda? Nie przeżywaj, zaraz będziemy na miejscu.

Położył rękę na jej dłoniach tak, że kciuk spoczął na pulsującej żyłce po wewnętrznej stronie jej nadgarstka. Delikatnie uściśnął dłoń, jakby chciał dodać jej otuchy.

- Masz tremę?

- Skądże znowu - odparła. Posłała mu szeroki uśmiech i, odgarniając włosy z czoła, dodała: - Chyba, że powinnam. Mogę się nie spodobać twoim rodzicom? Czyżby nie lubili wysokich blondynek z zielonymi oczami?

Podniósł jej dłoń do ust.

- Ciebie polubią na pewno - odparł. Puścił jej dłoń, położył rękę na jej kolanie i przesuwając palcami po udzie, dodał: - Bądź spokojna.

Pete wyczuła, że zbliżają się do celu podróży.

- Opowiedz mi o swoich rodzicach. Na wszelki wypadek.

- A co chcesz wiedzieć „na wszelki wypadek”? Spojrzała z ukosa i, cedząc słowa, powiedziała:

- Tyle, żeby nie pomylić twojego ojca z twoją matką.

- To żadna trudność. Matka używa szminki, a ojciec chodzi w spodniach - odparł i zaśmiał się, a widząc groźną minę Pete, dodał poważnym tonem: - Mama ma na imię Amelia. Jestem do niej bardzo podobny. Potrafi cierpliwie przetrzymać burzę w domu z powodu słabych zbiorów. Wtedy każdemu schodzi z drogi. Ale niech tylko pomidory do sałatki okażą się niedojrzałe. Brr... Tak naprawdę jest cicha i spokojna, ale wszyscy czują jej obecność.

- Ojciec ma na imię Charles i niewiele go obchodzi to, co się dzieje poza granicami jego winnicy. Troszczy się o młode pędy i rozsady jak kwoka o swoje kurczęta. Poza tym wciąż wierzy, że kiedy wydorosłeję i ustatkuję się, to wrócę do winnicy.

Ostatnie zdanie zabrzmiało cicho i posepnie. Kątem oka Pete zauważyła, że sięgnął po papierosa.

- A twój brat?

- Ma na imię Lyle - wymówił imię brata tonem, którego nie słyszała jeszcze w jego głosie. O rodzicach mówił z powagą i dumą. O Abbie z żalem. O ekipie z szacunkiem. A o niej? Wciąż czuła tylko głód i pragnienie. Może czasem w jego głosie zabrzmiała pojedyncza nutka niepokoju o to, że gdy się obudzi, jej nie będzie obok.

- Ułatwia mi życie. Poniekąd dzięki niemu robię to, co lubię i chcę robić. Uwielbia winnice i siebie w roli producenta win. Mimo tego że jest młodszym synem, nigdy nie dał mi poznać, że musiał zostać w rodzinnej winnicy tylko dlatego, że ja, starszy brat, wyszedłem z domu pierwszy.

Skręcił w lewo, w wąską dróżkę z głębokimi koleinami po bokach. Pete wyprostowała się na siedzeniu i zapytała:

- To tutaj?

- Tutaj.

Pochyliła się do przodu i wyjrzała przez przednią szybę.

- Co powiedziałaś rodzicom o mnie?

- Jednak masz tremę - stwierdził. Spojrzała na niego gniewnie. - No więc powiedziałem im, że z ciebie jest niezły numer. Taki, że ręce mi same do ciebie lecą. Powiedziałem, że poderwałem cię w boksach i że jesteś szybka, ostra i roztrzepana. Tak więc... - dla dodania otuchy klepnął ją dłonią w kolano i dokończył: - Nie przejmuj się zbytnio. Są przygotowani na wszystko. Niczym ich nie zaskoczysz.

- Storm! - w głosie Pete zabrzmiała wyraźna groźba.

- Przecież to najprawdziwsza prawda! Każde słowo. Sprawdź, jeśli mi nie wierzysz.

Jej oczom ukazał się dom. „Majestatyczny” - było pierwszym określeniem, które przyszło jej na myśl, gdy ujrzała przysadzistą budowlę z jasnoszarego piaskowca. Należał do tego miejsca, jakby z niego wyrósł i objął je w posiadanie.

- Jest cudowny, Storm. Jakby prosto z francuskiej winnicy.

- Postawił go mój prapradziadek. Znosił kamienie z pola na swoich plecach. Wyrosły w nim cztery pokolenia Duchene'ów.

Na ganku przed wspaniałymi, dębowymi drzwiami czekali mężczyzna i kobieta. Gdy Storm zatrzymał samochód, jednocześnie ruszyli w dół po schodkach. Pete stwierdziła z ulgą, że witający też mają na sobie zwykłe, codzienne ubrania. Dmuchnęła w swoją grzywkę i powiedziała cicho:

- No to zaczynamy.

Przyglądała im się uważnie, czując na sobie ich nie mniej uważne spojrzenia. Stanowili dobraną i dystyngowaną parę. Kobieta miała gęste, czarne włosy. Włosy stojącego obok mężczyzny były rzadsze i mocno przyprószone siwizną. Obydwoje patrzyli na nią ciekawymi oczami. „Trudno im się

dziwić", pomyślała. Wątpiła, czy rodzice wiedzieli coś więcej niż ona sama o powodach, dla których Storm ją tu przywiózł.

- Witaj, Patience - Amelia wyciągnęła smukłą rękę.

- Proszę, niech pani do mnie mówi Pete. Storm jest jedynym człowiekiem, który nazywa mnie „Patience” - powiedziała, uśmiechając się serdecznie. - Zapewne uważa, że w ten sposób przekona mnie do tego imienia. Bardzo dziękuję za zaproszenie i cieszę się ogromnie, że mogłam państwa poznać. Jeszcze nigdy nie widziałam winnicy i jestem jej bardzo ciekawa.

Storm oparł się o rozgrzaną maskę samochodu i z ogromnym zaciekawieniem przyglądał się, jak Pete oczarowała rodziców. Urzekła ich i porwała swoją radością i entuzjazmem.

Amelia zaprowadziła Pete do Środka, zaś Charles został na stopniach. Zdjął folię z cygara i przypalił je.

- Jest wcale sympatyczna - rzucił lekko, niezobowiązująco. Storm dobrze wiedział, że nawet kiedy ojciec mówił o czymś lub o kimś w ten sposób, to nigdy tego czegoś lub kogoś tak nie traktował.

- Jest - powiedział Storm jednoznacznie i stanowczo, by zapobiec kolejnym pytaniom. Spodziewał się, że rodzice będą chcieli wiedzieć, co ma oznaczać zaproszenie tej kobiety do ich domu. Prawdę zaś mówiąc, nie miał jeszcze gotowej odpowiedzi. - Myślałem, że Lyle też przyjdzie się przywitać - stwierdził, wyjmując walizki z samochodu.

- Jest w winnicy. Powiedziałem mu, żeby się nie odrywał od zajęć, bo ja się wami zajmę. Pracuję nad nowym szczepem winorośli. Chciałbym, żebyś rzucił na to okiem i powiedział swoje zdanie.

- Chyba nie od rzeczy byłoby, gdybym przynajmniej przestąpił próg, nie mówiąc o wniesieniu bagaży. Nie uważasz, tato?

- Niby dlaczego? Obawiasz się złodziei? - odparł i ruszył alejką wzdłuż domu, którą po dobrym kwadransie marszu dochodziło się do winnicy.

Storm podążył za ojcem. „Do licha, pytania są zbyteczne”, myślał. Charles nigdy nie ukrywał, że liczył na powrót syna. Mógł zagrać na jego uczuciach i ambicji i zmusić do powrotu, ale nigdy tego nie zrobił.

Pete obeszła dom w towarzystwie Amelii i zakochała się w nim do szaleństwa. Ściany na parterze były również kamienne, za to bibliotekę wyłożono dębową boazerią, zaś jadalnię zdobiła gruba sztukateria. Meble pochodziły z różnych lat. Przypominały historię kilku pokoleń mieszkańców tego domu. Niektóre były bardzo stare, z poprzecieraną miejscami tapicerką. Inne, nowe, błyszczące, w jasnych kolorach, tonęły w promieniach słońca wlewających się przez okna.

Piętro urządzono bardziej tradycyjnie. Na otynkowanych ścianach rysowały się ciemniejsze futryny drzwi i gzymsy. Ze schodów wchodziło się do kwadratowego hallu, w którym mieściło się coś w rodzaju galerii obrazów i portretów rodziny Duchene. Pete studiowała je uważnie, z rosnącym zachwytem.

- Lyle ma brązowe oczy - powiedziała na głos i pochyliła się, by dokładnie przyjrzeć się mężczyźnie, którego jeszcze nie poznała osobiście.

- Tak jak jego ojciec - stwierdziła Amelia.

- Jest podobny do pani i do Storma. - Posuwając się wzdłuż ściany, studiowała kolejne zdjęcia. Storm w wieku siedmiu lat, bez dwóch przednich zębów. Lyle w stroju do baseballa, z pucharem w ręku. Dwa oddzielne zdjęcia braci w różnym wieku, ale tych samych togach i biretach. Storm i Lyle w smokingach, stojący po obu stronach Abbie w ślubnej sukni.

- Patience... Pete... - poprawiła się Amelia i niepewnym, załamującym się głosem, ciągnęła: - Ja... nie wiedziałam, co zrobić z tym... zdjęciem. Myślałam, że jeśli je tu zostawię, to na pewno zauważysz. Gdybym je zdjęła, Storm zauważyłby jego brak.

Odwróciła się. W niebieskich oczach Amelii malowało się strapienie i niepewność. Pete uzmysłowiła sobie, że kobieta, która martwi się, czy pomidory do sałatki są dość dojrzałe, spędziła niejedną bezsenną noc na rozmyślaniach o tym, co zrobić ze zdjęciem jej synów i nieżyjącej synowej.

- Bardzo się cieszę, że nie zdjęła pani tego zdjęcia. - Zbliżyła się do Amelii i dotknęła jej ręki. - W ten sposób miałam jedyną i chyba niepowtarzalną okazję zobaczyć Storma w smokingu.

Amelia uścisnęła mocno jej rękę i uśmiechnęła się.

* * *

Pete spodziewała się, że Lyle okaże się młodszym sobowtórem Storma, ale się zawiodła. Gdy nadeszła pora kolacji, Storm i Charles weszli do jadalni. Lyle nie wszedł, lecz przybył. Storm przemierzał pokój płynnym, równym krokiem z rękami w kieszeniach, natomiast Lyle wkroczył do pokoju poprzedzony obłoczkami rozedrganego powietrza.

- Ostatni Pete, którego zdarzyło mi się poznać - zaczął od progu i, nie dbając o oficjalną prezentację, ruszył w stronę Pete - był bokserem wagi średniej. Gdybym spróbował go pocałować, rozciągnąłby mnie na deskach - powiedział z uśmiechem.

Pete spojrzała w jego wesołe, brązowe oczy i także się uśmiechnęła.

- Ja tego nie zrobię.

- Ale ja mogę i to zaraz - zagroził Storm.

- On zawsze był taki. Brat, a niczym się z człowiekiem nie podzielił - poskarżył się Lyle. Pocałował Pete w policzek i

zajął miejsce po drugiej stronie długiego stołu. Strzepnął serwetkę i zaczął: - Jeden klient opowiedział mi dzisiaj pyszną anegdotę. Pewnego razu trzech komandosów...

- Lyle, proszę - wtrąciła cicho Amelia. - Czy ta anegdota jest naprawdę stosowna przy kolacji? Lyle spojrzał na matkę z miną niewiniątka.

- Zaręczam, że nie jest nieapetyczna, jeśli ci o to chodzi, mamo.

- Akurat nie o to mi chodzi - odparła Amelia i zadzwoniła, by podano pierwsze danie. Lyle skrzywił się i odwrócił do Storma i Pete.

- Przypomnijcie mi, żebym wam później opowiedział o trzech komandosach.

Podczas kolacji usta Lyle'a były tak zajęte mówieniem, że Pete zaczęła się zastanawiać, jakim cudem jedzenie zniknęło z jego talerza. Storm pochłonięty różnorodnością tematów poruszonych przez brata, który zmonopolizował rozmowę przy stole, słuchał z uwagą i żywo reagował, zaś Amelia czuwała, by w razie potrzeby wkroczyć jako dobroduszny cenzor. Pete była chyba jedyną osobą w towarzystwie, która zwróciła uwagę, że Charles bacznie przygląda się starszemu synowi.

- Pete - zaczął Lyle, by ponownie skupić na sobie jej uwagę. - Zabieram cię na przejażdżkę po winnicy jutro o czwartej rano. Czekał przed frontowymi drzwiami.

- Mógłbyś przynajmniej zapytać, czy ona na to ma ochotę - zauważył Storm.

- Jasne, że ma ochotę. A po cóż innego by tu przyjeżdżała, do licha!

Storm zrzucił koc i wstał z łóżka. Otworzył szafę, wyjął pierwsze z brzegu spodnie, wśliznął się w nie i przemknął korytarzem do pokoju Pete.

Nie usłyszała otwieranych drzwi. Leżała na brzuchu na błękitnej, satynowej kołdrze i wpatrzona w okno nad łóżkiem uczyła się na pamięć winnicy skąpanej w srebrzystym świetle księżyca. W pokoju gościnnym było na tyle jasno, że widział drobne paski na jej cienkiej, białej koszuli nocnej, która podkreślała kształty nóg i bioder Pete.

- Czy szpak już przyleciał? - zapytał szeptem, podchodząc do łóżka.

Odwróciła się. W pierwszej chwili pomyślała, że Storm był nagi, ale gdy zbliżył się zobaczyła, że miał na sobie luźne, zamszowe spodnie. Ogarnęła ją fala gorąca. Znowu poczuła, że nie panuje nad swoim ciałem, które przygotowywało się na przyjęcie Storma. Gdy doszedł do łóżka, Pete zsunęła się i odwróciła na wznak.

Pochylił się, oparł ręce o materac po obu stronach jej głowy. Zamiast oczekiwanego dotyku jego rozpalonych, pełnych ust poczuła na wargach jego oddech i usłyszała:

- Chcę ci pokazać jedno miejsce. Pójdiesz ze mną? - Tak.

- Nie zapytasz, gdzie to jest? - Nie.

Wyprostował się i pomógł jej wstać. Szedł przodem, prowadząc ją za rękę. Wpatrywała się w ruchy mięśni na jego smukłych, męskich plecach. Zamsz szeleścił przy każdym kroku. Nad paskiem zamajaczył wąski trójkątny cień.

Koszula Pete zsuwała się za nią po stopniach, gdy schodzili. Wyszli przed dom. Pete zajęła miejsce przy jego boku i przytuliła policzek do obnażonej piersi Storma.

- Czy to znaczy, że spacer po winnicy już się zaczął? - zapytała.

- Nie. Nie śmiałybym popsuć Lyle'owi całej przyjemności.

- Chętnie obejrzę ją nawet dwa razy.

- To dobrze, bo ojciec też chce ci ją pokazać.

Wziął ją na ręce i gdy wnosił ją na szczyt wzgórza, czuł bicie jej serca przy swoim. Kiedy dotarli na miejsce, postawił ją na ziemi. Rozejrzał się po okolicy i nieoczekiwanie jego twarz rozpromieniła się. Podążyła za jego wzrokiem. Zobaczyła dom jaśniejący na tle ciemnych stoków, a wokół siebie ze wszystkich stron spływające potoki zieleni. Srebrzyste światło zastygło jak lodowa otoczka wokół połyskujących kiści winogron. Tu i ówdzie poruszał się liść muśnięty śmielszym podmuchem wiatru niosącego woń świeżo wzruszonej ziemi.

- Zdaje mi się, że naprawdę chciałem ci pokazać winnicę. Moją winnicę. Taką, jaką najbardziej lubię - usłyszała za plecami. Gdy zsunął ręce z jej ramion, zrobiła kilka kroków po stoku i dokładnie przyjrzała się jego winnicy. - Lyle pokaże ci kadzie, chemikalia. Oświeci na temat drożdży i fermentacji. Ojciec zapozna cię z nowymi szczepami i z rodowodem każdego pnącza. Ale żaden z nich nie pokaże ci, jak winnica rośnie i daje plony.

Zaskoczona jego słowami spojrzała mu w twarz.

- Storm, przecież ty kochasz to miejsce. Nigdy bym nie przypuszczała, że aż tak bardzo.

- To prawda, kocham to miejsce.

- Ale mówiłeś również, że czułbyś się tu jak pogrzebany żywcem.

- To też prawda - odparł. Położył się na wznak na trawie i podparł łokciami. - Ilekroć tu przyjeżdżam, myślę: „Nie mogę stąd odjechać, tym razem zostaję”, a po kilku dniach czuję się tak, jak ktoś, kto utkwiał w korku na czerwonym świetle. Potrzebuję czegoś więcej niż... albo i tego, i tego. Potrzebny mi i tor, i winnica. Prędkość i odpoczynek. Emocje i spokój.

Muśnięcie chłodnej trawy, które poczuł na bosych stopach, było jak dotyk jej chłodnego ciała podczas pierwszego spotkania w boksach w Detroit. Przypomniwał mu

się, tak mocno zapamiętany w dzieciństwie, chłodny dotyk dojrzałych owoców w upalną noc. Tak samo czuł i odbierał Pete, która teraz stała obok spowita światłem księżyca. Lekki wiatr igrał z przewiewną białą tkaniną i opinając ją frywolnie na jej ciele podkreślał kobiece krągłości i trójkątny cień pod brzuchem.

Pete odwróciła się i dostrzegła pożądanie w jego twarzy. Leżał na plecach z podciągniętymi nogami. Luźny dotychczas zamsz opinał się ciasno wokół jego bioder.

- Przyszliśmy tu, żeby się kochać? - zapytała.

- Mam tę nadzieję.

- Twoje ulubione miejsce?

- Raczej ulubiona fantazja. Jeszcze z nikim nie byłem tutaj. Pete mruknęła z zadowoleniem. .

- Masz prawie trzydzieści dwa lata i nigdy nie kochałeś się pod gołym niebem?

- Owszem, ale nigdy na tym wzgórzu. Chodź do mnie, Patience. Pragnę cię. Chcę cię dotykać. Teraz. Zaraz.

Uklękała przy nim z sercem bijącym tak mocno, jak za pierwszym razem. „Zawsze czuję to samo”, myślała. „Jakby za każdym razem był to nasz pierwszy raz. Znowu nie mogę się doczekać”. Pochyliła się i pocałowała go. Przez rozchyłony dekolt wpadł wiatr i musnąwszy piersi przygotował je na spotkanie z. palcami Storma.

- Dzisiaj ja będę kochać ciebie - szepnęła.

Wycisnęła agresywny, natarczywy pocałunek na jego ustach. Przyjął tę pieśczętę i chwycił jej język w pułapkę swoich warg.

Jej ręce powędrowały po jego piersiach. Zadrżał. Całowała go w szyję, smakowała i chłoneła równomiernie, dając mu to, czego nie wyraziła słowami. Drgnął ponownie i jęknął cicho, gdy zaczęła drażnić się językiem z jego sutkami. Z piersi wydobył mu się głęboki pomruk, jak zapowiedź grzmotu.

Ogarnęło go jeszcze większe pożądanie, gdy uzmysłowił sobie, że ona pieści go tak samo i w tych samych miejscach, gdzie on zwykle pieścił ją. Przewidywał i cieszył się na każdy następny dotyk jej palców i warg.

Wplótł palce w jej włosy tak, jak to zwykle robiła ona z jego włosami i podpowiadał miejsca, gdzie pieszczoty sprawiały mu największą przyjemność. Prowadził i wskazywał kierunek wędrówki.

Jej usta dotarły do paska spodni i zaczęły rysować coraz szersze kręgi na jego brzuchu. Gdy sięgnął do suwaka, trafił grzbietem dłoni na jej piersi. Odsunęła jego rękę.

- Zostaw, ja to zrobię.

Drżącymi palcami zaczęła powoli odpinać mosiężny guzik, odwlekając chwilę, gdy wreszcie wyśliźnie się z dziurki. Rozsunęła suwak i gdy zamsz odsłonił jego nabrzmiałą męskość, odkryła, że Storm nie zadał sobie trudu, by założyć slipy. Przysunęła policzek do materiału. Nie odrywając ust od jego ciała odsłoniła biodra i, powoli manewrując podbródkiem, zsunęła spodnie za kostki. Jej usta wróciły tą samą drogą, szczypiąc i smakując delikatny zarost na jego łydkach i udach. Gdy wzięła go w usta, usłyszała jak łąpczywie chwycił haust powietrza i, zaciskając palce na jej ramionach, wyszeptał:

- Patience, teraz. Pragnę cię.

Podciągnął ją za ramiona i złączyli się ukryci w fałdach jej nocnej koszuli. Rozsunął materiał na jej piersiach, przywarł do nich, pieścił je nosem i wargami niczym dojrzałe winogrono. Jednak najśłodszy nawet owoc nie mógł się równać z tym, który teraz smakował. Oplotła go nogami i w kolejnym spazmie rozkoszy ścisnęła mocno, pozbawiając tchu. Krzyknęła. Storm przetoczył się tak, że znalazła się pod nim, i, patrząc w najdoskonalszą na świecie twarz, zdał sobie sprawę, że demoniczna kochanka z młodzieńczych snów znów

przyszła, by zostać z nim, tym razem na zawsze, i że ma wielkie szmaragdowe oczy.

Owinięci białą tkaniną leżeli spleceni w uścisku. Jego serce, przepełnione uczuciem, któremu lękał się dać nazwę, pęczyło i bolało. „Gdybym ją tu sprowadził, byłaby bezpieczna. Ja też mógłbym tu pozostać, jeśli znajdzie taka potrzeba”. Nie był pewien, czy potrafiłby żyć bez Pete. Wiedział jednak, że gdyby udało mu się ją nakłonić do pozostania tu, w winnicy, gdzie byłaby bezpieczna, to on mógłby ją pokochać.

- To chardonnay - oznajmił Lyle, nalewając ciemnoczerwone wino do kieliszka. - Ciężki i krzepki burgund.

Pete wychyliła zawartość kieliszka. Wino potoczyło się po języku i spłynęło do gardła.

- Nie tak, Pete. Nie pij, tylko próbuj. Posmakuj płyn, obróć go w ustach i wypluj, o tutaj - stuknął palcem w brzeg miski.

„Tamten dentysta też mi kazał robić takie niesmaczne rzeczy”, pomyślała. Nie miała zamiaru usłuchać zaleceń Lyle'a.

- Nie znamy się na tyle dobrze, żebym w twojej obecności płukała usta i pluć do miski. Dziękuję za radę, ale wolę już pociągnąć łyżeczkę i połknąć.

Zgodnie z przewidywaniami Storma, Lyle oprowadził ją i wygłosił dłuższy wykład na temat różnych faz procesu fermentacji wina. Następnie pokazał jej kadzie z nierdzewnej stali i beczki z dębu limuzynowego. Pete była lekko zaskoczona widząc, że do zgniatarek wrzuca się także łodygi i liście winorośli. Wilgotne, ciemne piwnice przypominały swoim zapachem wnętrze suchego doku na przystani. Swego czasu zapach ów fascynował ją, ale potem zdążyła go prawie całkowicie zapomnieć.

Siedzieli w biurze Lyle'a, gdzie odbywał się Finale Grande degustacji win.

- To pinot noir - powiedział, nalewając wina do innego kieliszka. - Nieco lżejszy burgund. Czy Storm znalazł sponsora?

- Jeszcze nie dostał oferty godnej uwagi. Hm, to smakuje mi lepiej niż chardonnay. Proponowano mu, by sprzedał sprzęt i zatrudnił się jako sternik, ale to go nie interesowało.

- A to cabernet savignon, rocznik 1969. Delikatny, łagodny, o bogatej kompozycji smakowej.

- Jakbyś się czuł, gdyby Storm wrócił i włączył się do prowadzenia winnicy. Czy nie oznaczałoby to osłabienia twojej pozycji?

- Nie wydaje mi się. Storm ma charakter ojca. Musi być zawsze na zewnątrz, pracować w słońcu, na otwartej przestrzeni. Może nawet zdołalibyśmy go tu Ściągnąć, ale nigdy nie udałoby się nam posadzić go za biurkiem. Zawsze bardziej interesowała go sama uprawa niż przetwórstwo i organizacja pracy. Innymi słowy, praca w polu. Ale wracając do twojego pytania, na pewno wolałbym, żeby Storm był tu stałe, a nie tylko przez kilka tygodni w roku.

- Bardzo dobre. Jaka to marka?

- Cabernet sauvignon.

- Chętnie spróbowałabym jeszcze odrobinę. - Uniosła kieliszek i zapytała. - Czy jestem podobna do Abbie?

Lyle, nie przygotowany na takie pytanie, wyprostował się na krześle.

- Chyba jednak lepiej zacznij wypluwać.

- Uważasz, że zaszumiało mi w głowie? Bądź spokojny. Zawsze zadaję dużo pytań, a kieliszek wina nie wywołuje nadmiernej wylewności. Więc jestem do niej podobna?

- A chcesz być?

- Nie wiem. Bardzo mu jej brak. Czasem przeraża go myśl, że mogłabym odejść, a czasem wydaje mi się, że tylko mu ją zastępuję. Czy jestem do niej podobna?

Po dłuższej pauzie zaczął z ociąganiem:

- Była o wiele niższa od ciebie. Wręcz filigranowa. Wydawała się taka delikatna i krucha, że zwykle uderzenie wiatru zostawiłoby sińce na jej ciele.

- Ja taka nie jestem - powiedziała Pete wolno.

- Była cicha, trochę nieśmiała i łagodna.

- Taka to na pewno nie jestem.

Lyle spojrzał uważnie w jej niewiarygodnie zielone oczy i pomyślał, że Storm chyba musi być kompletnym tępakiem, jeśli do tej pory nie przekonał się do tej kobiety - prawdziwej, realnej, z krwi i kości, lecz wciąż był myślami z tamtą, która odeszła bezpowrotnie. Dotknął szyjką butelki następnej szklanki, nalał odrobinę i powiedział:

- Zinfandel. Bogate, dojrzałe i szybko idzie do głowy.

Storm i Charles wrócili z winnicy w samą porę, by przebrać się do kolacji. Co prawda nie byli tam potrzebni przez cały dzień - mieli zdolnych brygadzystów i dość pieniędzy, by zatrudnić następnych, ale ani ojciec, ani syn nie czuli pociągu do siedzenia za biurkiem. Storm zastukał do drzwi Pete. Przyszedł, by zejść z nią na kolację. Gdy wchodził, Pete obróciła się na pięcie i lekko zachwiała, a jej olśniewający uśmiech nieomal zbił go z nóg. Zobaczył dziwne ogniki tańczące w jej oczach. Pete skupiła na jego twarzy swój zachwycony wzrok, jaki czasem widać w twarzach dzieci, gdy święty Mikołaj rozdaje im prezenty.

- Boże drogi, Patience! Ty jesteś wstawiona!

Stali naprzeciw siebie oddzieleni bujnym krzewem. Pete opuściła wzrok na twarde, spękane ręce Charlesa, które przed chwilą tak delikatnie obchodziły się z winogronami.

- Chcesz coś powiedzieć, Pete? Mów śmiało. Cokolwiek by to było.

- Czy Storm wraca do winnicy?

- Oczywiście. Przecież pochodzi z rodu Duchene, a Duchene to producenci win. Od sześciu pokoleń. Najpierw we Francji, a później tu, w Kalifornii. Przetrwali prohibicję i wszystkie lata nieurodzaju. Duchene to solidna firma. Każdy Duchene to winiarz.

- Czy postanowił wycofać się z wyścigów? - zapytała. Niepowodzenia i rozczarowania Storma traktowała jak swoje własne. - Czy ci to powiedział? Nawet nie wypróbuje nowego silnika turbinowego?

Charles wzruszył ramionami i spojrzał w bok.

- Nie, nic takiego od niego nie słyszałem. Wciąż ma nadzieję znaleźć sponsora. Jeśli nie wróci w tym roku, to wróci w przyszłym. Czekam na to czternaście lat, dokładnie od chwili, kiedy znalazł się w Seattle i odkrył ślizgacze. Rok dłużej, czy krócej, nie ma dla mnie znaczenia.

- Ale jeśli... - zaczęła niepewnie i chyba pierwszy raz w życiu uznała, że czasem lepiej nie powiedzieć głośno tego, co się myśli.

- Jeśli co? Potrząsnęła głową.

- Nie mam prawa wtrącać swoich trzech groszy, Charles.

- Masz pełne prawo, Pete. Kochasz mojego syna. Przy tobie mój syn znowu się uśmiecha. Gdyby nie rozdzielające ich gęste pnącze, Pete rzuciłaby się Charlesowi na szyję. „Przy tobie mój syn

znowu się uśmiecha”.

- Czy mógłbyś być szczęśliwy tylko z częścią człowieka? Z człowiekiem, którego serce jest gdzieś indziej?

- Przecież ty jesteś z nim szczęśliwa - odparł. Pete drgnęła, jakby ktoś wymierzył jej policzek. - Przepraszam, Pete. Nie chciałem być nieuprzejmy. Po prostu wydaje mi się,

że jesteś z nim szczęśliwa pomimo tego, że czasem od ciebie stroni.

- Dla mnie to coś innego - powiedziała z pełnym przekonaniem i wiarą w każde słowo. - Już nieraz próbowałam sobie wyobrazić jakby to było, gdyby Storm odszedł na zawsze, a ja musiałabym pokochać kogoś innego. To po prostu niemożliwe. On nie może nic poradzić na to, że tak bardzo kochał Abbie. A mnie jest dobrze z tym, że go kocham. Kochać go, to dla mnie największa radość życia.

Doszli do końca działki. Charles wziął ją za rękę i delikatnie uścisnął jej szczupłe palce.

- Nigdy w życiu nie miałem zamiaru przeszkadzać w jego karierze na ślizgaczach. Chciałem, by pojechał do Francji, tak jak Lyle, i lepiej poznał tajniki produkcji wina, ale on wolał Seattle. Zgodziłem się i płaciłem jego czesne.

Szli przez zalaną słońcem winnicę trzymając się za ręce. Zobaczyła jak Storm układał bagaże w samochodzie przed domem.

- Kiedy kupił pierwszą łódź - kontynuował Charles - mogłem wstrzymać wypłacanie mu dywidendy. Znam wielu wpływowych ludzi. Na pewno znaleźliby jakiś sposób. Nie zamierzam zmuszać go do powrotu. Po prostu, jeśli wróci, przyjmę go, i tak jak ty, pokocham tę jego część, którą mi pozwoli pokochać.

Rozdział 9

Pete obejrzała stół w jadalni. Była niezmiernie zadowolona z wyników swojej pracy. Na wypolerowanych talerzach i sztućcach delikatnie połyskiwały świetlne refleksy. Nad nimi wyrastały dwa kielichy, który wpadły jej w oko podczas aukcji zdekompletowanych zastaw stołowych i które w zasadzie ukradła sprzed nosa mężczyzny prowadzącego licytację. Bukiet kwiatów ustawiony pośrodku stołu między dwiema wysokimi świecami rzucał finezyjne cienie na śnieżnobiały obrus. W powietrzu unosił się ledwie wyczuwalny zapach cytrynowej pasty do polerowania mebli. „Wygląda prześlicznie”, orzekła w duchu. „Prawdziwa elegancja z odrobiną wytworności”.

Nie wiadomo dlaczego, nagle zapragnęła, by dzisiejszy wieczór wypadł szczególnie. Była szczęśliwa. Doszła do wniosku, że w obecnych czasach ludzie poświęcają za mało uwagi celebrowaniu tych chwil, kiedy są szczęśliwi. Storm był w Seattle od dwóch tygodni i samotnie prowadził w klasyfikacji ślizgaczy „open”. Zostawił rywali daleko za sobą. Jutro miał startować w ostatnich punktowanych Ślizgach do Pucharu Stanów Zjednoczonych, zatem dzisiejszy wieczór zasługiwał, by potraktować go wyjątkowo.

Spojrzała z aprobatą na nakryty stół i wróciła do kuchni. „Gdyby jeszcze dzisiejszy próbny ślizg z nowym silnikiem turbinowym wypadł pomyślnie, to byłaby dopiero okazja”, powiedziała tęsknie. Niestety, próba wypadła fatalnie, a właściwie to w ogóle nie wypadła. Za każdym razem woda zalewała kadłub i silnik. W sumie dobrze się stało, że nie powiadomiła o niej Storma. Kolejne rozczarowanie po serii wpadek z ewentualnymi sponsorami dla jego łodzi z pewnością popsułoby nastrój dzisiejszego wieczoru.

Zdjęła uchwyty z haczyka i powolutku otworzyła piekarnik. Później wysunęła brytfannę obchodząc się z nią jak

z fiolką nitrogliceryny. „Wspaniale wyrósł”, powiedziała zachwycona.

Usłyszała szcęk klucza w zamku. „W samą porę”, pomyślała. Gdy odwróciła się od piekarnika drzwi trzasnęły tak, że aż zadrżała podłoga. Suflet w brytfannie drgnął i opadł. Kroki Storma zadudniły w przedpokoju i jadalni.

„A żeby tak spalił wszystkie swoje silniki!”, pomyślała ze złością. „Poczekaj, zaraz ci się dostanie za trzaskanie drzwiami, tupanie i mój opadły suflet!”

- Co się stało? - zapytał ostro, gdy stanął w drzwiach do kuchni.

Spojrzała ponuro na to, co jeszcze przed chwilą było pulchnym sufletem. Zacisnęła usta i podnosząc na niego wzrok wycodziła:

- Trzasnąłeś drzwiami i popsułeś główne danie, oto co się stało! - „Boże, dlaczego jest taki blady”, pomyślała. Przerażone spojrzenie Storma zatrzymało się na brytfannie, którą wciąż trzymała w rękach. „Pewnie myśli, że zaraz rzucę tym w niego!”

- Co się stało? - Storm powtórzył pytanie. Jego głos zabrzmiał dziwnie, jakby wydobywał się z gardła, na którym zaciskają się palce maniaka. Ciemne oczy były prawie czarne i patrzyły nieruchomo, jak oczy ślepeca.

Powietrze wokół zgęstniało. Atmosfera stała się napięta. Groziło wybuchem.

- To jest, a właściwie był suflet, Storm. Trochę sera i jajek. Żadna strata. Przepraszam, że się zezłościłam. Niepotrzebnie tak...

- Do jasnej cholery, Patience! - podskoczył do niej, wyrwał z rąk brytfannę i z trzaskiem postawił ją na ladzie. - Słyszałem, że miałaś wypadek. Że coś się stało podczas próby z turbiną i Dave musiał cię natychmiast odwieźć do szpitala.

Przestraszyła się nie na żarty, gdy chwycił ją za ramiona i uniósł nad podłogę. Jego palce boleśnie wbiły się w ciało, aż dotarły do kości.

- Ach, więc o to chodzi - spojrzała w jego oczy wciąż pałające wściekłością i uśmiechnęła się z wysiłkiem. - Nic takiego.

Potrząsnął mocno, aż jej głowa poleciała do tyłu. Była oszołomiona i kompletnie zbita z tropu.

- Mów, co się stało! - krzyknął.

- Skręciłam nogę w kostce - wyszeptała pospiesznie. - Dave zawiózł mnie do szpitala. Prześwietlenie nie wykazało złamania, więc prawdopodobnie to tylko zwichnięcie. - „Czy on w ogóle mnie słucha?” - Storm, puść, to boli.

Zwolnił uścisk na tyle, że wróciło normalne krążenie w jej ramionach.

Spojrzał w bok na kule oparte o ścianę, przyciągnął ją do siebie i przytulił mocno.

- Myślałem, że wyrzuciło cię z łodzi - powiedział wolno. Poczula jego oddech we włosach. - Myślałem... W boksach mówili, że... Nikt nic nie wiedział... Opowiadali różne rzeczy.

Poczula, że drżał na całym ciele.

- Usiądź, Storm. Zrobię ci drinka i opowiem wszystko po kolei.

Opadł ciężko na krzesło przy nakrytym stole. Z szafki nad zlewem wyjęła pierwszą z brzegu butelkę wódki. Nalała dużą porcję do szklanki i zaniósła do jadalni. Włączyła górne światło, zgasiła świece i postawiła szklankę na stole.

Storm nie tknął jej nawet. Siedział z twarzą zakrytą rękami. Napięta skóra dłoni była biała na kostkach.

- Storm, posłuchaj mnie spokojnie - zaczęła nieśmiało. - Nie wyrzuciło mnie z łodzi. Nawet nie udało mi się rozpędzić jej do trzydziestu metrów na godzinę, nie mówiąc o dwustu kilometrach. Zalewało silnik tak, że nie mógł wyjść nad wodę.

Dave już się tym zajął. Zrobimy niezbędne korekty i za kilka tygodni łódź będzie gotowa do ślizgów.

- Dlaczego trzymaliście to w tajemnicy przede mną?

- Nic podobnego. Na pewno powiedziałabym ci o próbie, gdybym miała okazję. Wczoraj wieczorem uznaliśmy z Dave'em, że można spróbować. Tor był przygotowany do zawodów, w boksach pełne zabezpieczenie, łodzie ratunkowe na wodzie, wprost wymarzona okazja. Dave przez całą noc załatwiał formalności. Zadzwoił do mnie o szóstej rano i powiedział, że mamy tor do dyspozycji przez godzinę przed rozpoczęciem ślizgów kwalifikacyjnych. Liczyłam, że cię złapię w boksach, ale powiedziano mi, że pojechałeś do domu wziąć prysznic. W boksach spotkałam zaledwie kilku ludzi. Zdaje się, że wiadomość dotarła do ciebie już mocno zniekształcona i przesadzona.

Odsłonił twarz, wyprostował się i wbił wzrok w Pete. Nie domyślała się, czego szukał w jej twarzy. Wiedziała jedynie, że wyjaśnienia nie przyniosły mu ulgi.

- Śmieszna sprawa. Myślę o mojej kontuzji - kontynuowała Pete, a spostrzegłszy, że Storm nie był w nastroju do żartów, opuściła wzrok na napis wyhaftowany nad kieszenią jego koszulki. - Zwinęliśmy cały sprzęt i szykowaliśmy się do odjazdu, kiedy przechodziłam obok ciężarówki. Stąpnęłam na gruby gumowy wąż. Przewróciłam się, a kiedy spróbowałam wstać, kostka odmówiła posłuszeństwa. Dave wziął mnie na ręce i zaniósł do samochodu. W szpitalu dali mi te kule, ale okazały się niepotrzebne. Zrobiłam gorący kompres i już jest dobrze. To wszystko. Jak widzisz, nic strasznego.

Storm wstał i zaczął chodzić po pokoju z rękami w kieszeniach. Odniosła wrażenie, że nie był to zwykły spacer typu „pochodzę - podumam - i - mi - przejdzie”. Duchene chodził wokół stołu jak zdenerwowany lew w klatce. Zanim

zorientowała się. co się stało, było po wszystkim. Krzesło, na którym siedział, przeleciało przez pokój i trafiło w ścianę. Gdy rozpadło się z trzaskiem, Stormowi nawet nie drgnęła powieka.

Chwyciła szklankę z wódką i wypła jednym haustem. Zapiekło w gardle, potem w żołądku, i wycisnęło piekące łzy z oczu. Drżenie w rękach i nogach ustało.

Storm nie zdawał sobie sprawy z tego, co zrobił. Przeszedł do salonu i utkwiał w oknie nie widzące oczy. Zastanawiał się gorączkowo, ile dziesięciocentówek zużył, próbując zlokalizować szpital, do którego odwiózł ją Dave. Za każdym razem uprzejmy głos odpowiadał:

- Pani Patience albo Pete Burke? Niestety, przykro mi, ale... Ostatnie słowa przeraziły go.

- Pan Duchene? Dzwonię ze szpitala. Pańska żona została właśnie przywieziona z wypadku. Czy może pan zaraz przyjechać?

Zaniepokoił się. Do licha, wręcz się przestraszył. Uraz głowy? Kręgosłupa? Ból? Abbie wije się z bólu? Niepokój przeszedł w złość. Podał nazwisko rejestratorce. Odsyłano go od Annasza do Kaifasza. Wreszcie zjawił się jakiś lekarz, który zaprowadził go do małego, pustego pokoju.

- Panie Duchene... - powiedział. - Przykro mi... Ulga. Dzwonili po kogoś innego.

- Przykro mi...

... tylko powierzchowne obrażenia... nic poważnego... właśnie pojechała do domu... - Wpadli w panikę i wezwali go bez powodu.

- Bardzo mi przykro...

Poczuł jak zwolna osacza go podstępne i niezwycone fatum.

- Pani Patience Burke? Bardzo mi przykro, ale...

- Storm? - Dźwięk jej głosu przywrócił go do rzeczywistości. Przed oczami znowu ukazał się pokój, zatoka, blada twarz i szeroko otwarte oczy Patience.

- Boże, już myślałem, że cię straciłem. - Okrywał pocałunkami tę twarz. Wgryzał się w usta jak desperat, którego tylko smak upragnionej kobiety jest w stanie przekonać, że nie odeszła, że wciąż żyje i jest obok. Jego ręce nagle chciały być wszędzie, ogarnąć całe ciało. Szukał dotykiem jej tętna i odmierzał je rozpaczliwie.

- Pragnę cię, Patience... Pragnę cię kochać i wiedzieć, że żyjesz. Pragnę cię.

Pociągnął ją na podłogę i gorączkowo zdarł z niej ubranie. Rozpalone ciało pragnęło poczuć przy sobie żar drugiego ciała. Jak echo wracało do niej słowo „kochać”. Smakowała je i rozkoszowała się całym sercem. Nie rozumiała niczego, ale to nie miało znaczenia. Skruszył mur kiedyś wzniesiony wokół siebie. Kochał ją, a życie na pewno to potwierdzi.

- Kocham cię - szeptała. Wypowiedziane, czy tylko słyszane, słowa te miały dla niej tę samą wartość. - Kocham... kocham...

Pogrzyżył się w niej. Szukał, znajdował i chłonał. Wszedł głęboko i docisnął ją mocno do podłogi, jakby pragnął jednocześnie wspiąć się na nią i wypełnić całym sobą.

- Pragnę... Boże, jak... bardzo... cię pragnę!

Leżała, wpatrując się nieruchomo w sufit. Była odrętwiała. Osłabione ciało odmawiało posłuszeństwa. Dygotała. „Pragnę?” - myślała. - „Tylko i wciąż? Kto powiedział „kocham?” Na pewno ona, ale czy on? Czy powiedział „kocham”? Słyszała „pragnę cię kochać”. Słowa te zabrzmiały prawdziwie, płynęły z głębi serca. Leżał ciężko na niej. Podłoga wydawała się jej coraz twardsza.

Przetoczył się na bok i gładził jej nagie ciało od szyi do kolan. Nie wiedziała, jak długo leżeli na podłodze, ale musiało

minąć dużo czasu, skoro namiętność zdążyła wygasnąć, ciała zaczęły odczuwać chłód, a oddechy wyrównały się. Wreszcie wstał i wyłuskał swoje spodnie ze stosu pospiesznie zrzuconych ubrań. Pete usiadła i sięgnęła po sukienkę. Wydało jej się, że to jedyne, co mogła i powinna zrobić w tej sytuacji. Sukienka była rozdarta. Pete nie mogła sobie przypomnieć, kiedy to się stało. Usłyszała, że zaklął pod nosem i podniosła wzrok. Wpatrywał się w rozdarty materiał.

- Zrobiłem ci krzywdę? - uklęknął przed nią. - Jeśli to prawda, nie mógłbym tego znieść. „Za późno na takie wyznania”, pomyślała. Gdzieś w głębi duszy czuła się skrzywdzona.

Pomógł jej założyć jego koszulę i wziął jej twarz w dłonie. Przyglądał się jej, jakby szukał śladów swojej brutalności. Jego ciemne oczy wydawały się jeszcze bardziej przepaściste i bardziej rozmarzone niż zwykle. Wyczuwała w nich coś podobnego do miłości, lecz gdy napotkała ich spojrzenie, znowu stały się chłodne.

- Nigdy więcej nie wsiadaj do ślizgacza - powiedział rozkazującym tonem.

- Co takiego? - wyrwało jej się odruchowo. Pokręciła głową z niedowierzaniem. Zdawało jej się, że Storm nagle stał się mały i daleki, a przecież tylko odszedł na drugi koniec pokoju. - Nie, zaraz. Zaczekaj. Nic nie mów. Daj mi się skupić. - Na drżących kolanach z trudem dotarła do stołu. Opadła na krzesło i zaczęła rozmyślać o tym, co się przed chwilą stało. Zdarzenia, gesty i słowa nie dawały się ułożyć w żadną spójną całość. Spojrzała na stary zegar i ogarnęło ją przerażenie. Od wejścia Storma upłynął zaledwie kwadrans.

Duchene stał przy oknie, odwrócony do niej plecami, z dłońmi splecionymi na karku.

- Nigdy więcej, Patience. Nigdy więcej ślizgaczy - powiedział głosem drżącym z napięcia. Próbowała pozbierać myśli. Wciąż nie rozumiała, o co chodzi.

- Ale przecież to mój zawód... - odpowiedziała.

- Nie mogę... Storm wzdrygnął się.

- Czego nie możesz?

Gdy odwrócił się do niej, zobaczyła twarz wykrzywioną grymasem rozpacz.

- Nie mogę dłużej żyć w ciągłej obawie, w strachu, że coś ci się stanie.

- Aż tak się tego obawiasz?

- Boję się o ciebie.

- Ale dlaczego?

- Jeszcze pytasz? Pierwszy raz spotykam cię w najbardziej niebezpiecznej dzielnicy Detroit, po zmroku i samą. Samochód prowadzisz jak postrzelona! Potem dowiaduję się, że latasz sobie na ślizgaczach. Mam mówić dalej?

Okruchy zdarzeń i strzępy wypowiedzi zaczęły się układać w logiczną całość, jednak obraz końcowy zdawał się wisieć do góry nogami. Storm często powtarzał to słowo: „bądź”, zaś ona odruchowo dodawała w myślach: „tam, gdzie Abbie zostawiła pustkę po sobie”. Nigdy nie przyszło jej do głowy, że ciąg dalszy po owym „bądź” może brzmieć: „ze mną, na zawsze”.

- Nie kochasz Abbie? - zapytała. Drgnął i spojrzał na nią zaskoczony.

- Abbie? Nie. Abbie odeszła na zawsze.

- Więc to nie Abbie cię prześladowała? - zapytała szeptem, wciąż oszołomiona. - Ten duch to byłem ja, tak? To dlatego nalegałeś, żebym naprawiła samochód i zawsze sprawdzała zamki w drzwiach? I dlatego chcesz, żebym trzymała się z daleka od ślizgaczy?

- Tak, tego właśnie mi trzeba. I ty to możesz sprawić, Patience.

Wiedziała, że mury, które kiedyś mozolnie wznosił, teraz legły w gruzach, ale też czuła się tak, jakby nagle między nią a Stormem rozlał się ocean. Duchene stał tylko kilka kroków od niej. Mimo to nie była w stanie zbliżyć się do niego.

- A co ty dla mnie zrobisz w zamian? - Czy ten lodowaty, kategoriyczny ton należał do Pete Burke?

- Będiesz mnie kochał, Storm? Czy też może ja będę musiała kochać za dwoje, śmiać się za dwoje i ufać za dwoje? - Przełknęła łzy i ciągnęła dalej: - Jak długo będzie rodzic pole, którego nie uprawiasz? Nie dopuściłbyś, by twojej winnicy przytrafiło się to, co ty zrobiłeś mnie!

- Chcę cię kochać, Patience - odpowiedział cicho, jakby oddychanie i mówienie sprawiało mu ból.

- Pragnę tego, wierz mi, ale nie mogę znowu stracić. Nie wytrzymałbym tego. Nie podejmę takiego ryzyka.

Patrzył na nią wymownie, jakby chciał zmusić ją wzrokiem, by dała to, czego chciał. Nie odpowiedziała. Tego wieczoru przez chwilę czuła się wypełniona jego miłością. To, że jej pragnął, przestało jej wystarczać.

Usiadł na kanapie. Ręce bezwładnie opadły na krawędź poduszki między udami. Podeszła i klękła naprzeciw niego.

- Ja wiem, co to znaczy bać się o ukochaną osobę, Storm. Naprawdę to wiem. Drzę ze strachu, gdy widzę, jak zakładasz kombinezon i wsiadasz do „Groma”. Kiedy odpływasz od pomostu, boję się, że wrócisz z połamanymi nogami albo martwy. Przez cały wyścig mam kluskę w gardle - z oczu Pete popłynęły łzy. - Ale ślizgacze są częścią ciebie. Ja to akceptuję. To ryzyko, które muszę podjąć... i cena, którą płacę za to, że ciebie kocham.

Stał kciukami dwie strugi łez. Zapragnął otworzyć przed nią serce. Szeroko. Bardzo szeroko.

- Nie chodziło mi o obawy czy lęk, Patience. Miałem na myśli przerażenie. Ogromne i paraliżujące, gdy panika mrozi krew w żyłach i ściska za gardło. Wtedy miłość się dusi.

- Czy pokochasz mnie, jeśli już nigdy nie wsiądę do ślizgacza? Zreperowałam samochód - nie pokochałeś mnie. Zaczęłam zamykać drzwi i okna i sprawdzać je dwa razy, bo tego chciałeś, ale nie pokochałeś mnie. Ale jeśli przestanę testować ślizgacze, to mnie pokochasz? A może będziesz chciał, żebym przestała jeździć samochodem? Przechodzie przez ulicę, żeby mnie nie przejechał jakiś pijak?

Szarpnął się gwałtownie do tyłu jak trafiony kulą. Ręce odskoczyły od jej twarzy, jakby ta nagle zaczęła parzyć.

- Nie mów tak. Nawet nie waż się tak myśleć. Oparła policzek o kolano Storma i powiedziała przez łzy:

- Wciąż nie rozumiesz? Gdyby chodziło tylko o ślizgacze, nie weszłabym nigdy do żadnego kokpitu, nawet na próbę. Między nami stoi coś innego. Któregoś dnia zrobię coś, co cię znowu przerazi i co wtedy? Znowu zbudujesz wokół siebie mur? Nie możesz zamknąć mnie w klatce, nawet ze złota. Nie zawijaj mnie w puchowy kokon, Storm, bo się uduszę. Wiesz, co mam na myśli... czułabym to samo co ty, gdyby nagle okazało się, że musisz wrócić do Napa Valley.

- Myślałem o tym - powiedział i, nie opuszczając wzroku utkwionego w jakimś punkcie na podłodze za plecami Pete, zanurzył palce w jej niesfornych lokach. - Kiedy byliśmy tam razem, miałem wrażenie, że moje serce się otworzyło dla... że nic nie zagraża tej miłości. Ty byłaś bezpieczna, z dala od wszelkiego ryzyka. Postanowiłem, że po sezonie wrócę do Napa Valley na stałe... z tobą... ale...

- Ale...? - nie doczekawszy się zakończenia, dopowiedziała je za niego: - Ale zdałeś sobie sprawę, że powrót i życie w Napa stłamsi cię ostatecznie, a nasza miłość stanie się naszym więzieniem. - Podniosła twarz i spojrzała

mu w oczy: - Mogę ci obiecać, że będę cię kochać zawsze, do końca życia, ale nie mogę obiecać, że nie stanie mi się nic złego.

- W takim razie trzeba było zostawić mnie w spokoju, Patience. Weszłaś w moje życie, gdy dopalałem się psychicznie. Trzeba było pozwolić mi dopalić się do końca.

Nie podjęli żadnych postanowień na przyszłość. Storm wyszedł. Została z opadniętym sufletem, połamanym krzesłem i ściśniętym sercem. Zwinęła się w kłębek na kanapie. Wciąż miała na sobie jego koszulę z wyhaftowanym czerwonym nitką identyfikatorem, który teraz przylgnął do jej piersi na wysokości serca. Nie była w stanie pójść do pustego łóżka. Puste dzisiaj, a niewykluczone, że już zawsze. Nie wyobrażała sobie dalszego życia bez Storma. Przygotowała się na miłość i dała ją, a w zamian otrzymała tylko pożądanie. Dlaczego nie przewidziała, że mogą także nastąpić dni bez niego? „Jesteś naiwna, czy zwyczajnie głupia?” - zapytał ją kiedyś. Wyglądało na to, że i taka, i taka.

- Serwus, mała - przywitał ją Red, gdy następnego dnia weszła do boksów. - Już myślałem, że się dzisiaj nie pojawisz.

Odwróciła się i uśmiechnęła do Morgana. Był to pierwszy uśmiech tego dnia. Stwierdziła, że po kilku tygodniach na słońcu piegi szefa mechaników są jaśniejsze niż opalenizna, ognisto ruda czupryna zaś nabrała barwy dojrzałego melona.

- Miałabym nie przyjść na ten ślizg? Superpuchar motorowodniaków?

- Wygląda na to, że twój facet zdobędzie go bez trudu. W eliminacjach był dwa razy pierwszy i miał najlepsze czasy.

W boksach było tłoczno. Wyścig finałowy miał się rozpocząć za kilka minut. Panowało ogólne podniecenie. Na brzegach Jeziora Waszyngtona pod Seattle zgromadziło się ponad dwieście tysięcy widzów. Wokół toru zakotwiczyły się jachty i łodzie wycieczkowe.

Ruszyła za Redem w stronę pochylni „Groma”, odpowiadając na liczne pozdrowienia. Okrążyła przyczepę i zobaczyła Storma, który omawiał ostatnie szczegóły z Martym. Był w białym skafandrze z szerokimi, czerwonymi lampasami. Wystawił twarz do słońca, a wiatr poruszał czarne kosmyki nad czołem. Wystarczyło jedno spojrzenie, a serce Pete znowu przyspieszyło i znowu zabrakło jej powietrza. Czy naprawdę istniały jeszcze jakieś wątpliwości, co się stanie? Spojrzał na nią. Jego ciemne oczy znowu zapłonęły pożądaniem. Ale bardziej potrzebowała jego miłości. Dreszczyk emocji wywołany niecodzienną, śmiałą przygodą, to za mało. Chciał ją mieć w kokonie. Była gotowa założyć ich dziesięć.

Nagle w jego oczach pojawiły się chłód i obojętność. Nie odrywając wzroku od Pete, Storm powiedział: - Zdejmij przednie osłony, Red.

Otworzyła oczy ze zdumienia. Serce załomotało w piersi.

- Co mówisz? - Red też wybałuszył oczy.

- Zdejmij przednie osłony. Muszę mieć rezerwę na torze.

Chwyciła głęboki oddech. Nie mógł tego zrobić. Nie wolno mu. „Zdejmij przednie osłony”. Nie może do tego dopuścić! Zdemontowanie i odłączenie tarczy przed dziobem i osłony kokpitu oznaczało zmianę aerodynamiki łodzi. Niewielka osłona z przodu ograniczała przepływ powietrza pod kadłubem. Bez niej łódź unosiła się wyżej nad wodą. Przypominała samolot odrzutowy lecący tuż nad powierzchnią. Z jednym zastrzeżeniem - nie mogła latać. Przekonał się o tym kilka lat temu tak doświadczony zawodnik jak Bill Muncey, najlepszy motorowodniak wszechczasów. Kazał zdjąć tarczę i przednie osłony w swojej łodzi „Atlas Van Lines”. Na ostatniej prostej ślizgacz poderwał się do lotu wyrzucając sternika, który zginął na miejscu.

Zacząła się wycofywać. Byle dalej od Storma i od strachu i grozy wiszących w powietrzu. Odwróciła się na pięcie i wstrzymując wybuch płaczu dobiegła do autokaru Storma. Dopiero wewnątrz, za zamkniętymi drzwiami wylała się z niej piorunująca mieszanka żalu, złości i przerażenia. Wbiła pięści do ust, by wtłoczyć szloch z powrotem do gardła. Usłyszała szcęk zamka za plecami. Odwróciła się i zobaczyła Reda.

- Już dobrze, Pete. Wszystko w porządku. - Spojrzał w jej rozbiegane, przerażone oczy i posadził na kanapie.

- Red, on nie może tego zrobić. Nie może, Red! Powstrzymaj go. On chce się... zabić. Żeby mi pokazać, co to... przerażenie... strach. Strach i przerażenie to dwie różne rzeczy. - Mówiła nieskładnie, jakby znalazła się na skraju obłędu, który wciągał ją jak łakoma przepaść.

- On tego nie zrobi! Słyszysz mnie?! Nie zrobi! I przestań wreszcie, do cholery! - oczy Pete przestały strzelać na boki. Spojrzała mu w twarz. - Powiedziałem mu, że latać to on sobie może samolotem, a najlepiej Boeingiem, tak jak my wszyscy.

- Nie zdejmie przednich osłon?

- Do licha, gdyby tylko spróbował, to ja pierwszy oprotestowałbym łódź. Widziałem jak dawał nura w niejedną flaszkę i wykonywał niejeden numer, który mógłby go wykończyć. Niech mnie diabli, jeśli pozwolę, żeby tym razem spróbował wsiąść do łodzi pod tytułem „Stąd do wieczności”, rozumiemy się? Kolana trzęsły się pod nią. Docisnęła je dłońmi, by ukryć drzenie. Zastanawiała się, czy Storm czuł to samo, gdy spóźnił się na ślizg kwalifikacyjny, a ona wystartowała w jego łodzi. Czy tak wygląda strach?

- Pamiętasz, Red, jak kiedyś powiedziałeś, że mogę się okazać czymś najlepszym, co go mogło spotkać, albo czymś najgorszym?

- Co się z wami stało, Pete?

- Rozdzieramy się na strzępy. Zadajemy sobie ból... - z oczu popłynęły kolejne łzy. Już ich nie ścierała. - Czy mogę zostać tu, w środku?

- A od kiedy to prosisz mnie o pozwolenie? - mruknął Red i wytarł nos w chustkę. - Jasne, że możesz zostać - powiedział i wyszedł, by dopilnować spuszczenia „Groma” na wodę.

Pete przeszła do przodu i skuliła się na fotelu kierowcy. Zacisnęła ramiona wokół kolan podciągniętych do brody, jakby to mogło jej pomóc wziąć się w garść. Obserwowała boksy przez przednią szybę autokaru, do wnętrza którego mimo izolacji docierały zniekształcone dźwięki z megafonów.

Mogła się tylko domyślać ich znaczenia. Storm ustawił stoper. Rozpoczęło się odliczanie do wystrzału oznaczającego, że za pięć minut rozpocznie się rozpoznawanie toru przed najważniejszym ślizgiem sezonu.

Zsunął osłonę kasku i wśliznął się do kokpitu. Po chwili ruszył na tor. Rozpędził łódź. Czerwony kadłub pomknął nad gładką taflą, w której odbijało się sierpniowe niebo. Patrzyła jak zwyciężył, zdobył Puchar i dogonił swe marzenia.

Gdy utknął w tłumie dziennikarzy na brzegu, wyszła z autokaru i ruszyła do wyjścia. Zatrzymała się przy stole, na którym spoczywało trofeum dla zwycięzcy dzisiejszych wyścigów. Obejrzała puchar i przyjrzała się okrągłym, mosiężnym tabliczkom. W tym roku pojawi się wśród nich kolejna - z nazwiskiem Storma.

Gdy słońce ukazało się nad wschodnim stokiem, mknęła autostradą w Napa Valley. Na zielonej winorośli perliły się krople porannej rosy. Resztki nocnego chłodu cofały się pod naporem ciepłego światła dnia. Zadzwoiła do Charlesa z budki przy stacji benzynowej. Gdy zatrzymała się przed domem, czekał na nią na ganku.

Zszedł po schodach, gdy wysiadła. Wziął ją za rękę i spojrzał w oczy. Nie zobaczył w nich radości.

- Słuchałeś transmisji z wyścigów? - zapytała.

- Tak. Bardzo się cieszę z jego sukcesu. Ale przez telefon dawałaś mi do zrozumienia, że chcesz pomówić o interesach, czy tak?

- Tak. Czy moglibyśmy jednak gdzieś usiąść? Jechałam całą noc.

- Oszalałaś? Jakież to interes wrzuca człowieka do samochodu, każe tłuc się po nocy? - Charles zaśmiał się cicho, ale nie ukrywał niepokoju. Pete wyglądała jak obraz bólu i rozpacz. - W winiarstwie nie ma miejsca dla niecierpliwych. Tu każdy musi umieć czekać, aż grona dojrzeją a wino sfermentuje jak należy. Jeśli zamyślasz zająć się winiarstwem, to najpierw naucz się cierpliwości.

- Och, Charles - westchnęła Pete. - Cierpliwość to coś poza moim zasięgiem. Poza tym nie zamyślam zająć się produkcją wina. Ale chciałabym, żebyś ty rozważył, czy nie zająć się ślizgaczami klasy „open”.

Spojrzał na nią uważnie.

- Jednak lepiej wejdźmy do środka. O tym chciałbym pomyśleć na siedząco.

- Zatem ja, a w zasadzie winnice Duchene, miałyby zostać sponsorem łodzi Storma - powtórzył Charles, gdy Pete skończyła mówić. Przekazała wszystko, czego dowiedziała się o sponsorach od Storma. Ostateczna decyzja należała teraz do jego ojca.

- Takie rozwiązanie zadowala obie strony - powiedziała. - Storm nadal startowałby w wyścigach, lecz byłby związany z rodzinną winnicą odpowiednim kontraktem. Nie zajmowałby się, co prawda, bezpośrednio produkcją wina, ale na pewno bywałby tu częściej, zwłaszcza po zakończeniu sezonu. Przyjdzie mu wygłosić niejedną mowę - na spotkaniach,

zjazdach czy kolacjach. Storm Duchene jest teraz sławny, może więc tym samym reklamować wina marki „Duchene”.

- Ale to nie to samo, co uprawianie winorośli i produkcja win.

- To prawda, ale w ten sposób będziesz go miał całego, a nie połowę jak dotąd. Znowu stanie się w pełni człowiekiem, a nie zasuszoną skorupą, która wróciła do Napa Valley tylko dlatego, że nie trafiło jej się nic lepszego. Kiedyś powiedział mi, że chciałby mieć i winnicę i wyścigi.

- A co z tobą?

- On mnie nie chce. Nie potrzebuje - potrząsnęła głową i przełknęła kolejną łzę. - Nie mogę... nie potrafię wziąć tylko połowy człowieka. Połowa to za mało, Charles. - Wpatrywała się w odległy punkt na dywanie. Łzy cisnące się do oczu rozmazywały obraz. - A wiem, że nie mogę mieć go całego. Czasem to, co robię, napawa go lękiem. Wtedy cofa się, ucieka i zamyka w sobie, jakby za wszelką cenę chciał osłonić przede mną tę część siebie, która bolałaby najbardziej, gdyby ze mną stało się coś złego. Mieć go w części, a najwyżej w połowie, oznacza widzieć codziennie to, czego z siebie nie dał, co należy do kogoś innego. Proszę, nie zrób mu tego, Charles... Nie zrób tego sobie. Jeśli on tu wróci, by uprawiać winorośl, będziesz przez resztę życia wyobrażał sobie tę jego część, której nie przywiózł ze sobą. Jego lepszą część. Najlepszą.

Charles wypuścił kłęb dymu z cygara i przyjrzał się uważnie kobiecie siedzącej naprzeciwko. „Mój syn jest głupcem”, pomyślał. Każdego człowieka spotykają tragedie. Wszyscy starali mu się pomóc po śmierci Abbie. Kochał ją i rozpacz po jej stracie była czymś zupełnie normalnym. Gdyby znalazł sobie kogoś zaraz po śmierci żony, Charles czułby się zawiedziony i rozczarowany. Szybkie zastępstwo nie świadczyłoby najlepiej o prawdziwości uczuć, jakie syn żywił

do swojej żony. Teraz siedziała przed nim kobieta, która kochała wielką, jedyną i prawdziwą miłością. Z jej słów wywnioskował, że tym co naprawdę stoi między jego synem a nią, nie jest widmo nieżyjącej żony, lecz strach, który tamta zostawiła mu w spadku. Lęk o ukochaną osobę.

- On jest głupcem - powiedział wreszcie na głos Charles. - Zaraz powiem Amelii, żeby przygotowała dla ciebie łóżko, a sam muszę jeszcze przemyśleć jedną sprawę: czy potrzebna mi spółka z głupcem.

Pete padła na błękitną kołdrę i natychmiast zasnęła. Gdy się obudziła, była ciemna noc. Zostawiła pożegnalny list z podziękowaniem za gościnę i odjechała.

Rozdział 10

Usłyszawszy dzwonek Storm odłożył niedzielną gazetę i zmusił się, by wstać. Dochodząc do drzwi zobaczył profil ojca w owalnym wizerunku i zatrzymał się w pół kroku. Dopiero, gdy Charles zastukał w szybę, podszedł i otworzył. - Tata? Co ty robisz w Seattle?

- Przypominam sobie, dlaczego nie cierpię wielkich miast - odparł ojciec przestępując próg.

- W domu wszystko w porządku?

Charles przyjrzał się bacznie posępnej twarzy syna i uznał, że chyba jednak nie wszystko było w porządku. „Ciekawe, kiedy ostatnio się golił”, pomyślał.

- Powiesz mi, co cię sprowadza, tato? - zapytał Storm. Zresztą czy to nie wszystko jedno, dlaczego ojciec zjawił się w Seattle. Było mu miło, że ktoś go odwiedził. Jesienny rozkład startów nie był zbyt napięty. Spędzał sam całe tygodnie i z niecierpliwością oczekiwał wyjazdu na wyścigi do Houston w przyszłym tygodniu. - Przyjechałeś w interesach? Masz spotkanie z klientem?

- Można to i tak nazwać - odparł Charles. Dom Storma wydawał mu się jakiś inny. Meble były te same, ten sam dywan i zasłony, ale czegoś brakowało. Zauważył pustą ścianę w salonie. Kiedy był tu ostatni raz, wisiały na niej oprawione zdjęcia i portrety.

- Chodźmy na patio, tato. Opowiedz mi o tym kliencie, z którym masz się spotkać.

- Nie powiedziałem, że chodzi o konkretnego klienta - powiedział Charles, idąc za Stormem. Na innych ścianach też były ciemniejsze miejsca po fotografiach i dziury po gwoździach. - Ale to prawda, że przyjechałem w interesach. Na próbny ślizg twojej nowej, a właściwie to naszej nowej łodzi.

Storm odwrócił się gwałtownie i zaczepił kubkiem o ladę. Zaklął, gdy gorąca kawa, którą zaparzył w kuchni, chlapnęła na rękę i rozlała się po podłodze.

- Rozumiem, że wybierasz się na tor, Storm? Czy tak?

- Nie. - Za żadne skarby nie chciał oglądać, jak Patience Burke testuje nowy typ kadłuba z turbinowym silnikiem. Nie potrafiłby znieść widoku łodzi rozpędzonej do maksymalnej szybkości wiedząc, że siedzi w niej Patience.

Gdy ojciec zaproponował objęcie patronatu nad łodzią, Storm był zaskoczony, wręcz zdumiony, a gdy potem dowiedział się, jaką rolę odegrała w tym Patience, i że ojciec zdecydował się na patronat tylko na skutek jej sugestii, doszedł do wniosku, że zachowała się w typowy dla siebie sposób - zdecydowana dawać z siebie wszystko. Nawet chciał zadzwonić, by jej podziękować. Już raz doprowadził do zerwania - nie był pewien, czy potrafiłby zrobić to ponownie.

Popijając kawę rozmawiali o przyszłorocznych wyścigach i winobranii. Wreszcie Charles odchylił mankiet i spojrzął na zegarek. Odstawiając kubek powiedział:

- Na mnie już czas. Jadę nad jezioro.

Wstał. Storm odprowadził go do frontowych drzwi.

- Chciałem ci jeszcze coś powiedzieć - zaczął już w drzwiach. Storm odwrócił się i ruszył do salonu. Nie zrażony tym Charles ciągnął dalej: - Tego dnia, kiedy Pete namówiła mnie do objęcia patronatu nad twoją łodzią, powiedziała jeszcze coś ważnego. Zadałem jej pytanie: Dlaczego, na wszystkie świętości, tak bardzo chce ci znaleźć sponsora, skoro dałeś jej wyraźnie do zrozumienia, że gdybyś musiał wrócić do Napa Valley, to tylko z nią. Odpowiedziała mi coś takiego: Dla mnie ważniejsze jest żeby Storm był szczęśliwy niż żeby należał do mnie. - Przerwał i, spoglądając na przygnębionego syna, zapytał po chwili: - Czy jesteś szczęśliwy, Storm?

Tor i boksy, które cztery tygodnie temu rozbrzmiewały gwarem tysięcy widzów, wyciem silników i wiwatami na cześć zwycięzcy, dziś były opustoszałe, jeśli nie liczyć grupki skupionej wokół czerwono-białego kadłuba łodzi, przygotowanej do pierwszego, próbnego ślizgu. Dave Wilkes i Red Morgan rozmawiali z operatorem dźwigu, a pracownicy biura Dave'a wymieniali uwagi z członkami ekipy Storma. Pete nie brała w tym udziału. Siedziała na masce swojego samochodu z dala od pozostałych. Była ubrana w czarny, ogniotrwały skafander, a na kolanach trzymała pomarańczowy kask. Rozmyślała o Stormie, który w dalszym ciągu był samą nieobecnością. Nie spodziewała się zobaczyć go w boksach. Przecież po ostatnim wyścigu nawet nie zadał sobie trudu, by zadzwonić i powiedzieć, że wszystko skończone. Do licha, nawet nie przyszedł po swoje rzeczy do jej mieszkania.

Nie, dzisiaj go nie będzie. Nie przedstawiała dla niego większej wartości niż ktoś, kto pomógł mu zaspokoić jego potrzeby. Gdyby to była miłość, gdyby naprawdę ją pokochał, a przez chwilę nawet wydawało jej się, że tak się stało, to zerwanie nie przyszłoby mu łatwo.

Łez też nie będzie. Wypłakała chyba wszystkie. Płakała całymi dniami, a potem ogarnęło ją błogie i pełne ośpienie. Wykonywała swoją pracę mechanicznie, jak dobrze zaprogramowany robot. Nawet wydawało jej się, że miłość wyschła z ostatnią łzą, ale ów trans nie trwał długo. Ból wrócił. Nie był już taki ostry i dojmujący jak na początku. Osłabł, ale wracał uparcie z każdym wspomnieniem Storma.

Dzisiaj był ważny dzień. Dzień rozstania z ulubioną zabawką. Po zakończeniu próbnego ślizgu nowa łódź z silnikiem turbinowym już nie będzie należeć do niej, lecz do Storma.

Widząc Charlesa wysiadającego z samochodu, którym przyjechał sam, po raz kolejny uświadomiła sobie, że jednak

była niepoprawną optymistką. Zgasł ostatni promyk nadziei. Zeskoczyła z samochodu i wyciągnęła rękę na powitanie. Uścisnął ją serdecznie.

Przyjrząwszy się twarzy Pete, doszedł do wniosku, że ostatnie wydarzenia zniosła lepiej niż Storm, ale też od początku była silniejsza psychicznie.

- Chodźmy, Charles - zaczęła Pete z wymuszoną wesołością. - Czekałam specjalnie, żebyśmy mogli razem zobaczyć to arcydzieło.

Podczas poprzedniej próby kadłub był pokryty tylko farbą pokładową. Łódź wyglądała jak kobieta wyrwana z łóżka w negliżu. Obecnie nowy kadłub pomalowano tak jak kadłub „Groma”, na zmysłowej czerwieni wielkie białe litery układały się w dziesięciostopowy napis: „Duchene's Finest”.

Zatrzymała się na wysokości kokpitu. Zobaczyła metrykę łodzi:

Sternik / Właściciel: Storm Duchene, Mistrz USA

Sponsor: Winiarnia Duchene

Baza macierzysta: Seattle, stan Waszyngton

Wykonawca: Dave Wilkes

Projektant: P. T. Burke

Chciała płakać, tym razem z radości i wzruszenia. Pogładziła palcem swoje nazwisko na metryce łodzi. Nie oczekiwała takiego gestu. „To nasza łódź, Storm. NASZA”. Odwróciła się do Dave'a i powiedziała szeptem:

- Dziękuję ci, Dave. To bardzo miłe... Dave wzruszył ramionami i odparł:

- Storm polecił wymienić twoje nazwisko w metryce. Nie widziałem przeciwwskazań.

„Więc jednak dał mi coś od siebie”, pomyślała. Ale duma konstruktora i profesjonalisty nie mogły zastąpić miłości i życia z ukochanym człowiekiem.

- Więc jak, próbujemy jeszcze raz? - zapytał z przekąsem Dave.

- Pewnie - Pete włożyła kask i, zwracając się do Reda, który dopinał jej kamizelkę ratunkową, zapytała: - Nie przykucniesz obok na szczęście?

Usadowiła się w fotelu i nie opuszczając przesłony patrzyła na deskę rozdzielczą.

- Mógłby wreszcie pójść po rozum do głowy - powiedział Morgan. - Jesteś najlepszym, co mogło go spotkać w życiu, mała. I nie waż się myśleć o sobie inaczej.

Uruchamiając silnik, myślała o tym, jak wielki przewrót w sporcie motorowodnym wywoła wprowadzenie łodzi z silnikiem turbinowym. Przed konstruktorami otwierały się nowe, nieznane możliwości. Doświadczeni zawodnicy będą musieli uczyć się od nowa. Dni rekordu szybkości ustanowionego przed dwudziestu laty przez „Miss US” są policzone. Ale najbardziej drastyczną zmianą będzie cisza. Ślizgacze z silnikami turbinowymi przelatywały nad powierzchnią wody z wibrującym gwizdem, jak startujący odrzutowiec. Już nie będzie grzmiących łodzi.

Charles stał na krawędzi doku i obserwował, jak łódź odbiła i ruszyła w stronę toru. Rufa zanurzyła się w wodzie, a dziób uniósł ją w górę. Po chwili łódź wyrównała i pomknęła przed siebie, muskając taflę wody niczym płaski kamień rzucony ręką mistrza świata w puszczaniu „kaczek”. Nagle usłyszał obok siebie czyjś urwany oddech. Odwrócił się i ujrzał Storma. W oczach syna utkwionych w rozpędzonym, czerwonym kadłubie czaił się niewysłowiony strach. Ciemnoniebieskie źrenice w zestawieniu z pobladłą twarzą wydawały się prawie czarne. Charles podzielał jego obawy.

- Dobrze się czujesz? - zapytał zatroskany.

- Jak w piekle - odparł Storm.

- Ale jesteś na ziemi.

- Nie jestem pewien, czy długo tu zostanę. Chciałem wziąć byka za rogi. Zmusiłem się, żeby tu przyjść i patrzeć na jej ślizg. Mogę tego nie wytrzymać. Gdybym chciał odejść, nie zatrzymuj mnie, tato. Proszę.

Uścisnął rękę syna. Chciał tylko dodać mu otuchy, ale Storm zacisnął kurczowo palce na jego dłoni niczym tonący, który w ostatniej chwili chwycił rzuconą linę.

Pete doprowadziła łódź w pobliże pomostu i po wyłączeniu silnika poczuła się tak, jakby wróciła z szalonej wyprawy na skrzydłach wiatru. Była wciąż podekscytowana prędkością, ale najbardziej rozbudziły jej entuzjazm nowe, nie zbadane do końca możliwości łodzi. Wydawało się, że są nieograniczone. Jedynym minusem była cisza i brak wibracji ciała spowodowanych ogłuszającym rykiem silnika.

Wyśliznęła się z kokpitu i zdjęła kask. „A niech to, za wcześnie puściłam gaz”, pomyślała widząc, że zatrzymała się za daleko, by doleciała do niej cuma rzucona z brzegu. „Zresztą, co tam. Najważniejsze jest samopoczucie”. Nie było wspaniałe, ale też nie najgorsze. Dawno nie czuła się tak dobrze.

„Boże, jaka ona jest piękna”, myślał Storm, przyglądając się smukłej sylwetce w czarnym skafandrze, rysującej się wyraźnie na tle błyszczącego, czerwonego kadłuba. Gdy ściągnęła kask i potrząsnęła głową, w jej włosach załśniło słońce milionem złotych blasków. Ale żadne słońce w całym wszechświecie nie dawało tyle blasku, co uśmiech i szmaragdowe oczy.

„Przeżyłeś to jeszcze raz”, powiedział do siebie. „Już nie boli, już wszystko w porządku. Przeżyłeś ten raz, przeżyjesz następne”. Nie mógł, nie potrafił żyć bez tej kobiety. Nigdy nie wzbraniał się przed tą miłością, nie chciał tylko głośno powiedzieć, że kocha tę kobietę. Kiedy odsunął się od niej i próbował wymazać ją ze swojego życia, serce znowu zaczęło

umierać. Przez cały miesiąc znosił ból, którego miał nadzieję uniknąć. Nadzieje okazały się płonne.

- Zostaw mi cumę, Ricky - powiedział. Poczul na sobie zaciekawione spojrzenia pozostałych członków załogi i przejmując z rąk Ricky'ego zwój grubej liny dodał: - Nie poszlibyście gdzieś na spacer albo coś w tym rodzaju?

Wszedł na pływający pomost i czekał, aż łódź znajdzie się w zasięgu rzutu. Wiedział, że Patience zupełnie nie zwraca uwagi na stojących na nadbrzeżu. Wydawało mu się, że postać w czarnym skafandrze wciąż unosi się na fali entuzjazmu po niedawnym wyczynie. Dopiero gdy łódź podpłynęła bliżej, zauważył bladość na twarzy Pete.

„Chyba już dość blisko na rzut”, pomyślała Pete, wpatrując się w zwój liny w ręku postaci na pomoście. Wyciągnęła rękę. Rzucona z brzegu lina spadła prosto na dłoń. „Ricky musiał sporo pracować nad podawaniem cumy”. Schyliła się, by przywiązać linę do zaczepu. Spojrzała na pomost i znieruchomiała.

Storm. Tutaj. Sam. Ściąga ją do brzegu. Siła. Zawsze czuła emanującą z niego siłę. Od pierwszego spotkania. A potem owładnęło nią pragnienie jego ciała, jego uroku i dowcipu, jego agresywnej, szorstkiej męskości i jego niesamowitej odwagi, z którą z różnym skutkiem zmagala się jego bezradność i bezbronność. Smukłe męskie ciało, wąskie biodra, długie nogi i oczy o barwie kobaltu. Mimo że wyglądał okropnie, dla niej był najpiękniejszym zjawiskiem na świecie.

„Nie wyciągaj pochopnych wniosków”, pomyślała sobie w duchu. „Wyciągnęłaś ich dość i wszystkie były błędne”. Kilka razy była blisko prawdy, ale nigdy dokładnie. Mógł przyjść tutaj z tysiąca innych powodów. Na przykład, żeby zobaczyć, jak spisuje się jego nowa łódź. Jedynym rozsądnym

założeniem było to, że stłumił uczucia do niej do tego stopnia, że był w stanie przyglądać się jej bez paraliżującego strachu.

Wypięła się z uprząży i wyszła na pomost. Storm odłożył zwiniętą cumę. Dzielili ich spora odległość. Pete nie miała zamiaru przyspieszać zbliżenia tylko po to, by nie zostać odrzucona, tym razem na zawsze.

Wpatrywał się w nią w milczeniu. Był wstrząśnięty tym, co zobaczył. W jej szmaragdowych oczach zobaczył coś, czego nie chciał zobaczyć: ból.

- Na pewno wciąż przeżywasz ten ślizg - powiedziała. - Przypuszczam, że oglądałeś go od początku. Ale może dopiero przyjechałeś. Pogoda wymarzona do prób na wodzie. Powierzchnia idealnie równa. Jakbym ślizgała się po lustrze. Można wycisnąć z niej dwa razy więcej...

- Patience... - zaczął.

- Pete - poprawiła go. - Do mnie mówi się Pete.

- Ja myślę o tobie: Patience.

- Ale nie ja. I proszę, zwracaj się do mnie Pete, jak inni. Wzruszył ramionami.

- Przecież zwykle robię to, co chcesz żebym zrobił, prawda?

- Wtedy, kiedy naprawdę chciałam i było to dla mnie ważne, nie zrobiłeś tego.

Zdał sobie sprawę, że Pete nie zamierza ułatwić mu dalszego ciągu. Przekrzywił głowę i spojrzał na nią uważnie.

- Czy nie wydaje ci się, że prosisz o zbyt wiele? Nie sądzisz, że będę się czuł jak kretyn, kiedy do osoby, z którą dzielę łóżko, będę miał powiedzieć „kocham cię, Pete”. To przecież męskie imię. Już słyszę te docinki...

Rzuciła się w jego ramiona. Nie słuchała tego, co mówił dalej. Znowu było dobrze czuć go przy sobie. Przycisnęła się do niego całym ciałem, objęła go za szyję. Poczul jej włosy na swoim policzku.

Świat ponad ramieniem Storma znowu odzyskał kolory. „Boże, dziękuję ci. Stokrotnie, tysiącrotnie dziękuję”.

- Powiedz to jeszcze raz - szepnęła.

- Zgoda. Czy nie wydaje ci się, że prosisz o...

- Nie, nie to.

- Kocham cię. - Uniósł jej podbródek. W jej oczach zobaczył inne łzy. Przełknął głośno kluskę, która wciąż tkwiła w gardle i powtórzył: - Kocham cię.

Pocałował ją i pocałunkiem tym otworzył bramy do twierdzy, w której zamknęła swoje uczucia.

- Powiedziałaś kiedyś, że kochasz za dwoje. Nie miałaś racji. Nie kochałaś sama. Już wtedy kochałem cię do szaleństwa. I nie musiałaś Śmiać się za dwoje. Wcale tak nie było. To ty dałaś mi w prezencie uśmiech. Sprawiałaś, że znowu zacząłem się uśmiechać. Co do zaufania, hm... - oparł głowę o jej czoło. - Cóż, popracuję nad tym. Ufam ci i wierzę, że nie jesteś narwana. Jeszcze nie nauczyłem się wierzyć w to, że los nie zawsze jest okrutny, ale nad tym też popracuję.

- Mogę zmienić pracę, Storm. Wcale nie muszę testować ślizgaczy.

Odsunął się od niej i przykucnął tak, że ich oczy znalazły się na tym samym poziomie.

- Nie, Patien... Pete. Bez zobowiązań. To nie jest transakcja.

- Zawieziesz mnie do domu? - zapytała, obejmując go za szyję. - Kocham cię. Tak bardzo cię kocham. A o zrezygnowaniu ze ślizgaczy mówiłam poważnie. To już nie to samo. Zamiast grzmotu i ryku jakiś cichy gwizd. Żadna frajda. Zupełnie jak ten nowy roller-coaster cichy i dwa razy szybszy. Bardziej odpowiadały mi stare. Huk, zgrzyt, ryk i pisk - to przyciągało ludzi. Mnie, rzecz jasna, też.

- Zgoda.

- Zgoda? Na co? Też lubisz zgrzyt i huk?

- Zgoda. Zawiozę cię do domu.